tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 31 (1177)
25-31.07.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

Andrzej Mleczko: Zakonnice często kupują plakaty w mojej galerii

Piotr Kimla: Polska nie chce się uczyć

Czym Morawiecki ogrzeje dom

Darłowo walczy z parawanami

Prof. Elżbieta Mączyńska

GŁĘBOKI KRYZYS KAPITALIZMU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl e884b37b5b

28
2022
MIĘDZYNARODOWY
PLENEROWY
FESTIWAL
JAZZ
NA
STARÓWCE
2.07-27.08.2022
www.jazznastarowce.pl
facebook.com/festiwaljazznastarowce

eprasa.pl e884b37b5b

Jerzy Domański

Skok do pustego basenu

Prawie w komplecie Sejm zagłosował za natychmiastowym embargiem na rosyjski węgiel. A teraz równie powszechnie posłowie jęczą, że węgla nie ma, a ten, co ma być jesienią, będzie bardzo drogi.

A jaki ma być? Coś, co przyjedzie z bardzo daleka, musi słono kosztować. Tym bardziej że chętnych na węgiel jest wielu i będą podbijać cenę. Nie sądzę jednak, by tej zimy zabrakło w Polsce węgla. Świat ma go w nadmiarze i chętnie zarobi na wynikającej z sankcji galopadzie cen. A Polacy? Pewnie dalej będą palić węglem rosyjskim. Tyle że częściowo. Z tą różnicą, że wjedzie on do Polski pod inną banderą. Tak jak się dzieje w Europie z wieloma towarami, które objęto sankcjami. Wolny rynek w ramach tego patologicznego kapitalizmu, jaki mamy, świetnie sobie radzi z omijaniem wszelkich sankcji i przeszkód. A najlepiej wtedy, gdy można zarobić krocie.

Cóż więc powiedzieć o władzy, która ma tak elementarne problemy z przewidywaniem skutków podejmowanych decyzji? Amatorzy i szkodnicy. Specjaliści od ciągłego naprawiania własnych błędów. Najlepiej im wychodzi wywieranie presji na opozycję. Robią to tak skutecznie, że opozycja potrafi skakać za tą władzą nawet do pustego basenu.

Europa rusza z sankcjami w sierpniu i jeszcze kupuje węgiel. Ale zdaniem naszych moralistów zasługuje to na głębokie potępienie.

Jak to łatwo człowiek może się pomylić. Jeśli widzicie skorumpowanych załatwiaczy posad i cyników kłamiących w każdej sprawie, to tylko pozory. W gruncie rzeczy są to ludzie głęboko moralni i głęboko wierzący. Ogłosić się moralnym zwycięzcą zawsze można. Ale prędzej niż później trzeba będzie ludziom powiedzieć jasno i konkretnie, ile ich będą kosztowały decyzje polityków. Nie władzę, ale konkretnych ludzi, rodziny, gospodarstwa domowe. Władzę przecież, jakakolwiek by była, i tak większość Polaków kontestuje i zwyczajowo jej nie wierzy. Taki mamy gen. Albo tak bezmyślnie w wyborach głosujemy? W czasach w miarę spokojnych jakoś ten państwowy wózek się toczył. Niestety, ten etap świat ma za sobą. Wojna na Ukrainie otworzyła wielki wór, w którym jest to, co w naszym gatunku najgorsze. Nacjonalizmy, konflikty, sprzeczne interesy, chciwość. Kapitalizm znalazł się na takim etapie rozwoju, że bardziej mnoży konflikty, niż je rozwiązuje. Politycy są coraz bardziej bezradni wobec gry globalnych gigantów. Tak już silnych, że dyktują warunki nawet wielkim państwom. Wolny rynek w takim wydaniu tylko ułatwia połykanie słabszych i dyktowanie im warunków. Celnie te problemy wypunktowuje w wywiadzie prof. Elżbieta Mączyńska.

BĄKOWSKI

eprasa.pl e884b37b5b

W NUMERZE

KRAJ

8 **Głęboki kryzys kapitalizmu**
– rozmowa z prof. Elżbietą Mączyńską
12 **Nadciąga armagedon**
Kryzys paliwowy w Polsce
15 **Kapitan Parawan w akcji**
Sezon nad Bałtykiem
20 **Jak Słowianin ze Słowianinem**
Uchodźcy z Ukrainy uczą się polskiego
50 **Potęga Prasy**
25 lat dziennikarskich obozów „Angory" w Rewalu

ZAGRANICA

24 **Z czym do NATO**
Wojskowe „wiano" Szwecji i Finlandii
26 **Francja wciąż ma kompleks postimperium**
– rozmowa z Marcinem Giełzakiem
29 **Żółwiki i obietnice**
Wizyta Bidena na Bliskim Wschodzie
32 **Jak Kolumbia stała się kobietą**
Pierwsza wiceprezydent Afrokolumbijka

KULTURA

36 **Obywatel Mleczko**
– rozmowa z Andrzejem Mleczką
40 **Ekshibicjonizm literacki i pożytki z niego**
Debiutanci przenicowują swoje życie
43 **Qulturalia**
66 **Ufodziciel II. Bizarriusz polski**

OPINIE

44 **Piotr Kimla**
Zwrot na Wschód
46 **Paweł Siergiejczyk**
Niechciana tradycja
49 **Jan Machynia**
Zrozumieć wieś

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

48 **Godna praca dla pracowników rolnictwa poprzez dialog społeczny**

HISTORIA

52 **Zbrodnicza insurekcja**
Dziennik z powstania warszawskiego

OBSERWACJE

54 **Sekspraca w Polsce**
Hostessy, escortki, sponsoring

ZWIERZĘTA

58 **Zapylanie czas zacząć**
Nie tylko pszczoły

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Skok do pustego basenu
11 **Jan Widacki**
Miłość, miłość w Zakopanem…
19 **Andrzej Szahaj**
Latynizacja Polski
23 **Roman Kurkiewicz**
Jedyny pałac, przed którym chylę czoła
35 **Tomasz Jastrun**
Opleceni
39 **Wojciech Kuczok**
Między Kają a Mają
51 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Ogórkowa w kaplicy

15
KRAJ

KAPITAN PARAWAN W AKCJI
Sezon nad Bałtykiem

32
ZAGRANICA

JAK KOLUMBIA STAŁA SIĘ KOBIETĄ
Pierwsza wiceprezydent Afrokolumbijka

58
ZWIERZĘTA

ZAPYLANIE CZAS ZACZĄĆ
Nie tylko pszczoły

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl e884b37b5b

To jest zemsta. Tylko czyja?

Po pierwsze, w sprawie emerytur mundurowych zastosowano barbarzyńską odpowiedzialność zbiorową, czyli coś, co bardziej pasuje do czasów wojny lub krwawych dyktatur.

Po drugie, zrobili to politycy dla zemsty na dawnych wrogach politycznych. Politycy wywodzący się ze związku zawodowego domagającego się m.in. równych praw dla wszystkich, odpolitycznienia wymiaru sprawiedliwości i paru innych ważnych rzeczy (21 postulatów), których w większości po dojściu do władzy nie wprowadzili.

Jedni wpadli na ten szkaradny pomysł i go zastosowali. Drudzy, którzy przyszli po nich, wpadli na pomysł, że można to jeszcze poprawić.Niemała część tych polityków lubi być fotografowana w pierwszych ławkach w kościele. Słuchają tam o miłosierdziu, przebaczeniu itp. Jednym uchem wlatuje, drugim wylatuje. Ważne, że sumienia czyste, bo nieużywane.

Michał Błaszczak

Wielki kopista

Donald Tusk powie wszystko, byle tylko sondaże skoczyły. I bez zbytniego przywiązywania się do własnych słów.

Karolina Siwkowska

•

Donald Tusk: „Polacy powinni pracować cztery dni". Leszek Balcerowicz: „Czterodniowy tydzień pracy to niebywałe populistyczne brednie". Fajna ta Platforma, taka trochę niezdecydowana.

Konrad Kawa

Za potrzebą ścieżką przy dębie i w lewo za kamieniem

Toalet publicznych też jest bardzo mało.

Piotr Wałkówski

•

Budowa toalet publicznych to beznadziejny pomysł. W punktach gastronomicznych, urzędach i galeriach toalet jest tyle, że w żadnym mieście nie miałem z nimi problemu. Po co tworzyć nowe nierentowne obiekty?

Mirosław Czajka

•

Na pytanie, gdzie jest WC, dostałam odpowiedź, że na grani. To było w schronisku w Bieszczadach. Nie w latach 50., tylko w XXI w.

Ewa Dziarska

Kto ukradł dzieciom kolonie

W kapitalizmie pracownicy otrzymują od zakładu „benefity" w postaci owocowych czwartków, kiedyś „benefitem" były mieszkania pracownicze czy kolonie dla dzieci. I komu to przeszkadzało?

Katarzyna Duda

•

Jeździłam na kolonie i obozy. Dzięki temu zwiedziłam wiele miejsc. Opiekunami były osoby z przygotowaniem pedagogicznym. To dawało gwarancję, że dzieci będą miały dobrą opiekę. Nie lubiłam poobiedniego wypoczynku, ale było wiele zajęć pozwalających rozwijać zainteresowania lub czegoś się nauczyć. Organizowano wycieczki piesze i autokarowe. Zawarłam wtedy wiele znajomości, które przetrwały do dzisiaj. Moje dzieci także jeździły na kolonie w końcu lat 80. i były zadowolone.

Danuta Drelich-Pacanowska

Więcej kolonijnych wspomnień na s. 18

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

To jeszcze Wisła czy już Wisełka? Bardzo niski poziom wód królowej polskich rzek. Warszawa, 21 lipca 2022 r.

eprasa.pl e884b37b5b

16 lipca 1992 r. **prof. Henryk Skarżyński** przeprowadził pierwszą w Polsce operację wszczepienia implantu słuchowego osobie całkowicie niesłyszącej. Dziś dzięki niemu Polska jest światowym liderem w leczeniu wad słuchu, a jego pacjenci grają na koncertach i śpiewają. W tym roku odbyła się już ósma edycja **Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego „Ślimakowe Rytmy”**.

•

Nic tak szybko nie rośnie jak liczba rozwodów. W marcu 2021 r. taki stan cywilny zadeklarowało 2,443 mln Polaków, w tym prawie 1,4 mln kobiet. To ogromna zmiana, bo w czasie spisu w 2002 r. osób rozwiedzionych było w Polsce trochę ponad milion.

•

Do długiej listy afer z udziałem księży katolickich dołączyła ta **ks. Andrzeja Dębskiego,** dyrektora biura prasowego białostockiej kurii, wykładowcy wyższego seminarium duchownego i kapelana Jagiellonii. Ten przypadek jest obyczajowo szczególnie drastyczny, a ofiar wiele. Metropolita białostocki pozbawił ks. Dębskiego prawa do wykonywania jakichkolwiek posług duszpasterskich i noszenia sutanny.

•

Armagedon na lotniskach. Odwołane loty, opóźnienia sięgające nawet kilku dni, tłumy podróżnych, zaginione bagaże. Największe opóźnienia są na lotniskach w Brukseli, Frankfurcie, Londynie, Budapeszcie i Lizbonie. Warszawa też jest wysoko. Najwięcej rejsów odwołują Turkish Airlines, Lufthansa i British Airways.

•

Waldemar Tatarczuk mimo krytyki ze strony PiS i środowisk prawicowych pozostanie dyrektorem lubelskiej **Galerii Labirynt,** znanej z wielu wydarzeń artystycznych i wystaw, m.in. wystawy „Nigdy nie będziesz szła sama” solidaryzującej się z protestami kobiet po wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej.

•

Prof. Mateusz Hołda ma 29 lat i jest najmłodszym profesorem w historii Polski. Tytuł przyznało mu Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przewód doktorski ukończył na VI roku kierunku lekarskiego, zajmuje się architekturą układu sercowo-naczyniowego.

•

Najszybszym miejscem w Polsce jest nie tor wyścigowy, ale tunel Południowej Obwodnicy Warszawy, czyli pod Ursynowem. Mimo 134 zainstalowanych kamer i tak od początku roku zarejestrowano tam 27 tys. przekroczeń prędkości. Rekordzista miał na liczniku ponad 190 km/godz.

•

Na 462 kontrole w taksówkach zamawianych przez aplikacje w 169 stwierdzono nieprawidłowości. Kontrolerzy z warszawskiego urzędu miasta, policji i straży granicznej wykryli kierowców pijanych lub będących pod wpływem alkoholu, z fałszywymi dokumentami, a nawet bez prawa jazdy.

•

Do 194 tys. sztuk wzrósł długoterminowy wynajem samochodów przez firmy. Najpopularniejsze modele to Škoda Octavia, Volkswagen Golf i Škoda Fabia.

•

70% Polaków publikujących zdjęcia w sieci pokazuje na nich życie swojej rodziny. A niemal połowa rodziców wrzuca do sieci zdjęcia dzieci. O zgodę pyta co czwarty (**„Twój Styl”**).

PRZEBŁYSKI

Pusty basen Roszkowskiego

Upały bywają takie, że zamuloną głowę może ożywić tylko coś ekstra. Na przykład ekstremalna jazda z Aleksandrem Nalaskowskim, z jego panegirykiem na temat Wojciecha Roszkowskiego pod pachą. Tak, tego Roszkowskiego, który napisał powszechnie obśmiewany podręcznik dla uczniów „Historia i teraźniejszość”. Na zamówienie ministra Czarnka Nalaskowski („Sieci”) ogłosił ex cathedra, że Roszkowski napisał w podręczniku „prawdę i tylko prawdę”, że jest to „świetnie napisana opowieść o naszym świecie”. A w ogóle jest on „badaczem o wielkiej klasie naukowej”. I to, co zrobił, jest jak skok w dal Boba Beamona w Meksyku (8,90 m). Z tym akurat można by się zgodzić. Ale z korektą. Podręcznik Roszkowskiego jest jak skok… do pustego basenu

Wieniec bez słów

Tyle mamy stacji telewizyjnych. Co jedna to bardziej wolna. Ale żadna nie pokazała tego, co było za kulisami uroczystości pod pomnikiem Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach. Był prezydent Duda. Pierwszy raz, od kiedy go wybrano. Był ambasador Ukrainy. Po raz pierwszy od 31 lat. No i jak się nie wzruszyć? My im tak pomagamy, więc i oni robią gest. Niestety, w wypadku ambasadora Ukrainy Wasyla Zwarycza skończyło się na złożeniu wieńca w żółto-niebieskich barwach. Bez jakiegokolwiek napisu na szarfie! Prezydent Duda zgromadzonym Polakom dwukrotnie powtórzył: „Miarkować słowa”. Miarkujemy więc, choć…

Kompleksy Wildsteina (młodszego)

Wielkie muszą być kompleksy Dawida Wildsteina, skoro uwierzył, że na całym świecie jest tylko jedna, jedynie słuszna interpretacja zdarzeń.

Oczywiście jego! I to w każdej sprawie. A już co do wojny w Ukrainie to każdy pozawildsteinowy pogląd jest ruską propagandą i mieszaniem ludziom w głowach.

Opętany tą obsesją młodszy z Wildsteinów zabrał się do dyscyplinowania tygodnika „Do Rzeczy”. Zabawne jest, gdy groteskowy kronikarz dojnej zmiany w macierewiczowskiej „Gazecie Polskiej” przywala tygodnikowi i ludziom, którym do pięt nie dorasta. I nie dorośnie. Przepaści między Łukaszem Warzechą a Dawidem Wildsteinem nie da się zasypać luksusowym papierem i ogromną kasą z państwowych spółek.

„Fakt” przeprasza Figurskiego

Michała Figurskiego Springerowski „Fakt” grillował uporczywie i bezlitośnie. Całe dwa lata. Od 2015 do 2017 r. Celowo. Bo zwiększanie sprzedaży tego kuriozalnego produktu to wielka kasa dla Ringier Axel Springer Polska. Sensacja za wszelką cenę. Prawda się nie liczy. Zawsze znajdzie się jakiś palant, który opisze choroby i sprawy prywatne.

PRZEPROSINY

Figurski na przeprosiny musiał czekać siedem lat. Tyle minęło od dnia, kiedy zaczęli z niego robić worek treningowy.

FOT. YOUTUBE(2), ARCHIWUM

eprasa.pl e884b37b5b

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Komu w Polsce wolno więcej, a komu mniej?

DR JACEK KUCHARCZYK,
prezes Instytutu Spraw Publicznych

Więcej wolno władzy, a mniej – opozycji. PiS nie przestaje zaskakiwać niekompetencją, szczególnie w kwestiach energetycznych oraz inflacji, mimo to jego zwolennicy pozostają bezkrytyczni, co pokazują kolejne sondaże. Każda inna partia rządząca zostałaby w podobnej sytuacji zmieciona, tak jak afera Rywina zmiotła SLD. Co do opozycji, to wolno jej mniej, bo nie tylko media rządowe, ale i niezależne są niezwykle czujne wobec wszelkich jej potknięć. Gdy Donald Tusk poparł ideę czterodniowego tygodnia pracy, skrytykowała go nawet lewicowa „Krytyka Polityczna", chociaż przedtem podobny postulat zgłosiło Razem. Poszczególne siły opozycji tak sprawnie wytykają sobie błędy, że czasem ma się wrażenie, że władza nie potrzebuje swojej propagandy.

DR HAB. EWA MARCINIAK,
politolożka, UW

Doświadczając różnego rodzaju deficytów – materialnych, statusu społecznego, prestiżu – często mamy poczucie, że ktoś ma lepiej od nas, co tłumaczymy sobie tym, że wolno mu więcej niż nam. Przykładowo, gdy ktoś szybko się bogaci, rodzą się podejrzenia co do legalności jego drogi do lepszego statusu. Źródłem tego rodzaju emocji bywa zazdrość lub zawiść, ale ich powszechność oznacza, że praktykowanie prawa budzi w naszym społeczeństwie wiele zastrzeżeń. Rezonuje w nim także przekonanie, że sprawującym władzę zawsze wolno więcej, co potwierdza choćby znana historia z zamykaniem cmentarzy. Zresztą przywileje mają nie tylko elity polityczne, ale również władze w organizacjach: np. szef może parkować, gdzie chce.

PAULINA MATYSIAK,
posłanka Razem

Niestety, zdarza nam się w Polsce niesłusznie pobłażać celebrytom, zwłaszcza jeśli ich lubimy. Ktoś jeździł samochodem pod wpływem alkoholu, nie płacił podatków, upokarzał podległe sobie zawodowo osoby czy wiódł życie prywatne w sposób, który publicznie krytykował, a zwolennicy, zamiast nazywać rzeczy po imieniu, bagatelizują te występki, nazywając je ekscentrycznym zachowaniem. Mniej mogą natomiast aktywistki i aktywiści walczący przeciw powszechnej dyskryminacji np. kobiet, osób LGBT czy ubogich. Takie osoby śledzone są bardzo uważnie, a byle zdjęcie w internecie potrafi być pretekstem do nieprawdopodobnej fali hejtu.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl e884b37b5b

GŁĘBOKI KRYZYS KAPITALIZMU

Świat Zachodu utracił zdolność myślenia strategicznego

Rozmawia Jakub Dymek

Zwykli obywatele kupują dziś paliwo po rekordowych cenach, rządy na całym świecie nie wiedzą, jak sobie poradzić z inflacją, a z miejsc uboższych niż nasz zachodni świat płyną już doniesienia o zamieszkach głodowych. Ten kryzys, który obserwujemy, został wywołany przez pandemię i wojnę, czy też pandemia i wojna tylko ujawniły zagrożenia już obecne w systemie, a tak wielkie przesilenie było jedynie kwestią czasu?

– Niestety, „pracowaliśmy" na te ekstremalne zjawiska przez ostatnie dekady. Pandemia i wojna to szkło powiększające, które zwraca uwagę na najniebezpieczniejsze konsekwencje, ale ten kryzys jest systemowy. My zaś widzimy teraz, jak materializują się zagrożenia, które stworzyliśmy w ramach niekontrolowanej globalizacji i wolnego rynku wyjętego spod rygorów i zasad.

Co więcej, obserwujemy kryzysową multiplikację, multikryzys (historyk ekonomii Adam Tooze mówi np. o polikryzysie), negatywną synergię tych niebezpiecznych zjawisk – jedno pociąga za sobą drugie. My od lat w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym o tym wszystkim mówiliśmy…

O tym wszystkim, czyli o czym?

– Na przykład o tym, że wolny rynek nie jest idealnym mechanizmem przywracania równowagi! Ostatnio w Polsce na zaproszenie młodego środowiska Polskiej Sieci Ekonomii gościł bardzo ciekawy australijski ekonomista Steve Keen, który przekonuje, że kapitalizm nigdy nie dążył do równowagi w świecie, do „idealnego ekwilibrium". Bo przecież w rzeczywistości chodzi w kapitalizmie o coś przeciwnego! Uczestnicy kapitalistycznej gry rynkowej walczą o dominację, a nie o równowagę. W ramach rozwoju systemu silni stają się coraz silniejsi. Keen mówi, że świat jest z natury niezrównoważony i pełen chaosu, a kapitalizm, im bardziej skomplikowany się staje, tym więcej tworzy kryzysów. Ale my to wiemy przecież od dawna! Podobnie jak to, że wolny rynek ma w sobie mechanizm samodestrukcji, a preferując najsilniejszych, w końcu nie tworzy idealnej wolnej konkurencji, ale prowadzi do powstawania monopoli i oligopoli. Kiedyś dotyczyły one przemysłu, a dziś także informacji cyfrowej i sztucznej inteligencji. Co dokładnie widać na przykładzie grupy GAFAM – od nazw wielkich koncernów technologicznych Google, Amazon, Facebook, Apple i Microsoft – o których i pan tyle pisze.

Inne zaś koncepcje, konkurencyjne wobec neoliberalnej globalizacji, takie jak ordoliberalizm, były w ostatnich dekadach odrzucane. W imię czego? Nieskrępowanej konkurencji, deregulacji i odbierania państwu możliwości wpływu na gospodarkę. Domagano się, by państwo odgrywało wyłącznie rolę „nocnego stróża". A gdyby nie złodzieje i bandyci, to nie potrzebowalibyśmy państwa w ogóle.

> Pandemia uświadomiła nam, co to znaczy, gdy artykuły niezbędne do życia i zdrowia są produkowane tysiące kilometrów od nas.

Ale globalizacja naprawdę tworzy dobrobyt, a konkurencyjne wobec niej idee przegrały, bo wszyscy od 30 lat zgodnie twierdzą, że świat dzięki niej tylko się wzbogacił.

– Owszem, mówiło się, że wszyscy będziemy bogatsi dzięki przenoszeniu miejsc pracy tam, gdzie produkcja jest tańsza. Aż pandemia uświadomiła nam, co to znaczy, gdy artykuły niezbędne do życia i zdrowia są produkowane tysiące kilometrów od nas.

Przekonanie, że mechanizm wolnego rynku ureguluje wszystko należycie, że nie dopuści do występowania niedoborów, zapewniając trwałą równowagę, miało jeszcze

eprasa.pl e884b37b5b

jedną negatywną konsekwencję. Doprowadziło do marginalizacji kultury myślenia strategicznego na Zachodzie. Przez całe dekady zachowywaliśmy się, jakby nie trzeba było się zabezpieczać przed zagrożeniami, bo przecież „rynek o to zadba". Kolejne katastrofy, od ekstremalnych zjawisk pogodowych, przez pandemię, po wojnę, pokazują, że tak po prostu nie jest. I że kultury oraz narody, w których tradycja myślenia i podejścia strategicznego o długim horyzoncie czasowym ma się lepiej, lepiej sobie radzą w sytuacjach kryzysowych.

– W tym, że importowaliśmy surowce energetyczne z Rosji, nie ma nic nadzwyczajnego. Zdaliśmy się na Putina, ale od kogoś trzeba było importować gaz i ropę. W realiach globalizacji i wolnego handlu to były decyzje wręcz oczywiste. A już na pewno zwolennicy w pełni wolnego handlu – którzy byli w większości – nie podważali tego mechanizmu. Dopiero teraz, gdy ujawniają się olbrzymie koszty tego uzależnienia, głośniejsi są krytycy. Ale każda decyzja ekonomiczna ma swoje ukryte koszty, ich nie da się uniknąć. Problem w tym, że dopóki nie uświadomiła nam tego wojna, a wcześniej pandemia, nie dyskutowaliśmy o możliwych zagrożeniach i nie były prowadzone pełne kalkulacje.

PROF. ELŻBIETA MĄCZYŃSKA

Gdy ludzie wierzą, że rynek zaspokoi wszystkie potrzeby społeczeństwa, to wierzą też, że nie ma potrzeby szyć maseczek medycznych we własnym kraju albo tworzyć rezerw gazu na czarną godzinę?

– Tak. I jak sądzę, opacznie rozumiane są tezy „Czarnego łabędzia" Nassima Nicholasa Taleba. To, że przytrafiają się zjawiska niesłychanie rzadkie i niespodziewane, te czarne łabędzie właśnie, nie oznacza, że powinniśmy zrezygnować z długookresowych scenariuszy prognostycznych, a tym bardziej z tworzenia strategii wieloscenariuszowych.

To, że Zachód postanowił zostawić kwestię produkcji dóbr konsumpcyjnych Chinom, a wydobycie surowców energetycznych Rosji, musiało nam kiedyś wypalić w twarz?

Zaczął pan naszą rozmowę od wspomnienia o zamieszkach głodowych…

Tak.

– To spójrzmy, z jakimi absurdami na rynku żywnościowym mamy do czynienia od dekad! Marnotrawstwo żywności jest szacowane na ok. 30%. FAO przewiduje, że prawie miliard ludzi znów będzie głodował. Co oznacza, że jedynie dzięki zmniejszeniu tego marnotrawstwa o 10% uratowalibyśmy tyle żywności, że wystarczyłoby do nakarmienia wszystkich głodujących.

Kiedy miliarderzy chcą budować własne rakiety, satelity i podbijać przestrzeń kosmiczną – pieniądze się znajdują. Ale nie mamy ich, kiedy Światowy Program Żywnościowy przy ONZ domaga się kilku miliardów rocznie od rządów i prywatnych darczyńców, żeby powstrzymać klęskę głodu.

– Tu dotykamy problemu systemu podatkowego i tego, dlaczego miliarderom tyle pieniędzy zostaje w kieszeni. Mówimy też o typowym zjawisku prywatyzacji zysków, a uspołeczniania kosztów i strat. Bo gdy dojdzie do głodu, to i tak państwa oraz organizacje międzynarodowe muszą w końcu pomóc. Czyli wszyscy ponoszą koszty tej pomocy, choć niektórzy mają więcej możliwości, żeby uciec ze swoim majątkiem i portfelem, wymigać się od obowiązku dokładania się do wspólnej kasy.

Oczywiście dzisiaj zachodni eksperci i publicyści zwracają uwagę na Ukrainę i niszczenie spichlerza Europy. Podkreślają, że przez blokadę portów i działania wojenne nie będzie można tą drogą eksportować zbiorów pszenicy, które pokrywają 50% – a czasami i więcej – zapotrzebowania w krajach Bliskiego Wschodu i Afryki. I to prawda, ale czy wcześniej te bogate kraje Zachodu nie narzucały niekorzystnych warunków rolnikom w biedniejszych krajach? Czy nie tworzyły przewagi same dla siebie za pomocą różnych kwot importowych i ceł? Czy nie pozwoliliśmy wielkim firmom zniszczyć małych, rodzinnych gospodarstw?

Jakie jest obecnie największe zagrożenie dla światowej gospodarki? Czy dotyczy ono długu, wymykających się spod kontroli cen paliw i energii, niemożliwości eksportu żywności?

– Moim zdaniem nie można o tym rozmawiać bez mówienia

Prof. dr hab. Elżbieta Mączyńska – profesor nauk ekonomicznych, związana ze Szkołą Główną Handlową w Warszawie. Członkini Prezydium Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus", Komitetu Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Nauk. Prezes honorowy Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e884b37b5b

o globalnych nierównościach. I tym, że one rosną. To fundamentalny problem. Oczywiście krytycy takiej opinii od razu powiedzą, że dobrobyt materialny przecież wzrasta! To prawda, jest więcej produktów i dóbr. Ale przepaść między bogatymi a biednymi rośnie. Nierówności zaś nie mają tylko charakteru majątkowego. Chodzi m.in. o dostęp do ochrony zdrowia, edukacji, rzeczywistej ochrony prawnej, o uczestnictwo w demokracji, w tym o to, czy wybory nie zostaną po prostu kupione przez zamożniejszych.

Kapitalizm, im bardziej skomplikowany się staje, tym więcej tworzy kryzysów.

Istnieją już pogłębione analizy i liczne publikacje, książki o tym, że nierówności zabijają – dosłownie! Także w zamożnych społeczeństwach. Bo w krajach takich jak Stany Zjednoczone, gdzie nie brakuje przecież jedzenia, a medycyna stoi na najwyższym poziomie, biedni i tak ponadprzeciętnie często umierają na choroby spowodowane złą jakością tego jedzenia i brakiem dostępu do opieki zdrowotnej równie dobrej jak ta, z której korzystają zamożniejsi. Nierówności są również zarzewiem buntów, rewolucji społecznych. Jak we Francji, gdy podwyżka akcyzy na paliwo stała się pretekstem do wielkiego protestu „żółtych kamizelek".

Bo ludzie obawiają się spychania kosztów zielonej transformacji na uboższych?

– To też, ale przede wszystkim dlatego, że transport jest kosztem ubocznym, który ponosi prowincja i o którym rzadziej myśli centrum. W całych regionach świata, co doskonale znamy także z Polski, likwidowano usługi publiczne, miejsca pracy czy infrastrukturę transportową. Ludzi we Francji czy w USA na razie jeszcze stać, żeby dojechać gdzieś we własnym zakresie, ale ten koszt uboczny w postaci tkwienia godzinami w korkach, coraz droższej benzyny, mniejszej liczby miejsc do parkowania i kolejnych utrudnień staje się dla nich nieznośny, więc się buntują. Widzą już istniejącą nierównowagę i są wściekli, że ona w imię różnych szlachetnych haseł może się stać jeszcze bardziej dla nich niekorzystna.

Może inna globalizacja nie była możliwa?

– Gdybyśmy nie kierowali się wyłącznie prostackim rachunkiem ekonomicznym, to jest takim, w którym nie uwzględnia się negatywnych następstw ubocznych, zawsze dążąc tylko do maksymalizacji zysku, to inna globalizacja byłaby możliwa. Globalna gospodarka była, jest i będzie. Nierównowagi również będą istnieć: pewne kraje są zamożniejsze od innych, jedni muszą w danym momencie się zadłużyć, a drudzy redukować wydatki itd. Ale gdybyśmy w ramach postępów globalizacji uwzględniali inne ryzyka i koszty, oprócz tych finansowych – własny czas, zdrowie, zniszczenie środowiska – nie musielibyśmy dziś podejmować tak kosztownych decyzji dotyczących przenoszenia produkcji lub inwestycji w transport i energetykę, co zaniedbaliśmy.

To co robić? Diagnozę już postawiliśmy przekrojowo.

– Pan uważa, że postawiliśmy właściwą diagnozę i opisaliśmy problem, ale wielu neoliberalnych ekonomistów postawi diagnozę całkowicie inną. Są jeszcze zwolennicy neoliberalnych rozwiązań, którzy będą ich bronić przed każdą krytyką, będą podkreślać, że za wszystkimi problemami świata stoją państwa i ich ingerencje w doskonałe – ich zdaniem – wolnorynkowe mechanizmy. Jestem innego zdania i dzisiejsza rzeczywistość mnie w tym utwierdza. Polemizuję z neoliberalną wizją świata nie od wczoraj – po wybuchu pandemii czy wojny – ale od dawna. Obecnie nasila się krytyka systemu neoliberalnego. Dostrzegana jest niechlubna, jak to określa Grzegorz Kołodko, spuścizna neoliberalizmu.

Ale świadomość, że system jest zawodny, nie oznacza, że od razu on się zmieni! Paul Krugman pisze o „ideach zombie", które nie chcą umrzeć. I wciąż jest ich wiele, choć szkodzi to ludziom i gospodarce. A teraz jeszcze wracamy do pomysłu wydawania 3% PKB na zbrojenia. I co robić? Mam załamywać ręce jako ekonomistka czy zgodzić się ze znaną zasadą, że „kto chce pokoju, musi szykować się do wojny"? Czasami z kryzysów wyciągamy dobre wnioski, ale jeszcze lepsze wyciągają ci, którzy chcą utrzymania status quo i podtrzymywania dotychczasowego systemu za wszelką cenę.

To nie podzieli się pani choć jedną radą?

– Trzeba myśleć strategicznie i odbudować kulturę wieloscenariuszowego prognozowania kierunków rozwoju społeczno-gospodarczego. Dlatego jako Polskie Towarzystwo Ekonomiczne przełożyliśmy i opublikowaliśmy niedawno słynny tekst Keynesa sprzed ponad 90 lat „Ekonomiczne perspektywy dla naszych wnuków". Żeby pokazać, że kiedyś w Europie byli myśliciele, którzy nie bali się kreowania długookresowej wizji przyszłości. I przede wszystkim nie bali się zmierzyć z wyzwaniami dotyczącymi wielkiej perspektywy. Keynesowski esej to wizja obejmująca okres 100 lat – do 2030 r. Dziś widać, jak bardzo brakuje tego typu refleksji i opracowywania długoterminowych, wieloscenariuszowych strategii. A mają to inne kultury, przede wszystkim azjatyckie, w tym na pierwszym miejscu Chiny. I tu wracamy do tego, od czego zaczęliśmy: kto uważa, że wszystko załatwi wolny rynek i „niewidzialna ręka", ten nie szykuje się ani do wojny, ani na żaden kryzys – nie będzie na to przygotowany i poniesie dotkliwe tego konsekwencje.

Narody, w których tradycja myślenia i podejścia strategicznego o długim horyzoncie czasowym ma się lepiej, lepiej też sobie radzą w sytuacjach kryzysowych.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e884b37b5b

Z Galicji

Jan Widacki

Miłość, miłość w Zakopanem…

W Zakopanem niby tłumy, jednak chyba mniej liczne niż zwykle. Górale oczywiście narzekają, że gości mało, ale to już taki rytuał. Narzekają, że mało, nawet gdy wszystkie miejsca w hotelach i pensjonatach zajęte, gdy kwatery przepełnione, przez Krupówki przejść nie można, a na wejście do knajpy trzeba czekać. No to teraz aż takich tłumów nie ma. Krupówkami da się przejść, w knajpach są wolne miejsca. Na to ostatnie złożyły się chyba dwa główne czynniki. Po pierwsze, turystów i wczasowiczów rzeczywiście jest nieco mniej, po drugie – ceny! Ludzie publikują w mediach społecznościowych „paragony grozy". Faktycznie wieje grozą, gdy poznaje się ceny. Nie tylko w Księstwie Góralskim (które bardziej adekwatnie należałoby nazwać królestwem bezguścia). Tam już są szczególne. Ale jeśli ktoś chce się napatrzyć na czernie, złota, szkło, oscypki czekoladowe, oscypki złote, niech płaci za kawę od 20 zł w górę. Gorzej, że wszędzie, w najmniejszej dziurze, o kilkadziesiąt procent drożej niż przed rokiem.

Zakopane to jednak nie tylko miasto, w którym wszyscy „polewają się szampanem" albo piją kawę za dwie dychy. Czasem komuś potrzebne jest lekarstwo. Znajomy wprawdzie przywiózł ze sobą leki, ale tak się złożyło, że musiał zostać dwa dni dłużej i jeden lek mu się skończył. Akurat ważny, bo przeciwzakrzepowy. Ruszył więc do apteki. Nie miał wprawdzie recepty, ale był przekonany, że lek zostanie mu sprzedany na podstawie tzw. recepty farmaceutycznej. Przypomnę tylko, że zgodnie z Prawem farmaceutycznym (art. 96), jeśli ktoś znajdzie się w sytuacji zagrożenia zdrowia i jest mu niezbędny lek sprzedawany tylko na receptę, taką receptę może wypisać farmaceuta, który ma prawo wykonywania zawodu. W tym trybie nie można jedynie wystawić recepty na leki zawierające środki odurzające lub substancje psychotropowe określone w przepisach o przeciwdziałaniu narkomanii. Nie ulega wątpliwości, że potrzebny lek przeciwzakrzepowy nie zawierał takich substancji. Znajomy ufnie wkroczył do apteki Superpharm przy Krupówkach 45. Powiedział farmaceutce, o co mu chodzi. Ta wybałuszyła oczy, spojrzała na puste opakowanie po leku, które znajomy jej okazał, po czym z miną wyroczni oznajmiła: „To nie jest lekarstwo ratujące życie". Gdy znajomy nieśmiało powiedział, że przepis mówi nie o zagrożeniu życia, tylko o zagrożeniu dla zdrowia, wezwała do pomocy kolegę. Pan farmaceuta również obejrzał opakowanie i zawyrokował: „To jest zbyt ciężki lek. Na taki panu recepty nie wypiszemy". Znajomy nie wiedział, co to w farmacji znaczy ciężki lek, a co lekki, tu dyskusji nie podjął, zauważył tylko, że państwo farmaceuci mówią chyba rzeczy sprzeczne. Najwyraźniej dla pani farmaceutki był to lek zbyt lekki, bo nieratujący życia, dla pana farmaceuty zbyt ciężki, aby na niego wystawić receptę farmaceutyczną. Wobec stanowczej, choć sprzecznie uzasadnionej postawy obojga farmaceutów znajomy ruszył w dół Krupówek w poszukiwaniu innej apteki.

Znalazł taką niebawem. Apteka Dr.Max. Znów to samo, ściślej – prawie to samo. Pani farmaceutka jakby pierwszy raz słyszała o recepcie farmaceutycznej. Wezwała do pomocy kierowniczkę. Kierowniczka spod okularów spojrzała z wyższością na mojego znajomego i stwierdziła, że recepty farmaceutycznej nie wystawi, bo taką wystawia się tylko w sytuacji ratowania życia, a wedle jej oceny znajomy wygląda zdrowo. Chłop wylazł w zeszłym tygodniu ze szpitala, ale pani kierowniczka diagnozuje lepiej, w dodatku na oko. Znajomy nie wytrzymał i pokazał tej pani w telefonie stosowny przepis Prawa farmaceutycznego. Odpowiedź była jeszcze bardziej zdumiewająca niż poprzednio: „U nas w sieci te przepisy nie obowiązują. Mamy własne!". Dalsza rozmowa z kierowniczką (lub kobietą podającą się za kierowniczkę) nie miała sensu. Znajomy się poddał. Choć zbliżał się już piątkowy wieczór, postanowił wrócić do Krakowa.

Zakopane to nie tylko miasto, w którym wszyscy „polewają się szampanem". Czasem komuś potrzebne jest lekarstwo.

Na szczęście po drodze wpadł na pomysł, by wstąpić do apteki w Poroninie. Młoda farmaceutka po wysłuchaniu prośby przeprosiła, że to chwilę potrwa i że musi prosić o dowód osobisty, podeszła do komputera, wypisała receptę i wydała lek.

Nie rozważam, czy odmowa sprzedaży tego konkretnego leku w tej konkretnej sytuacji wypełniała znamiona przestępstwa z art. 160 par. 2 Kodeksu karnego, czy nie. Poza sporem jest natomiast to, że farmaceuci w dwóch aptekach w centrum Zakopanego co najmniej nie znają przepisów Prawa farmaceutycznego, nie błyszczą też inteligencją ani nie okazują elementarnej empatii. Brak inteligencji i empatii pewnie można by im darować. Ale nieznajomości prawa regulującego ich codzienne funkcjonowanie darować nie można.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e884b37b5b

NADCIĄGA ARMAGEDON

Węgla nie ma, zimą może zabraknąć gazu, prąd będzie kosztował x razy więcej, a tankowanie na Orlenie rujnuje budżet domowy. Jak żyć?

Marek Czarkowski

Polska to bardzo bogaty kraj, skoro stać nas na tak imponujące wydatki. Ponad 11 mld zł – według rządowych szacunków – będzie kosztował budżet najnowszy pomysł rządu premiera Morawieckiego – 3 tys. zł dopłaty dla gospodarstw domowych korzystających ze źródeł ciepła opalanych węglem. Pieniądze niekoniecznie trzeba będzie wydać na zakup tego surowca, zwłaszcza że chwilowo składy węgla w Polsce świecą pustkami albo oferują desperatom kolumbijski ekogroszek po 3-3,4 tys. zł za tonę.

Gabinet premiera opracował szlachetny plan. Mamy nad Wisłą 3,5 mln gospodarstw domowych korzystających z węgla. By sięgnąć po dopłatę, wystarczy zarejestrować piec, kozę lub inne palenisko w Centralnej Ewidencji Emisyjności Budynków i zgłosić się do urzędu gminy po pieniądze. A ponieważ rząd nie przewiduje wprowadzenia kryterium dochodowego, chętnych będzie wielu.

Za to na wsparcie ze strony państwa nie mogą na razie liczyć „ekofrajerzy", którzy ogrzewają domy gazem, pelletem, drewnem lub olejem opałowym. W przeszłości wzięli dopłaty, by wymienić „kopciuchy" na spełniające unijne normy nowoczesne piece, a dziś płacą i płaczą.

Wszystko to dzieje się w kraju z największymi w Unii Europejskiej złożami węgla kamiennego. Mającymi nam wystarczyć – jak zapewniał prezydent Andrzej Duda – na 200 lat.

Dlaczego Polska, hojnie obdarowana czarnym złotem, zmuszona jest szukać węgla w tak odległych krajach jak Australia, Botswana, Indonezja, Tanzania, Kolumbia czy Republika Południowej Afryki?

Co poszło nie tak?

Chaos na rynku węgla to nie wina Putina, lecz efekt niekompetencji rządu Morawieckiego. Łatwo mogliśmy tego zamętu uniknąć, a zaoszczędzone miliardy wydać na edukację albo służbę zdrowia.

Politycy Prawa i Sprawiedliwości świetnie wiedzieli, że natychmiastowe wprowadzenie embarga na rosyjski i białoruski węgiel spowoduje niedobory tego surowca. Pisano i mówiono o tym w mediach. Rząd musiał znać ekspertyzy precyzyjnie opisujące, ile jakiego węgla sprowadzamy i skąd. I wiedzieć, jakie są możliwości przeładunkowe polskich portów oraz możliwości przewozowe spółki PKP Cargo. A mimo to w kwietniu wybrańcy narodu radośnie głosowali za ustawą wprowadzającą embargo na rosyjski i białoruski węgiel.

W tym samym czasie Komisja Europejska przezornie zgodziła się, by embargo na ten surowiec zaczęło obowiązywać w Unii dopiero od połowy sierpnia. Oficjalnie chodziło o zakończenie zawartych w dobrej wierze kontraktów. Mniej oficjalnie – o zgromadzenie jak największych zapasów.

W marcu już nikt na Zachodzie nie miał złudzeń co do tego, jak bardzo tamtejsze gospodarki są uzależnione od dostaw surowców energetycznych, w tym węgla, z Rosji. I jak trudno będzie znaleźć alternatywnych dostawców. Dlatego Bruksela i co bardziej przytomne europejskie rządy zgodziły się opóźnić termin wprowadzenia zakazu importu tego surowca. Trzeba było zrobić tak samo.

Nie zostalibyśmy wtedy zaskoczeni informacją, że – w zależności

eprasa.pl e884b37b5b

Składy opałowe świecą pustkami. Nz. skład w Poznaniu, 20 lipca 2022 r.

od szacunków – zabraknie nam w tym roku od 4,5 mln ton do nawet 11 mln ton węgla.

Rząd i politycy PiS, mając świadomość, że wysokie ceny tego surowca oraz jego brak w składach najbardziej uderzą po kieszeni ich twardy elektorat – mieszkańców wsi, małych miast i miasteczek, hodowców drobiu, właścicieli szklarni itp. – niemal natychmiast zaczęli szukać rozwiązań.

Ich pierwszą reakcją na telewizyjne materiały o pustych składach węgla oraz doniesienia o błyskawicznym wzroście jego cen był oryginalny pomysł, by Polacy, niczym pańszczyźniani chłopi, zbierali po lasach chrust, patyki, gałęzie i szyszki.

Następnie do akcji wkroczyła minister klimatu i środowiska Anna Moskwa, której premier powierzył zadanie zatkania węglowej dziury. Dlaczego jej? Resort, którym kieruje, odpowiada za rodzimą energetykę.

1 czerwca br. na Twitterze pojawił się wpis sygnowany nazwiskiem pani minister: „Wraz ze Spółkami Skarbu Państwa prowadzimy skuteczne działania, które zapełniły lukę węglową po decyzji o zakazie importu tego surowca z Federacji Rosyjskiej. Na dziś mamy zabezpieczone ponad 8 mln ton węgla. Jesteśmy po bezpiecznej stronie”.

Akurat! Ceny opału od marca do lipca wzrosły dwuipółkrotnie. W mediach gęsto było od krytycznych publikacji na temat e-sklepu Polskiej Grupy Górniczej, w którym sprzedawano tani węgiel z naszych kopalń. Do internetowego sklepu nie można było się zalogować, a jeśli to się udawało, opału na sprzedaż już nie było. W czerwcu br. śląscy policjanci zatrzymali nawet szajkę kupującą węgiel w e-sklepie i sprzedającą go po cenach rynkowych w jednym ze składów. Zapachniało dawnymi czasami, gdy przed II wojną światową sanacja walczyła z paskarzami, a po 1945 r. władza ludowa ostro brała się za spekulantów.

Na początku czerwca wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin w rozmowie z Polskim Radiem oświadczył, że „węgla nie zabraknie. A na jesieni ten węgiel dla indywidualnych odbiorców na pewno będzie dostępny”. Nie uspokoił atmosfery. Przeciwnie, uznano to za zły znak, bo Sasin kojarzy się Polakom z organizacją wyborów kopertowych w roku 2020, obietnicami w stylu wartej 200 mln zł rozlewni szczepionek w Polfie Tarchomin w roku 2021, o której dziś jest cicho, oraz zapowiedzią rychłego spadku inflacji, którą usłyszeliśmy z jego ust jesienią 2021 r.

Politycy PiS świetnie wiedzieli, że natychmiastowe wprowadzenie embarga na rosyjski i białoruski węgiel spowoduje niedobory tego surowca.

Wysyp pomysłów

Remedium na wzrost cen węgla miała być Ustawa o szczególnych rozwiązaniach służących ochronie odbiorców niektórych paliw stałych, która przewidywała, że maksymalna cena za tonę opału sprzedawanego gospodarstwom domowym (lub wspólnotom i spółdzielniom mieszkaniowym w przypadku budynków ogrzewanych węglem) wyniesie nie więcej niż 996,60 zł. To miała być cena maksymalna, czyli wybrańcy narodu zakładali, że oferowany węgiel mógł być tańszy.

Jedno gospodarstwo domowe mogło kupić w promocji maksymalnie 3 tony węgla. Rekompensatę w wysokości nie większej niż 1073,13 zł brutto sprzedawcy mieli otrzymywać z Funduszu Wypłaty Różnicy Ceny. Środki zaś miały pochodzić z Funduszu Przeciwdziałania COVID-19.

Przyjęto założenie, że skarb państwa będzie mógł przeznaczyć na te dopłaty nie więcej niż 3 mld zł. Prezydent Andrzej Duda podpisał tę ustawę 12 lipca br., lecz nie wejdzie ona w życie, bo tydzień później rząd zmienił koncepcję. Pojawiła się idea „3000+”, czyli 3 tys. zł dla każdego gospodarstwa domowego, które korzysta z węgla.

Twarzą tej dobrej zmiany jest minister Anna Moskwa, która miesiąc wcześniej, w trakcie posiedzenia sejmowej Komisji ds. Energii, Klimatu i Aktywów Państwowych, dowodziła, że podobny pomysł jest zły. Mówiła wtedy: „Jeżeli nawet przekażemy odbiorcy 1 tys. zł, 1,5 tys. zł lub nawet 2 tys. zł, tu możemy dyskutować, to nie daje nam żadnej pewności, że cena na rynku będzie akceptowalna. Możemy przekazać nawet 2 tys. zł, ale nie mamy gwarancji, że cena u wszystkich sprzedawców następnego dnia nie będzie na poziomie 3 tys. zł lub 4 tys. zł albo jeszcze większa”.

I to właśnie nas czeka. Węgiel sprowadzany z Australii, RPA czy Kolumbii będzie z pewnością droższy niż węgiel rosyjski. A co się stanie, gdy na rynek wpłynie zapowiedziane ponad 11 mld zł rządowych dopłat? Cena opału jeszcze wzrośnie, zwłaszcza gdy jesienią okaże się, że składy nie są wypełnione po brzegi. Ich właściciele już o to zadbają. Oznacza to kolejny impuls inflacyjny, który sprawi, że ceny innych towarów i usług znowu wzrosną.

Rykoszetem oberwą, a właściwie już obrywają, małe ciepłownie, które także korzystały z rosyjskiego węgla.

FOT. ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS

eprasa.pl e884b37b5b

W bardzo trudnej sytuacji jest na przykład spółka Energetyka Cieszyńska, która dostarcza prąd ponad połowie Cieszyna oraz takim firmom jak PPG Polifarb Cieszyn i Browar Zamkowy. Paliwa starczy jej do września, a na zrobienie zapasów na zimę nie ma środków. Oczywiście nie może też zapłacić za uprawnienia do emisji dwutlenku węgla. Podobnych przypadków będzie z pewnością więcej.

Komu przeszkadzał Naimski

Problemy z cenami i zaopatrzeniem w węgiel to tylko część kłopotów, które nas czekają. 20 lipca br. premier Morawiecki niespodziewanie zdymisjonował pełnomocnika rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej Piotra Naimskiego, który piastował swoją funkcję od grudnia 2015 r. Był on orędownikiem uniezależnienia Polski od dostaw rosyjskiego gazu i promotorem budowy gazociągu Baltic Pipe. Trzeba przyznać, że osiągnął wyznaczone cele.

Budowa Baltic Pipe jest na ukończeniu i w tym roku powinien popłynąć nim norweski gaz. Wybudowano gazociąg łączący nasz kraj z Litwą, rozbudowywany jest gazoport w Świnoujściu. Jak informuje spółka Gas Storage Poland, nasze magazyny gazu są wypełnione w 94%, co w porównaniu z Niemcami jest znakomitym wynikiem. Inna sprawa, że ich pojemność nie jest wielka, a korzystanie przez nasz kraj z magazynów gazu w Ukrainie jest w obecnych warunkach ekstremalnie ryzykowne.

Pracownicy Polskiej Grupy Górniczej otrzymają po 6 tys. zł rekompensaty inflacyjnej, a ci z Grupy Tauron – 7 tys. zł.

Bez rosyjskiego gazu, z którego sami zrezygnowaliśmy, nasz system funkcjonuje na styk. Jeśli np. opóźnią się dostawy norweskiego gazu gazociągiem Baltic Pipe lub będą one mniejsze, niż zakładamy, zimą pojawią się poważne problemy. W pierwszej kolejności dotkną one przemysł, indywidualni odbiorcy nie powinni ich zauważyć.

Wszystko to jest w pewnym stopniu zasługą Piotra Naimskiego, który – jeśli wierzyć nieoficjalnym doniesieniom z obozu władzy – przegrał walkę z rosnącym w siłę prezesem PKN Orlen Danielem Obajtkiem. Koncepcje obu panów dotyczące rozwoju szeroko rozumianej polskiej energetyki zbyt się różniły. Naimski miał jakoby wspierać pomysł zawarcia umowy w sprawie budowy polskiej elektrowni atomowej z amerykańskim koncernem Westinghouse, tymczasem oferty złożyły również francuski koncern EDF oraz koreański Korea Hydro&Nuclear Power.

Miał też podobno krytyczne zdanie na temat planów wchłonięcia przez PKN Orlen Grupy Lotos oraz PGNiG, za czym optował prezes Obajtek. Według mnie Naimski po prostu nie pasował do rządzącej Polską ekipy. Można nie zgadzać się z jego poglądami politycznymi, trzeba jednak docenić jego uczciwość i ideowość. Dziś to rzadko spotykane u polityków cechy. Pikanterii całej historii dodaje fakt, że ktoś, kto zadbał o bezpieczeństwo gazowe Polski, został odwołany przez kogoś, kto nie potrafił zadbać o zapewnienie dostaw węgla.

Bruksela i bardziej przytomne europejskie rządy zgodziły się opóźnić termin wprowadzenia zakazu importu węgla.

Milczący Sasin

Jest jeszcze jeden gracz, pozostający w cieniu. To wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin, w którego gestii pozostaje nadzór właścicielski nad kopalniami. W spółkach węglowych dzieje się wiele. 6 lipca związkowcy z Polskiej Grupy Górniczej skierowali do wicepremiera Sasina pismo, w którym domagali się natychmiastowego spotkania i rozmów, m.in. na temat przyjęcia nowych pracowników, inwestycji w nowe złoża w PGG i oczywiście kwestii płacowych. Nie doczekawszy się reakcji Sasina, po paru dniach kilkudziesięciu związkowców rozpoczęło okupację siedziby PGG w Katowicach.

Lider górniczej Solidarności Bogusław Hutek zapewniał dziennikarzy, że protestującym chodzi jedynie o rekompensatę inflacyjną. Przywołał w tym kontekście jednorazowe nagrody wypłacone 22 lipca pracownikom Jastrzębskiej Spółki Węglowej. To od 13 tys. do 19 tys. zł brutto.

Protest zakończył się 15 lipca br. podpisaniem porozumienia z zarządem. Przyjęto, że pracownicy PGG otrzymają średnio 6 tys. zł jednorazowego świadczenia będącego rekompensatą za skutki inflacji. Zgodzono się, że do 30 września zostanie ustalona wysokość rekompensaty za trzeci kwartał, a do 30 listopada – za czwarty. W grudniu ma też być uzgodnione przeciętne miesięczne wynagrodzenie w spółce na rok 2023. Gdyby coś poszło nie tak, górnicy podejmą protest.

W tym samym czasie rekompensatę inflacyjną wywalczyli związkowcy z Grupy Tauron – 7 tys. zł dla każdego pracownika. Z czego 6 tys. zł w lipcu, a 1 tys. zł przed świętami Bożego Narodzenia.

O ile premier Morawiecki czy minister Anna Moskwa zabierają głos w sprawach węgla, cen gazu czy energii elektrycznej, o tyle wicepremier Sasin milczy. Albo nie ma nic do powiedzenia, albo uznał, że najlepiej będzie przeczekać trudny czas, nie przyciągając uwagi i nie narażając się na krytykę. Ta strategia może mu zapewnić sukces, bo nie będzie się kojarzył ludziom z drożyzną.

Nie zmieni to faktu, że obok premiera Mateusza Morawieckiego, prezesa Daniela Obajtka, minister Anny Moskwy oraz innych rządowych oficjeli odpowiada on za zapaść, z jaką mamy do czynienia na rynku węgla. A to nie koniec, to początek prawdziwych kłopotów. Jesienią Polskę czeka armagedon.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e884b37b5b

Kiedy przygrzało słońce, plaże zapełniły się turystami.

Kapitan Parawan w akcji

Helena Leman

Sezon nad morzem: kapryśna aura, drożyzna i obyczaje do poprawy

W sobotę, 9 lipca, w Sobieszewie urlopowiczów mało w porównaniu z ubiegłym rokiem, na drogach też luźno. Ze Świbna szlakiem do rezerwatu Mewia Łacha wędrują pojedyncze osoby, nie ma ciągnącego się tłumu jak rok temu. Powoli podpływa wysłużony prom, przewożący ludzi przez Wisłę, do Mikoszewa. „Baja bongo, hej, bongo baja", płyną z głośników gorące rytmy. Próbują rozgrzać atmosferę, ale wokół jakoś mało wakacyjnie. Słońce ledwo przebija się przez chmury, ostro wieje. – Rowerki na lewo, samochody na prawo – dyrygują przewoźnicy. Trochę czekamy, aż prom się zapełni. Za przewóz ceny niewygórowane: 4 zł za pieszego, 5 zł za rower, 18 zł za samochód osobowy. A widoki z promu na królową polskich rzek niezapomniane. Na przystani w Mikoszewie stoiska z pamiątkami, bary gotowe do sezonu, ale działają jakby na pół gwizdka.

– Turystów w tym roku dużo mniej – ocenia sprzedawca ze straganu z bursztynami. – Inflacja i drogie paliwo robią swoje. Najwięcej klientów było w końcówce czerwca, podczas upałów, a teraz jest ich jak na lekarstwo. Tylko rowerzyści śmigają tam i z powrotem. Tylko że oni to raczej do mnie nie zaglądają. Jadą zobaczyć przekop i dalej kręcą, do końca Mierzei Wiślanej.

Na stoisku ozdoby przepiękne, uwagę zwraca naszyjnik z grubo ciętego, surowego bursztynu za ponad 1000 zł, można też nabyć bursztynowe kremy do rąk, balsamy, mydełka.

Obok w namiocie z pamiątkami kolorowe magnesy z imieniem i ciepłym przesłaniem, przypinki ze śmiesznymi hasłami, pamiątkowe otwieracze, breloki do kluczy i wystrugane z drewna imitacje przekopu mierzei. Kupujących niewielu.

Na trzykilometrowy marsz ku morzu kamienistą dróżką wzdłuż Wisły decydują się nieliczni, w drodze dopada ich ulewa. Na plaży pusto, nawet strażników pilnujących wejścia do rezerwatu Mewia Łacha od strony Mikoszewa nie widać, pewnie gdzieś się schronili przed deszczem. Betonowa grobla prowadząca na łachę kusi wielu amatorów fotografii, którzy chcą zrobić zdjęcia ptakom. W zeszłym roku strażniczka, która próbowała im przeszkodzić, została dwukrotnie zaatakowana. Dzisiaj jest spokojnie, kilku rowerzystów powoli przebija się ze swoimi pojazdami przez piasek, jakaś rodzina schroniła się przed ulewą w plażowym namiociku.

W lasach wzdłuż szlaku rowerowego R-10 w stronę Stegny zatrzęsienie czarnych jagód. Niektórzy cykliści robią sobie przerwę na wyżerkę. W Stegnie już czuć wakacje, w centrum kłębi się wielobarwny tłum, jest gwarno i głośno. W smażalni zamawiam dorsza z frytkami i surówkami za 60 zł.

eprasa.pl e884b37b5b

– W zeszłym roku to był sezon! Ludzie czekali pod lokalem, żeby wejść, a w tym roku nie wszystkie miejsca mamy zajęte – mówi szef smażalni. – I to wcale nie jest wina kapryśnej aury. 20-25 stopni to najlepsza temperatura, klienci wtedy mają apetyt, jak jest upał, ludzie nie jedzą. Nie wiem, czy w tym roku wakacje się rozkręcą.

Sopot przypomina o zasadach

W niedzielę z rana na sopockim „Monciaku" pustawo, za to służby sprzątające uwijają się jak w ukropie, opróżniając kosze na śmieci. Z godziny na godzinę liczba spacerujących rośnie. W południe jest tu wielojęzyczny tłum, dominuje styl sportowy, obszerne, pastelowe koszule-sukienki z bawełny czy lnu, wygodne spodenki, sandały. Na placu Przyjaciół Sopotu, między ul. Bohaterów Monte Cassino a wejściem na sopockie molo, kręci się oblegana przez dzieci karuzela retro. Plac ma zostać przebudowany, będzie tu więcej zieleni. Na razie rozstawiono stoiska z pamiątkami, biżuterią i jedzeniem. Można zjeść na szybko pajdę ze śledziem, turecką baklawę, chińskie pierożki, aromatyczne koreańskie kimchi. Do kas molo długa kolejka, bilet kosztuje 9 zł.

Na plaży pusto i wietrznie. Wiatr kręci bicze z piasku i smaga nimi tak, że po chwili piach ma się wszędzie – we włosach, w ustach. Od czasu do czasu nadlatuje ciemna chmura i zaczyna się krótka ulewa. Te warunki wytrzymują tylko nieliczni; starsza pani siedzi na piasku pod parasolką, dwie dziewczyny zawinęły się w koc termiczny i leżą tak opatulone, słuchając morza, ktoś rozstawił malutki namiot plażowy, ktoś inny z plecakiem pod głową drzemie w kapturze nasuniętym na oczy. Ani jednego parawanu, cisza i spokój, tylko huk wzburzonych fal i krzyk mew. Ale gdy przysiadam na drewnianej ławeczce przy wejściu, pod nogami mam pety po poprzednich bywalcach; co z tego, że dwa kroki stąd są kosze na śmieci.

Kampanię „Turysto, szanuj Sopot" miasto rozpoczęło cztery lata temu. W tym roku w ramach jej kolejnej odsłony 15 lipca rozwieszono na terenie kurortu plakaty w języku polskim i angielskim następującej treści: „Nie piję alkoholu w przestrzeni publicznej ani na plaży", „Korzystam z toalet publicznych, a swoje śmieci wyrzucam do kosza", „Parkuję w miejscach wyznaczonych lub na Eko parkingu przy Ergo Arenie", „W stroju kąpielowym chodzę tylko po plaży, wychodząc, ubieram się".

Rowerzyści jadą zobaczyć przekop i kręcą dalej, do końca Mierzei Wiślanej.

Na stronie Sopot.pl wypowiedź wiceprezydentki miasta Magdaleny Czarzyńskiej-Jachim: „Większość turystów przyjeżdżających do naszego miasta zachowuje się zgodnie z zasadami życia społecznego. Jednak niektórzy na wakacjach zapominają, że za ścianą wynajętego często mieszkania mieszka sopocka rodzina, która we własnym domu chciałaby odpocząć, normalnie żyć. A zakłócanie spokoju nocnego zdarza się niestety bardzo często. Naprawdę chcielibyśmy, by takie akcje nie były potrzebne, jednak rzeczywistość pokazuje, że wciąż mamy tu wiele do nadrobienia jako społeczeństwo. Co roku zdarza się niszczenie części wspólnych czy niesegregowanie śmieci, wciąż jednym z największych problemów jest parkowanie poza miejscami wyznaczonymi".

KARA ZA BIKINI

Kłopoty z obyczajami turystów to nie tylko polska rzeczywistość. W hiszpańskim Vigo za załatwianie się na plaży lub w wodzie grozi 750 euro, karane jest też pozostawianie śmieci na plaży, a w niektórych regionach także chodzenie w bikini czy bez koszulki po mieście.

Toaleta na sopockiej plaży kosztuje 3 zł, są tam też prysznice pod chmurką, gdzie można opłukać się z piasku przed wyjściem na miasto. Jak informuje Honorata Wendykowska z Sopockiej Organizacji Turystycznej, sopocka plaża miejska (wejście 23) dostosowana jest do potrzeb osób niepełnosprawnych. – Mamy na kąpielisku szeroką kładkę prowadzącą w głąb plaży, toaletę, przebieralnie, opłukiwacze z wygodnym dojazdem, a także specjalną amfibię umożliwiającą kąpiel osobom z niepełnosprawnościami – wylicza. – Takie osoby mogą również skorzystać z pomocy pracowników kąpieliska.

Gdy zmierzam nadmorską promenadą w stronę Jelitkowa, po ścieżce rowerowej śmigają cykliści, którzy mają tu nawet samoobsługową stację naprawy rowerów. Zauważam barwne plakaty akcji: „Stop golasom na ulicy".

– To jest już siódma edycja tej kampanii – ciągnie Honorata Wendykowska. – W jej ramach zwraca się uwagę na niestosowność zachowania osób, które w przestrzeni miejskiej, w restauracjach, ogródkach gastronomicznych i sklepach pojawiają się w strojach plażowych. Przypominamy o konieczności ubrania się przed skorzystaniem z usług. W akcję włączyła się większość sopockich przedsiębiorców.

Parawany to obciach

Sopot nie jest jedynym polskim kurortem, który podnosi sprawę turystycznego savoir-vivre'u. Burmistrz Darłowa Arkadiusz Klimowicz od 2016 r. walczy z miłośnikami plażowych parawanów. Nazwał je niegdyś „zakałą bałtyckich plaż". Początkowo

eprasa.pl e884b37b5b

Sopocka plaża miejska przystosowana jest dla osób z niepełnosprawnościami.

były nawet plany administracyjnego zakazu używania parawanów na darłowskiej plaży, ale z pomysłu ostatecznie zrezygnowano.

– Nie chcieliśmy, aby taki zakaz powodował nieporozumienia wśród plażowiczów. Nie chcieliśmy negatywnych emocji. Sądzę, że kłopotem byłoby też wyegzekwowanie takiego zakazu – wyjaśniał mediom burmistrz. Ostatecznie w 2017 r. zdecydowano się na akcję edukacyjną i informacyjną, której główną postacią został Kapitan Parawan – początkowo komiksowa postać z twarzą burmistrza. Rok później powstał cały komiks traktujący o zachowaniach turystów na plaży.

Zdaniem urzędników z darłowskiego urzędu miasta kilka lat akcji przynosi owoce. – Zmienił się stosunek wczasowiczów do parawaningu – ocenia Artur Maciąg z Referatu Sportu i Rekreacji. – Coraz większa jest świadomość, że odgradzanie swojego terenu na plaży to obciach. Obserwujemy, że coraz mniej ludzi pojawia się świtem na plaży, by postawić parawan i wrócić tam po śniadaniu. Takie zachowanie jest coraz rzadsze, po prostu nie wypada. Lecz pozostają inne problemy. Gdy dzisiaj byłem nad morzem, zauważyłem tatę z chłopczykiem, dziecko załatwiało się na wydmach, a przecież przy plaży są toalety. Wydmy od strony

W zeszłym roku to był sezon! Ludzie czekali pod lokalem, żeby wejść, a w tym roku nie wszystkie miejsca mamy zajęte.

Zaglądam do komiksu w internecie, są w nim informacje nie tylko o szkodliwości parawanów, które „psują nawet najpiękniejszy wschód słońca” i utrudniają pracę ratownikom, ale także porady dotyczące bezpieczeństwa, np. co oznacza czerwona flaga, jak prawidłowo zanurzać się w wodzie. W jednej ze scenek Kapitan Parawan mówi: „Córka nie ma motylków ani kamizelki, nawet kółka, to igranie z losem”. W innej apeluje, żeby uważać na dzieci i założyć im tzw. bransoletkę niezgubkę z numerem telefonu rodziców.

plaży są ogrodzone płotem leśnym, ale przejść na nie to nie problem. Wyznaczyliśmy na plaży strefy dla palaczy, są tam popielniczki, jednak zapanować do końca nad ludzkimi przyzwyczajeniami się nie da, to kwestia kultury.

Czy potrzebna jest straż plażowa

Gdy pytam Artura Maciąga, czy porządku na plaży nie powinna pilnować straż plażowa, odpowiada, że podobne uprawnienia ma straż miejska. Od wtorku, 19 lipca, darłowscy strażnicy mieli zacząć wzmożone kontrole nad morzem. Komendant tamtejszej straży miejskiej mówi, że mandaty mogą sięgać 500 zł. Za spożywanie alkoholu na plaży kara wynosi 100 zł.

To samo słyszę w Sopocie. – Uprawnienia do wystawienia mandatów mają straż miejska i policja – informuje Tomasz Dusza, komendant Straży Miejskiej w Sopocie. – Obie służby, a także sopockie WOPR, ściśle ze sobą współpracują. Plaże i wydmy są kontrolowane, zwłaszcza w godzinach popołudniowych. Palenie tytoniu na plaży nie jest zabronione, natomiast nie wolno na plażach śmiecić, a więc zostawiać niedopałków. Zabronione jest spożywanie alkoholu. Na sopockie plaże można się wybrać z psem, ale tylko w określone miejsca. Plaże dla psów są usytuowane przy granicach z Gdynią i Gdańskiem, przy wejściach nr 1 i 2, oraz od numeru 43 do 45. Pies na plaży powinien być na uwięzi i w kagańcu. Właściciel czworonoga ma obowiązek po nim posprzątać.

Dawnych obyczajów czar

Honorata Wendykowska mówi, że wczasowicze najczęściej pytają o sprawy komunikacyjne: gdzie kupić bilety, jak dojechać na lotnisko, jak dopłynąć statkami Żeglugi Gdańskiej np. na Hel, gdzie wypożyczyć rowery. Są też pytania gastronomiczne: gdzie zjeść dobrą rybę albo wypić dobrą kawę. Ludzie chcą również wiedzieć, co się dzieje w Sopocie. Wiadomości te można znaleźć nie tylko w punktach informacji turystycznej, ale i pod adresami: visit.sopot.pl oraz kalendarz.sopot.pl lub w bezpłatnej gazecie „Przepis na Sopot”.

Pani Honorata poleca wystawę w Muzeum Sopotu „Wczasy na wybrzeżu to najprzyjemniejszy wypoczynek”, poświęconą odpoczywaniu w Sopocie w okresie powojennym w ramach tzw. Funduszu Wczasów Pracowniczych.

– Wczasowicze przeważnie przyjeżdżali pociągami lub zakładowymi autokarami do zakładowych domów wczasowych. Pierwszym nowo zbudowanym obiektem tego typu był

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, HELENA LEMAN, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e884b37b5b

DW Chemik, wybudowały go Bydgoskie Zakłady Chemiczne – opowiada Justyna Gibbs z muzeum. – Turnusy rodzinne były przeważnie 14-dniowe, 21-dniowe związane były z rehabilitacją. Wypoczynek był zorganizowany: od godz. 7 do 9 śniadanie, o 13 obiad, o 18 kolacja. W soboty odbywały się potańcówki. W ośrodkach były pokoje socjalne, gdzie grano w warcaby, szachy, czytano książki z biblioteki, odbywały się tam odczyty. Na plaży do końca lat 70. dominowały kosze wiklinowe, które można było wypożyczyć, rzadziej zdarzały się parawany, dyskretniejsze od obecnych, z drewnianymi słupkami w kolorach neutralnych. Jednak większość ludzi opalała się na ręcznikach. Raczej nie było zwyczaju, żeby paradować w strojach kąpielowych po mieście. Do kultowych lokali należał Złoty UI, najlepsze lody były w lodziarni, którą prowadził Włoch, to miejsce przy „Monciaku" jeszcze działa. No i był festiwal w Operze Leśnej, który rozsławiał Sopot. Wczasowicze czasem dzwonili ze skargami do gazet, np. do „Głosu Wybrzeża". Znalazłam tam np. skargę na sopocki klub muzyczny Non Stop (związany z Czerwonymi Gitarami), że za głośno puszczał muzykę. W willi Claaszena, w której obecnie mieści się Muzeum Sopotu, za czasów PRL był rządowy ośrodek wczasowy, wypoczywał tu m.in. Józef Cyrankiewicz. Mamy takie zdjęcie Cyrankiewicza z aparatem w koszu na plaży.

W smażalni zamawiam dorsza z frytkami i surówkami. Płacę 60 zł.

– Lata 50. Miałem w kieszeni 10 zł. Spędziłem w plażowym koszu numer 406 pod Grand Hotelem pięć wspaniałych nocy! Mieszkałem w koszu, bo nie było mnie stać na nic innego. Ale byłem wśród jazzmanów. To się liczyło! – tak pobyt w Sopocie podczas pierwszego festiwalu jazzowego wspominał fotograf Marek Karewicz, a były wiceprezydent Sopotu i pisarz Wojciech Fułek dodaje, że kosze zamawiała plażowa „arystokracja", gdyż kojarzyły się z przedwojenną elegancją. O koszach plażowych, w których toczyło się intymne, drugie życie plaży, można zaś przeczytać w niezależnym portalu regionalnym tworzonym przez byłych dziennikarzy „Dziennika Bałtyckiego", Zawsze Pomorze.

Wreszcie upał

19 lipca we Władysławowie pogoda plażowa, mocne słońce i wiatr, który chłodzi. Tutaj zupełnie nie zanosi się na koniec ery parawanu, dźwiga go niemal co drugi zmierzający na plażę. Tłumaczenie najczęściej jest takie, że chroni od wiatru i piasku, poza tym daje prywatność i na plaży jest miejsce.

W Sopocie w weekendy obłożenie w obiektach noclegowych sięgało ponad 90%, we Władysławowie ludzie dopiero zaczęli się zjeżdżać, tak przynajmniej twierdzą taksówkarze. I to zjeżdżać na krócej, bo koniec bonów wakacyjnych i drożyzna zrobiły swoje.

Helena Leman

h.leman@tygodnikprzeglad.pl

Kto ukradł dzieciom kolonie

W każde wakacje w szkole podstawowej jeździłam na kolonie organizowane przez zakłady pracy rodziców. To były cudowne wakacje. Zawsze w innej części Polski. Uczyły samodzielności, funkcjonowania w grupie, wzajemnej pomocy. Czas wypełniony zabawami, podchodami, szukaniem skarbów, zwiedzaniem, odpoczynkiem. Bardzo dobrze wspominam tamte lata. *Bożena Miernik*

•

Jam kolonista w pełnej recydywie przez wiele, wiele lat. Dzięki PRL byłem nad morzem w Darłówku i Karwi, ale też w Wiśle, na Mazurach, o Karpaczu nie wspominając. Jako młodzian wędrowałem od Bieszczad po Beskid Sądecki, Pieniny, Tatry. Poznawałem umiłowaną ojczyznę. Czas był dobrze zorganizowany, warunki pobytu niekiedy surowe, ale rekompensowane pięknymi widokami, a nade wszystko wspólnotą życia w grupie. Kadra kolonijna zajmowała się nami z sercem i zaangażowaniem. Nie było żadnej indoktrynacji, którą pseudohistorycy dziś imputują. Było ciekawie, mądrze, bezpiecznie. I komu to przeszkadzało? *Tadeusz Kalinowski*

•

Pracowałam w dziale socjalnym w przedsiębiorstwie zatrudniającym ponad 3 tys. pracowników. W zakresie moich obowiązków leżała organizacja kolonii i obozów dla ich dzieci. Funkcjonował Zakładowy Fundusz Świadczeń Socjalnych, z którego korzystali wszyscy pracownicy i ich rodziny. Każde dziecko pracownika mogło wyjechać na letni wypoczynek – organizowaliśmy tyle turnusów, żeby wszyscy chętni mogli skorzystać.

Kiedy w 2009 r. odchodziłam na emeryturę, moich obowiązków w tym zakresie nikomu nie przekazano. Zaprzestano organizowania wypoczynku dla dzieci pracowników. Nie znam przyczyny. Wiem tylko, że wszystkie zakładowe organizacje związkowe, a było ich wówczas siedem, musiały wyrazić na to zgodę, wprowadzając odpowiednie zmiany w regulaminie ZFŚS.

Janina Frykacz

•

Tylko że obecnie ani dzieci, ani tym bardziej ich rodzice nie zaakceptowaliby ówczesnych warunków. Zakwaterowanie w szkolnych klasach, po 30 dzieci na łóżkach jedno przy drugim, jedzenie marne i na dzisiejsze warunki słabe rozrywki. Żadne dziecko nie chciałoby takich kolonii. Świat się zmienił, dzieci też. *Ewa Książek*

•

Nienawidziłam kolonii. Wychowawcy mieli nas w dupie. Jedzenie było obrzydliwe. Kieszonkowe – konfiskowane. Niczego nie zwiedzaliśmy, a nad wodą wolno było zamoczyć nogi do kolan, i to trzymając za ręce 15 innych kolonistów. Dopiero obozy harcerskie dobrze wspominam, ale wtedy byłam już 15-letnią panienką. *Joanna Rowińska*

•

Może nie było wystrzałowych atrakcji, ale każdy wyjazd to nowe znajomości i obejrzany kawałek Polski. *Maria Łakomy*

eprasa.pl e884b37b5b

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Latynizacja Polski

Był rok 1990. Pierwszy w wolnej Polsce ogólnokrajowy zjazd socjologiczny w Toruniu. Dużo optymizmu w wielu wystąpieniach polskich socjologów. I nagle głos z zupełnie innej bajki. Zastanawiająca była teza prof. Adama Przedworskiego, wybitnego socjologa amerykańskiego polskiego pochodzenia. Oto scenariusze dla Polski są różne, nie wszystkie korzystne. Jeden z nich, bardzo prawdopodobny, to jej latynizacja, pójście ścieżką Ameryki Południowej. No i spełniło się. Latynizacja jest faktem. Na czym polega? Po kolei. Model latynoski to biedne państwo bardzo bogatych i bardzo ubogich obywateli. Pierwsi są bogaci właśnie dlatego, że państwo jest biedne (nikt nadzorem i regulacjami nie przeszkadza im w robieniu interesów), a drudzy z tego samego powodu są ubodzy (nikt im nie pomaga, nie próbuje wyciągnąć z biedy). Bardzo słaby poziom usług publicznych. Prywatyzacja wszystkiego, co tylko da się sprywatyzować. Ogromne rozpiętości majątkowe. Czy to nie dzisiejsza Polska? Brakuje nam jedynie prywatnych milicji najbogatszych oraz silnej i wszechobecnej przestępczości. Jest wprawdzie bezpieczniej niż w Brazylii czy Salwadorze, ale poza tym? Osiedla mieszkaniowe za płotami, aby względnie zamożni nie mieszali się z „chamstwem", wielkie wille za murami i tysiące ludzi ledwo wiążących koniec z końcem. Wszechobecność głupawych telenoweli, pokazujących świat, który nie istnieje, i programów typu talent show, upokarzających aspirujących do sukcesu. Pogarda dla ludzi biednych. Kretyński kult celebrytów. A do tego całkowity upadek usług publicznych. Polska szkoła nigdy nie znajdowała się w tak kiepskiej sytuacji jak dziś. O służbie zdrowia lepiej nie wspominać. Kultura na dnie płacowym. Transport publiczny leży na łopatkach. Trudno się dziwić, że Polacy przestali już wierzyć w państwo i coraz bardziej przesuwają się ku prywatnemu sektorowi usług. Prywatne szkoły. Prywatne szpitale. Prywatna komunikacja. Rozwarstwienie społeczne, choć nie tak wielkie jak w Brazylii czy Argentynie, to wciąż znaczące.

No i mieszkalnictwo. Choć nie mamy jeszcze faweli jak w Rio de Janeiro, niedługo również ich się dorobimy. OK, przesadzam. Ale tylko trochę. Na co bowiem mogą liczyć młodzi ludzie wchodzący w życie? Na wieczne pomieszkiwanie z rodzicami albo na emigrację. Niemądra doktryna neoliberalizmu już u zarania wolnej Polski przesądziła o losie polskich rodzin. Chcesz mieszkania, to sobie je kup, wszak to towar jak każdy inny. Bzdura. Mieszkanie nie jest towarem jak guziki czy pietruszka. Zachód zrozumiał to już dawno (nawet Amerykanie). Ale nie my. A przecież mamy znakomite tradycje rozwiązywania problemów mieszkaniowych. Unikatowe w skali europejskiej, że przypomnę jedynie międzywojenną Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową (odprysk silnego ruchu spółdzielczego w ówczesnej Polsce). Nawet jej marna imitacja w postaci spółdzielni mieszkaniowych PRL miała jakiś sens. Dziś nie ma śladu po tej tradycji. Pozostał nam jedynie wolny rynek, który nie jest wcale tak wolny, jak by się wydawało, wziąwszy pod uwagę dominację wielkich korporacji wykupujących tysiące mieszkań na wynajmem krótkotrwały i faktyczną zmowę cenową deweloperów, notujących skądinąd szokujące zyski (pokażcie mi, państwo, sektor gospodarki z takimi marżami). I co? I nic. Państwo przygląda się temu wszystkiemu z rozbrajającą bezradnością.

Z dużą dozą pewności można orzec, że w Polsce problem mieszkaniowy nigdy nie zostanie rozwiązany.

PiS trzeba przyznać, że przynajmniej na poziomie teorii dostrzegło problem. Rozwiązać go jednak nie potrafiło, trudno bowiem uznać za rozwiązanie absurdalny pomysł całkowitej deregulacji w sektorze indywidualnego budownictwa domów jednorodzinnych. Platforma Obywatelska do dzisiaj nie wyrzekła się neoliberalnego dziedzictwa, trudno zatem się dziwić, że nie ma żadnego pomysłu na budownictwo mieszkaniowe. W tej sytuacji jedyna nadzieja w lewicy, proponującej utworzenie silnego sektora budownictwa na wynajem, z regulowanymi czynszami, oraz wskrzeszenie autentycznych spółdzielni mieszkaniowych. Tyle tylko, że nie ma ona szans na władzę.

Dlatego z dużą dozą pewności można orzec, że problem mieszkaniowy w Polsce nigdy nie zostanie rozwiązany. Nie bądźmy więc zdziwieni, gdy wzrośnie fala emigracji. Kolejna. Trzydzieści kilka lat po zapoczątkowaniu transformacji. Wstyd. A przecież nie trzeba było zbyt wielkiej wiedzy ani wyobraźni, aby zorientować się już na początku transformacji, że wolnorynkowy model gospodarki jest znakomity w wielu jej sektorach, ale nie we wszystkich. Nie można zatem tej sytuacji wytłumaczyć niczym innym jak tylko ideologicznym zaślepieniem naszych reformatorów, którzy naiwnie wierzyli, że wolny rynek jest lekarstwem na wszystko. Teraz odbija się nam ono czkawką.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e884b37b5b

Jak Słowianin ze Słowianinem

Większość uchodźców z Ukrainy uczy się już polskiego – jedni, by iść do szkoły czy pracy, drudzy, by wypełnić sobie czas

Zuzanna Muszyńska

Już nie 1,5 mln, ale ok. 3 mln Ukraińców mieszka wśród nas, uczy się i pracuje. Stajemy się państwem dwunarodowym. Potrafimy się dogadać „jak Słowianin ze Słowianinem", ale coraz częściej słychać wokół polską mowę z charakterystycznym wschodnim zaśpiewem.

Lipcowe ataki rosyjskich wojsk na Winnicę, Mikołajów, Odessę, Dniepr i Nikopol sprawią, że wielu uchodźców z Ukrainy przedłuży pobyt w Polsce. Dla tych, którzy będą chcieli się usamodzielnić, rozpocząć naukę lub podjąć pracę, stworzono liczne możliwości zaaklimatyzowania się u nas.

Ksiądz daje przykład

W sąsiadujących z Bydgoszczą Białych Błotach od pierwszych dni wojny mieszkańcy ruszyli do pomocy. Wzorem dla nich był proboszcz parafii pw. Chrystusa Dobrego Pasterza ks. dr hab. Edward Wasilewski. Ksiądz Edward na mszy w Środę Popielcową, na którą przychodzi wielu wiernych, zachęcił wątpiących, by otworzyli swoje domy dla uciekających przed wojną. Sam zaoferował cztery pokoje na plebanii. – Mieliśmy dotychczas pięć pań i kilkoro dzieci – mówi. – Trzy z nich są z nami do dziś, pozostałe już się usamodzielniły.

Kolejnym zadaniem, które postawił sobie ksiądz, była organizacja lekcji języka polskiego. – W pierwszym tygodniu pobytu moich gości szlifowałem rosyjski – opowiada. – Wychowałem się na wschodzie Polski, w okolicach Terespola, przy granicy z ówczesnym Związkiem Radzieckim. Biegle władałem tym językiem w dzieciństwie, teraz trzeba było sobie wszystko przypomnieć. Ale panie próbowały mówić ze mną po polsku, to one chciały się uczyć ode mnie.

Szkółkę polskiego udało się otworzyć na początku kwietnia. W sali parafialnej spotykały się dwie grupy po 30 osób. Lekcje odbywały się codziennie od poniedziałku do piątku. Po miesiącu część osób zrezygnowała. Jedni znaleźli pracę i nie mieli dość czasu na naukę języka, drudzy pojechali dalej. – Nauczycieli szukałem też, ogłaszając podczas mszy nabór chętnych – wyjaśnia ksiądz. – Nasze przedsięwzięcie pilotowała pani doktor języka rosyjskiego z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, poza tym mieliśmy panie polonistki, nauczycielkę historii, zgłosił się również emerytowany dyrektor szkoły, nauczyciel rosyjskiego, i studentka stażystka. Każde z nich pracowało raz w tygodniu. Pomagałem i ja, jeśli któryś nauczyciel był nieobecny.

– Ksiądz Edward to święty człowiek – mówi Mariana Maleniuk z Kijowa, która mieszka na plebanii od ponad czterech miesięcy. Przyjechała z siostrą i jej dziećmi na tydzień czy dwa, do kolegi szwagra. Z Bydgoszczy kobiety trafiły do Białych Błot. – Na plebanii czujemy się wspaniale, jest bezpiecznie i komfortowo, ciepło i smacznie.

Mimo planów rychłego powrotu do Ukrainy Mariana chętnie brała udział w lekcjach polskiego i bardzo wysoko je ocenia. – Mieliśmy sześciu nauczycieli, kobiety i mężczyzn, starsze i młodsze osoby. Każdy miał swój styl nauczania. Uczyliśmy się z jednego podręcznika, ksiądz drukował nam materiały do każdej lekcji.

Mariana wychowała się w obwodzie lwowskim, jest osłuchana z polskim. Mówi z silnym ukraińskim zaśpiewem. – U was akcent pada w środku słowa, u nas na końcu. Nauczycielki wiele razy nas poprawiały. Jest dużo podobnych słów w naszych językach, ale są i takie jak październik, który bardzo dobrze sobie zapamiętałam – śmieje się, łamiąc język na wymowie tego słowa. – My nazywamy ten miesiąc жовтень.

Mariana z wykształcenia jest muzykiem, przed wojną pracowała jako dyrygentka chóru dziecięcego. W sierpniu kończy się jej urlop bezpłatny. Jeśli pracodawca nie zaproponuje zajęć online, będzie musiała wracać. W Polsce czuje się świetnie, ale mówi, że ich życie jest w Ukrainie. Siostra mieszka w pobliżu rafinerii, która jest ważnym celem strategicznym. Z tego powodu być może się rozdzielą, Mariana wróci, siostra zostanie tu dłużej.

Pani Małgorzata Kunkowska jest nauczycielką historii i wiedzy o społeczeństwie w V LO w Bydgoszczy. Mieszka w gminie Białe Błota, o szkółce polskiego dowiedziała się z ogłoszeń parafialnych. Zgłosiła się do pomocy. – Starałam się przede wszystkim sprawić, by uczestnicy kursu się otworzyli, mówili w naszym języku – tłumaczy. – Lekcje przebiegały dobrze, pewnym problemem było jednak to, że jedni uczestniczyli w zajęciach od początku, drudzy dołączyli po kilku tygodniach. Myślę, że wszyscy wynieśli z kursu umiejętność podstawowej komunikacji.

Niektórzy zetknęli się z językiem polskim wcześniej lub mieli większe zdolności językowe, różnie było też z motywacją – jedni uczyli się języka w celu podjęcia pracy, drudzy,

Jest dużo podobnych słów w naszych językach, ale są i takie jak październik, który bardzo dobrze sobie zapamiętałam. My nazywamy ten miesiąc жовтень.

eprasa.pl e884b37b5b

Lekcje polskiego prowadzone są m.in. przez nauczycieli z Ukrainy, którzy przybyli do Polski po wybuchu wojny.

by wypełnić sobie czas, wyjść do ludzi. – Zależało im, dojeżdżali na zajęcia autobusem z okolicznych miejscowości – podkreśla pani Małgorzata. Niektóre panie przychodziły z dziećmi. Maluchy zachowywały się bardzo grzecznie, młode mamy mimo ich obecności brały aktywny udział w zajęciach. Różne sytuacje losowe sprawiały, że nie wszyscy przychodzili regularnie. Zajęcia odbywały się przez trzy miesiące, do końca dotrwało kilkanaście osób, które otrzymały od księdza zaświadczenia o odbytym kursie.

Miska na sztućce, szkoła bez okien

– Co znaczy słowo okropny? – pyta Jegor. Siedzimy z jego przyjaciółką Sofią oraz mamami młodych Ukraińców, Ireną i Tanią, przy stole z otwartym laptopem. Na ekranie lekcja z podręcznika online. Wyjaśniam, że okropny to straszny, przerażający, zły, ale można być także okropnie zajętym, zmęczonym lub smutnym, podobnie jak strasznie zajętym, czyli bardziej niż bardzo zajętym, smutnym, zmęczonym. Jegor chwyta w lot sens tego, co mówię. On i Sofia zaczynają we wrześniu naukę w Technikum Menedżerskim w Bydgoszczy, w klasie informatycznej (pisaliśmy o nich w PRZEGLĄDZIE nr 30/2022). Latem powinni wziąć udział w sześciotygodniowym stacjonarnym kursie przygotowawczym organizowanym przez szkołę. Powinni, ale plan nie wypalił. Autobus nie przyjechał. Czekali godzinę na przystanku, aż w końcu wrócili do domu pieszo, przez las. Mamy załatwiły z dyrektorem szkoły niestacjonarny tryb zajęć.

„Ja dziewczyna", „ja psycholog", „ja uczeń", zaimek osobowy na początku zdania, brak formy osobowej czasownika być – proste zadanie z pierwszej lekcji sprawia niemały problem. Ale wszyscy czworo słuchają pilnie, widać, że im zależy. Ćwiczymy dialogi, nowe słówka, dużo żartujemy. Będzie dobrze, tylko dzieci muszą trochę się przyłożyć do nauki w wakacje. Mamy, zajęte pracą, nie będą miały na to dość czasu ani sił. W kuchni ośrodka harcerskiego już poznały nowe słówka, takie jak „baniak na wodę" czy „miska na sztućce".

Radosław Rataj, zastępca dyrektora Technikum Menedżerskiego, liczy uczniów z Ukrainy: – Ponad 40 osób złożyło podania, mniej więcej tyle samo jest już w szkole na wszystkich poziomach. Od kilku lat funkcjonuje u nas język polski dla obcokrajowców, ta kwestia była więc rozwiązana jeszcze przed wybuchem wojny w Ukrainie. Mamy zajęcia dopasowane do każdej grupy wiekowej, teraz dodatkowo modyfikujemy program.

Wakacyjne kursy językowe dla nowych uczniów odbywają się w wymiarze 120 godzin – cztery godziny dziennie, plus stacjonarne zajęcia uzupełniające z przedmiotów zawodowych. – Ci, którzy są u nas od marca i nie mają jeszcze zamkniętej kwalifikacji, a chcieliby ją uzupełnić, mogą też skorzystać z półtoratygodniowych zajęć, by uzupełnić materiał. Wszystko odbywa się stacjonarnie – podkreśla wicedyrektor Rataj. Problemy z dojazdem do Bydgoszczy są mu znane. – Jestem szefem regionalnych struktur Polski 2050, podnosiliśmy kwestię wykluczenia komunikacyjnego młodzieży z prowincji. Zdarza się, że uczeń ma 8 km do najbliższego przystanku. W zeszłym roku dotarły do nas sygnały, że na dworcu autobusowym w Łabiszynie gromadziło się o siódmej rano 300 osób, które powinny dojechać do miasta na godzinę ósmą. Naszym zdaniem należałoby obarczyć samorząd zadaniem zebrania w sierpniu danych o dzieciach z klas ósmych i wyższych, by przed nadchodzącym rokiem szkolnym określić zapotrzebowanie na liczbę połączeń.

Zdaniem Rataja niemała grupa uczniów z Ukrainy zdecydowała się na tę szkołę, ponieważ przybyszy z tego kraju od lat traktuje się tutaj przyjaźnie. – Dyrektor Sławomir Biernat zna bardzo dobrze język rosyjski, co dodatkowo ułatwia uczniom i ich rodzicom pierwszą komunikację ze szkołą. Zdecydowana większość tych uczniów jest rosyjskojęzyczna – podaje. Wymienia inne udogodnienia, takie jak wprowadzenie

FOT. DOMINIK GAJDA/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl e884b37b5b

przez komisję egzaminacyjną możliwości korzystania ze słownika polsko-ukraińskiego oraz przedłużenie egzaminów o pół godziny dla obcokrajowców. Efekty? Wszyscy dotychczasowi uczniowie z Ukrainy przystąpili do egzaminu zawodowego i go zdali. – Jesteśmy bardzo zadowoleni z tych uczniów, są ambitni i zdolni – kontynuuje wicedyrektor. – Dwoje otrzymało stypendium marszałka województwa dla prymusa zawodu, a jeden z naszych uczniów z Ukrainy zdobył dwa lata temu stypendium prezesa Rady Ministrów jako najlepszy uczeń w szkole. Drugoklasista niemówiący po polsku, który przyszedł do nas w marcu, tak się zawziął, że dostał świadectwo z czerwonym paskiem. Nawet jeśli jego mama wróci do Ukrainy, on zostanie tutaj i skończy szkołę.

W wyniku ataku rakietowego na Dniepr 15 lipca zginęły trzy osoby, 15 odniosło rany. „Wybuchy miały miejsce niedaleko naszego domu – pisze na Messengerze Irena – w pobliżu koledżu, do którego planowały pójść nasze dzieci. Na uczelni wyleciały od eksplozji wszystkie szyby w oknach".

Let's mów

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej informuje na swoim portalu o szkoleniach dla osób bezrobotnych i poszukujących pracy, w tym dla obywateli Ukrainy. W ramach aktywizacji zawodowej można wziąć udział w kursie i otrzymać stypendium w wysokości 120% zasiłku dla bezrobotnych – 1489 zł lub mniej, w zależności od liczby godzin szkolenia, które obejmuje również kursy języka polskiego dla cudzoziemców.

Ministerstwo Edukacji i Nauki określa cele i zakres pomocy dla polskich placówek oświatowych, do których uczęszczają dzieci z Ukrainy. Podręczniki dla ucznia znającego język polski zapewnia dyrektor szkoły podstawowej ze środków z dotacji celowej na materiały dydaktyczne. Jeśli uczeń cudzoziemiec nie zna polskiego, otrzymuje dostęp do materiałów edukacyjnych (np. na Zintegrowanej Platformie Edukacyjnej), a nauka powinna się odbywać w wymiarze co najmniej sześciu godzin tygodniowo. Na stronie www.zpe.gov.pl znajduje się kilkanaście tysięcy e-materiałów do nauki polskiego i innych przedmiotów dla uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych. Jeśli natomiast uczeń realizuje obowiązek szkolny w ukraińskim systemie oświaty, szkoły polskie mogą udostępnić pomieszczenia, w których uczniowie ukraińscy będą mogli brać udział w lekcjach online.

Zdarza się, że uczeń ma 8 km do najbliższego przystanku.

Możliwości nauki we własnym zakresie jest wiele, większość bezpłatna. Fundacja Ukraina oferowała już przed wojną kursy języka polskiego dla obywateli krajów spoza UE – „Let's mów", Fundacja Ocalenie – bezpłatne kursy polskiego dla cudzoziemek i cudzoziemców w Warszawie. Uniwersytety Warszawski, Gdański i Jagielloński również zapraszały uchodźców na bezpłatne kursy języka. Wydawnictwo PONS udostępniło za darmo w formacie PDF rozmówki ukraińsko-polskie. Urząd ds. Cudzoziemców publikuje na swojej stronie materiały dydaktyczne do nauki języka polskiego na kilku poziomach zaawansowania. Każdy może ściągnąć darmową aplikację, np. Duolingo, i uczyć się podstaw języka ze smartfona.

W województwie działa Kujawsko-Pomorska Szkoła Internetowa. – To jedyny tego typu projekt prowadzony przez samorząd województwa, w ramach którego organizowane były m.in. lekcje języka polskiego dla osób z Ukrainy – informuje Agnieszka Nowak z biura prasowego urzędu marszałkowskiego. Młodzi Ukraińcy mogą w ramach e-szkoły korzystać z lekcji języka polskiego, angielskiego, matematyki, informatyki oraz plastyki, a także zdobywać wiedzę o regionie, kulturze polskiej i ukraińskiej. Dla najmłodszych przygotowano zajęcia w ramach nauczania wczesnoszkolnego. Zapewniono poza tym wsparcie psychologiczne. Lekcje prowadzone są m.in. przez nauczycieli z Ukrainy, którzy przybyli do Polski po wybuchu wojny.

Nadzieja Hajduczenia, poliglotka, tłumaczka i przewodniczka turystyczna, tak opowiada o dzieciach ukraińskich, dla których prowadzi zajęcia w Kujawsko-Pomorskiej Szkole Internetowej: – Są bardzo ciche i grzeczne, chcą chodzić do szkoły i się uczyć. Prawie nie rozumieją języka polskiego, dlatego często milczą. Nasze polskie dzieci są wobec nich bardzo empatyczne i pomocne. Nie rozmawiamy o wojnie, jeśli nie ma takiej potrzeby. One potrzebują spokoju, wyciszenia i utulenia.

W Bydgoszczy, podobnie jak w Lublinie, Warszawie, Katowicach i Zielonej Górze, powstanie niebawem Centrum Integracyjne dla Cudzoziemców Fundacji ADRA Polska. – Lekcje języka polskiego rozpoczną się w najbliższych tygodniach. Planowane jest utworzenie trzech 12-osobowych grup na poziomie A1. Zajęcia będą się odbywały dwa razy w tygodniu stacjonarnie – przekazuje Katarzyna Matysik z Fundacji ADRA. – W centrach integracyjnych dla cudzoziemców uchodźcy z Ukrainy będą mogli skorzystać z pomocy psychologicznej, doradztwa zawodowego, doradztwa integracyjnego i pomocy specjalisty ds. integracji, kursów zawodowych, nauki języka polskiego, a także porad prawnych i usług tłumacza przysięgłego. Będziemy również świadczyć wsparcie w sytuacjach kryzysowych.

Jak podaje Interdyscyplinarne Laboratorium Badań Wojny w Ukrainie, zdecydowana większość uchodźców chce się uczyć języka polskiego (81%), a samodzielnie robi to 69%. W fundacjach i stowarzyszeniach organizujących kursy uczy się 20%, na uczelniach 12%, na zajęciach indywidualnych u prywatnej osoby 10%, w prywatnej szkole językowej 7%, w szkole państwowej 2%. Większość, 92%, uczy się języka polskiego bezpłatnie.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e884b37b5b

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jedyny pałac, przed którym chylę czoła

A już się bałem, że będę pisał coś w rodzaju: „Bayraktar z dziewiątką Lewandowskiego na plecach nie dla idiotów, a węgiel na kilogramy, a swoją drogą także nie ma cukru, chociaż Naimskiego odwołali". Ale jest warszawski Pałac Kultury i Nauki, który obchodzi 67. urodziny, w chwili gdy piszę te słowa – co do godziny. Pałac, który ma już na szczęście w papierach swoją zabytkowość, chroniącą go (he, he, miejmy nadzieję, że skutecznie) przed rytualnymi wrzaskami tych, co marzą o jego zburzeniu, zniknięciu, zabudowaniu, uczynieniu niewidzialnym, niewidocznym, pozbawieniu go mocy wizualnego symbolu miasta. Ktoś powie: „67? Co to za rocznica???". Tak samo ważna jak każda inna z wieńcem zer na końcu, a może tym ciekawsza i istotniejsza.

Stoi, góruje, już nie niepodzielnie w chaosie mniej lub bardziej przypadkowych decyzji o warunkach zabudowy, które z centrum Warszawy czynią pnące się nieprzytomnie w górę miasteczko z Dzikiego Zachodu. Nie ma drugiego takiego budynku w Polsce, otoczonego tak wielką niechęcią, nienawiścią nierzadko, postponowanego i łżonego. Wciąż temu się opiera i tuszę, że tak już zostanie. Mam do jego wielkości i wspaniałości prawdziwą słabość, z radością od kilkunastu lat wykonuję w nim część swoich obowiązków zawodowych, lubię w nim być, patrzeć na niego i z niego, krążyć wokół i popatrywać z daleka. Lubię o nim rozmawiać, kłócić się o niego, czytać o nim, poznawać. Jest wymarzonym pretekstem do debat o najnowszej historii Polski. „Pan da spokój – mówią studenci – myśmy historię mieli tylko w pierwszej klasie liceum i doszliśmy do bitwy pod Termopilami". Teraz będziecie mieć lepiej, macie HiT dzięki PiS i jego historycznemu guru, prof. Roszkowskiemu, z jego narodowymi i katolickimi fantazmatami; nawet nie jestem ciekaw, jakim diabelskim opisem opatrzył profesor (przez lata pracujący w PKiN) w swoim parapodręcznikowym dziele Pałac.

Pokazuję studentom z okien płyty upamiętniające przebieg granic getta warszawskiego, jest to doskonały moment, żeby po raz pierwszy w życiu usłyszeli język jidysz, którym posługiwało się 300 tys. żydowskich mieszkańców przedwojennej Warszawy.

Nie ma dużo lepszego obiektu, żeby się przyjrzeć meandrom systemu zależności politycznej w Europie po 1945 r. (A co właściwie wtedy się stało? Koniec powstania styczniowego? Wygrane warszawskie powstanie? Jak to, dwa były??? A które było pierwsze?). Można się pochylić nad czarnym słowem stalinizm – w mroku dziejów nieznaczącą kilkuletnią chwilką. Ale wszak Pałac nigdy nie był kazamatami – uff, co wtedy by tu się odjaniepawlało...

Najbardziej przepadam jednak za rozmowami o Pałacu i kapitalizmie. Kapitalizm nigdzie, także w Polsce, nie wydał z siebie takiej budowli, o tak wypracowanej koncepcji służebności i potencjale utopistycznym w wymiarze Kultury, Nauki, czytania czy powszechnie dostępnego odpoczynku. Tu latami były wydziały uniwersytetu, w tym legendarny wydział matematyki, którego studenci, bez możliwości komputerowej symulacji, odgrywali miejsko-pałacową grę z elementami survivalu, czyli kto wejdzie jak najwyżej, pokona zamknięte piętra, przechytrzy uzbrojonych wartowników, naturalne zapory. Podobno najlepsi potrafili (już aktywnie ścigani przez pałacową straż) dotrzeć nawet do kopuły pod iglicą.

Mieliśmy tam biblioteki, w tym słynną PAN-owską, olbrzymią księgarnię, która zawsze się przypomina, kiedy raz do roku Pałac się kiermaszuje – w tym roku po prostu przedpałac zapełnił się namiotami ze stoiskami wydawców. Tamże sfotografowałem się z Thomasem Pikettym i jego wydanym właśnie monumentalnym „Kapitałem i ideologią". Pałac to oczywiście ideologia, jak wszystko, co dzisiaj wokół niego, choćby ten pokrakowaty Żagiel Libeskinda, zredagowany przez kapitalistę wykonawcę, nieprzypominający projektu, który zaakceptowało miasto. Żagiel? Chusta z magla, przykrojona.

Żaden kapitalista nigdy i nigdzie nie zbuduje czegoś podobnego.

A inny koleżka, który, jak utrzymuje, zarobił w miesiąc 44 mln zł na polskiej kryptowalucie Cebullion, kupuje „kawalerkę" w tymże budynku na Złotej 44 (czterdzieści i cztery...) i zapowiada (ironicznie chyba), że teraz podzieli te ponad 400 m kw. na 100 miniapartamencików i opyli.

A przygląda się temu Pałac, który uczył dziesiątki tysięcy osób, bawił dzieciaki w setkach kółek zainteresowań, pozwalał trenować dziesiątki dyscyplin sportowych. Gdzie skoki na głowę trenował Krzyś Miller, jeden z najlepszych polskich fotoreporterów ostatnich kilku dekad, dawny olimpijczyk, który zapłacił życiem za swoje zaangażowanie zawodowe, zabiło go PTSD. O teatrach, kinach, koncertach nawet nie mówię. Jest Pałac potęgą i winien wracać do swoich macierzystych, dawnych funkcji, a nie być kolejnym czysto komercyjnym modułem do wynajęcia. Lubię patrzeć na pałacowe sokoły i wiedzieć, że kilkadziesiąt pięter niżej kilkadziesiąt kotów ma tam pełny etat pracowniczy i dobre warunki życia.

Chciałbym więcej pałacowego życia w naszej codzienności XXI-wiecznej, w czasie nadciągającego przesilenia.

Tak, za jego powstaniem stoi Stalin. Ale żaden kapitalista nigdy i nigdzie nie zbuduje czegoś podobnego. Jest więc Pałac imponującym dzieckiem dawnego satrapy. I ma wciąż przed sobą intrygujące życie, a my w nim.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e884b37b5b

Marcin Ogdowski

Szwedzkie siły zbrojne mają do dyspozycji m.in. 120 leopardów.

Z czym do NATO

Czy Szwecja i Finlandia to cenne nabytki dla Sojuszu Północnoatlantyckiego?

W połowie maja br., gdy stało się jasne, że Finlandia wraz ze Szwecją zamierza wejść do NATO, Kreml wysłał Helsinkom kolejną serię pogróżek. Fiński rząd sprawę przemilczał, ale przedstawiciele armii już nie. „Miło was przywitamy – dołączycie do 200 tys. Rosjan zakopanych kilka metrów pod ziemią po waszej ostatniej wizycie z 1939 r.", skomentował niewymieniony z nazwiska fiński generał, cytowany przez amerykańskiego admirała Jamesa Stavridisa, byłego naczelnego dowódcę sił sojuszniczych NATO. Wypowiedź jest ponad wszelką wątpliwość autentyczna, znakomicie ilustruje stosunek Finów do Rosji. Wojna zimowa (od 30 listopada 1939 r. do 13 marca 1940 r.), mimo iż zakończyła się oderwaniem od Finlandii części terytoriów, upokorzyła stalinowskie imperium, które z trudem – masą i bezprzykładnym okrucieństwem wobec własnych żołnierzy – pokonało kilkudziesięciokrotnie mniejszy kraj. To niełatwe historyczne doświadczenie współtworzyło powojenną tożsamość narodu fińskiego, który wielkiego sąsiada bał się, ale nieprzesadnie. Świadomość relatywnej siły, pozwalającej w razie potrzeby na zadanie agresorom poważnych strat, przez dekady leżała u podstaw fińskiej kultury strategicznej. Zapewniała luksus neutralności, choć należy zauważyć, że w okresie zimnej wojny działo się to w reżimie ograniczonej politycznej i gospodarczej zależności od Moskwy (nieporównywalnej z sytuacją krajów bloku wschodniego). W ostatnich latach coś jednak się zmieniło.

Rosyjska inwazja na Ukrainę podważyła dotychczasowe założenia fińskiej strategii bezpieczeństwa. Finowie doszli do wniosku, że dialog i współpraca z Moskwą obarczone są zbyt wielkim ryzykiem, jeśli z drugiej strony ma się wyłącznie niezobowiązujące relacje wojskowe z państwami NATO. Gdy zarządzono głosowanie w parlamencie, 188 z 200 posłów poparło akcesję kraju do Sojuszu, uznając, że tylko art. 5 traktatu północnoatlantyckiego zapewni bezpieczeństwo i integralność terytorialną Finlandii. Podobnego zdania jest dziś niemal 80% fińskiego społeczeństwa. Co istotne, gremialne „tak" dla integracji miało ogromny wpływ na sąsiednią Szwecję. Jej premier, Magdalena Andersson, jeszcze w marcu br. – mimo że było to już po rosyjskim ataku na Ukrainę – wykluczała członkostwo w NATO. Fińska wolta zrodziła obawy, że Szwecja pozostanie strategicznie osamotniona jako jedyny kraj w regionie Bałtyku (poza Rosją) nienależący do Sojuszu. I choć w Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej (SAP) istnieją silne nurty antynatowskie i antyamerykańskie, Andersson przekonała działaczy do zmiany zdania. Było to łatwiejsze dzięki nastawieniu opinii publicznej, która pod wpływem wieści z Ukrainy przychylniej odniosła się do idei akcesji. Obecnie popiera ją niemal dwie trzecie Szwedów (w ostatnich latach zaledwie nieco ponad 30%).

Szwedzi postawili sprawę jasno – nie chcą u siebie stałych sił natowskich ani rozmieszczenia broni jądrowej.

Ryzyko jazdy na gapę

Szwecja i Finlandia to jedne z najzasobniejszych państw świata. Szwedzki PKB za ubiegły rok przebił pułap 600 mld dol., fiński wyniósł ćwierć biliona. Oba kraje mają rozwinięte gospodarki, szwedzka może wyprodukować niemal każdy rodzaj uzbrojenia – od karabinów po samoloty – zapewniając wojsku samowystarczalność. Jednocześnie to rozległe terytoria (528 tys. i 338 tys. km kw.), ze stosunkowo niewielkimi populacjami (10,3 i 5,5 mln), w przypadku Finlandii z mocno niekorzystnym układem granic – połowa z 2,6 tys. km przypada bowiem na Rosję. Finowie dopiero od niedawna łożą na armię 2,15% PKB (5,7 mld dol. w 2021 r.), wcześniej przez wiele lat wydatki militarne Helsinek nie przekraczały 1,3% PKB. Szwedzkie pozostają niskie – to tylko 1,1% PKB (6,5 mld dol. w 2021 r.), co nie odpowiada standardom NATO. Dlatego pośród analityków wojskowych nie było zgody co do sensowności poszerzenia Sojuszu o te kraje. W Polsce – gdzie zapanował w tej

eprasa.pl e884b37b5b

kwestii entuzjazm – głosów na „nie" właściwie nie zauważono, ale już za oceanem sporo mówiło się o kosztach i zagrożeniach. Podkreślano też „zwiększoną ekspozycję wspólnoty na ataki Moskwy". Obawy budził fakt, że oba państwa dotąd rozwijały siły zbrojne, uwzględniając wyłącznie specyfikę własnych terytoriów, tymczasem istotą NATO jest możliwość kolektywnej obrony. Najwięcej zaniepokojenia rodził jednak scenariusz „jazdy na gapę" – skrycia się za potencjałem Ameryki z jej parasolem nuklearnym, przy jednoczesnym wydawaniu na obronność minimalnych środków. Niemcy Angeli Merkel pozostają tu żywym wspomnieniem.

Obawy związane z finansami rozstrzygną się w ciągu najbliższych lat, ale już dziś warto zauważyć, że oba kraje słyną z ponadpartyjnych konsensusów dotyczących bezpieczeństwa. Ich symbolem może być szwedzka Försvarsbeslut – przyjmowana co pięć lat nowa strategia obrony, realizowana później niezależnie od politycznych przetasowań. Ta z grudnia 2020 r. zakłada zwiększenie wydatków na wojsko do 1,5% PKB w 2025 r. A szwedzkie przebudzenie militarne wcale nie nastąpiło ledwie dwa lata temu – zaczęło się już w 2008 r., po wojnie w Gruzji, i znacząco przyśpieszyło po 2014 r., w pierwszej odsłonie rosyjsko-ukraińskiego konfliktu. Jego obecna faza każe ze spokojem patrzeć na ryzyko wynikłe z dodatkowych setek kilometrów granicy NATO z Rosją. Tak twierdzi szef agencji analiz wywiadowczych fińskich sił zbrojnych, płk Esapekka Vehkaoja. „Trudno się spodziewać, aby w najbliższych latach Rosja zdołała znacząco wzmocnić swoje oddziały przy granicy z Finlandią", oświadczył przed kilkoma tygodniami. Wynika to ze znaczących strat poniesionych przez wojska rosyjskie w Ukrainie (według analiz brytyjskiego wywiadu do połowy lipca zginęło i zostało rannych 50 tys. Rosjan). Dodajmy, że Kreml w pierwszych reakcjach na zapowiedzi Finlandii ogłosił utworzenie dodatkowych 10 brygad okołowojskowych, które miałyby zostać wysłane na północ, ale na razie Moskwa relokuje żołnierzy spod granicy fińskiej na front ukraiński.

Wkład do natowskiej puli

Te ruchy potwierdzają, że zarzuty Kremla dotyczące zagrożenia ze strony NATO są w istocie argumentem retorycznym, uzasadniającym politykę konfrontacji z Zachodem. Że nie stoi za tym realna obawa przed agresją na Rosję (a tego typu lęki regularnie wzmacnia kremlowska propaganda skierowana do własnych obywateli). Bo rzeczywiście, nie ma czego się bać. Szwedzi postawili sprawę jasno – nie chcą u siebie stałych sił natowskich ani rozmieszczenia broni jądrowej (co jest opcją czysto teoretyczną). Finlandia nie sformułowała formalnych ograniczeń, ale w dyskusjach o przyszłych realiach członkostwa właściwie nie pojawia się wątek obecności obcych wojsk. Sztokholmowi i Helsinkom zależy wyłącznie na natowskich gwarancjach bezpieczeństwa. Ich własne armie pozostają nieliczne i mają defensywny charakter. W siłach zbrojnych Szwecji służy czynnie 24 tys. osób. Kolejne 11,5 tys. to wojskowi na niepełnym etacie (wkładający mundur na czas ćwiczeń i operacji militarnych). Szwecja ma też Hemvärnet – 20-tysięczną gwardię. W 2018 r. szwedzki rząd przywrócił pobór. Armia Finlandii liczy 31,5 tys. żołnierzy, ale dysponuje imponującymi rezerwami. Fińscy generałowie „na szybko" mogą zmobilizować 280 tys. świetnie wyszkolonych rezerwistów, cała dostępna populacja byłych żołnierzy w wieku mobilizacyjnym wynosi obecnie 900 tys. osób. W wypadku Finlandii to ona stanowi najwartościowszy wkład do natowskiej puli.

Szwedzkie wiano z kolei to przede wszystkim trzecia co do wielkości (po niemieckiej i rosyjskiej) marynarka wojenna na Bałtyku, wyposażona m.in. w pięć trudno wykrywalnych korwet Visby oraz trzy okręty podwodne A-19 Gotland (w budowie są dwaj następcy, jednostki typu A-26). Gotlandy, dzięki innowacyjnym rozwiązaniom napędowym, cieszą się renomą niezwykle cichych łowców. Jeden z nich w symulowanym starciu „zatopił" amerykański lotniskowiec – najsilniej broniony okręt na świecie. Szwedzkiego nieba strzeże niemal setka świetnych gripenów, na lądzie siły zbrojne mają do dyspozycji m.in. 120 leopardów oraz 350 solidnych wozów bojowych z rodziny CV90. Niemieckimi leopardami dysponuje także Finlandia – ma ich 240. Co ciekawe, obok setki szwedzkich CV90 Finowie eksploatują podobną liczbę rosyjskich BMP-2. To zresztą niejedyny rosyjski akcent w fińskiej armii, choć o jej sile stanowi głównie sprzęt zachodni. Na przykład 60 amerykańskich myśliwców F/A-18 – nadal niezłych, lecz już przewidzianych do nieodległej wymiany (w 2025 r.). Helsinki postanowiły zastąpić osiemnastki maszynami piątej generacji F-35A. Zamówienie o wartości 8,4 mld euro dotyczy zakupu 64 samolotów. Wraz z nimi do Finlandii trafią m.in. pociski manewrujące JASSM-ER zdolne razić cele na odległość do 1000 km.

Sztokholmowi i Helsinkom zależy wyłącznie na natowskich gwarancjach bezpieczeństwa.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

W nowym numerze tygodnika „NIE": Poradnik – jak nie wjechać z Polski do Białorusi.

FOT. SWEDISH ARMED FORCES

eprasa.pl e884b37b5b

Francja wciąż ma kompleks postimperium

Macron jest takim samym nacjonalistą jak Le Pen. Francja zawsze na pierwszym miejscu

Rozmawia Jakub Dymek

Jeśli ktoś czerpie wiedzę o Francji z polskiej debaty publicznej, może pomyśleć, że pełno tam putinofilów, że francuska klasa polityczna nie zajmuje się niczym innym poza wspieraniem rosyjskich interesów. Ile jest prawdy w tych doniesieniach?

– Odpowiem aforystycznie: jak stwierdził pewien brytyjski komik, ma się to do prawdy tak jak Keith Richards do Królowej Matki. O ile więc nie ominął mnie jakiś szczególnie pikantny skandal – nijak to się ma do rzeczywistości.

Ale skądś to przekonanie się bierze. Nie byłoby tych oskarżeń, gdyby nasza obsesja szukania wad u zachodnich partnerów, w szczególności Niemiec i Francji, nie miała oparcia w pewnych faktach.

– Mówimy po części o zawiedzionej miłości. Choć może trudno w to uwierzyć, Francja odgrywała kiedyś w polskiej publicystyce taką rolę, jaką dziś odgrywają Stany Zjednoczone – ojczyzny wolności, kraju z reguły nieomylnego w sprawach międzynarodowych, pod który wystarczy się podłączyć. Koniec historii! I przodowali w tym niegdyś endecy. Narodowa Demokracja była najbardziej profrancuską formacją swoich czasów. Nie my jedni zresztą odczuwamy tę zawiedzioną miłość, podobne emocje odnajdziemy dziś m.in. w Belgradzie.

Ale jest jeszcze drugi powód. Polscy komentatorzy i eksperci czerpią wiedzę z mediów anglojęzycznych. Jeśli w ogóle znają jakiś język obcy, zazwyczaj jest to angielski i na angielskiej prasówce często ich zainteresowanie światem się kończy. Problem pojawia się, gdy nasze krajowe analizy ograniczają się do poziomu „Daily Mail" – bo w angielskiej prasie tabloidowej każdy antyfrancuski artykuł to czyste złoto. A obecna szefowa brytyjskiej dyplomacji Liz Truss z antyfrancuskich gestów uczyniła swój znak rozpoznawczy. Kierowanie się tym jest jednak trochę jak czerpanie wiedzy o Polsce z mediów niemieckich.

MARCIN GIEŁZAK
– historyk, autor książki „Antykomuniści lewicy", publicysta i współtwórca Projektkonsens.pl

Ale spójrzmy na fakty. Przywódcy Niemiec i Francji wspólnie polecieli do Kijowa, jedni i drudzy – jak mówią nam media – chcą Ukrainie wysyłać wyłącznie hełmy i ociągają się z wprowadzeniem sankcji. Słyszymy też, że Francuzi i Niemcy nie wykluczają porozumienia z Putinem.

– O to ostatnie rzeczywiście Francuzi – a konkretnie Emmanuel Macron – sami się prosili. Dyplomata to jest ktoś, kto trzy razy się zastanowi, zanim coś powie. Macron trzy razy coś powie, zanim się zastanowi. Mści się także to, że odsunał na boczny tor zawodowych dyplomatów i zaangażował bliskich sobie ludzi, m.in. z biznesu, w politykę Pałacu Elizejskiego. Macron również za późno pojął, że Putina nie da się po prostu przegadać ani wygrać z nim na argumenty. Gadulstwo Macrona, teoretyzowanie na głos, zalewanie słuchaczy strumieniem świadomości – to nie pomaga, a w polityce zagranicznej wręcz trąci amatorstwem.

Kiedyś francuscy przywódcy wyznawali zasadę, że w pierwszych chwilach każdy pożar można ugasić szklanką wody. Mitterrand od razu poleciał do Sarajewa, Chirac zniszczył lotnictwo Wybrzeża Kości Słoniowej jeszcze na ziemi itd. Francja nie miała potencjału wojskowego Stanów Zjednoczonych, ale odpowiednio szybkim działaniem była w stanie wiele dla siebie wygrać

eprasa.pl e884b37b5b

na arenie publicznej. Nie tym razem. Mimo to spójrzmy na fakty...

...bo to najważniejsza rzecz. Co w obliczu inwazji Rosji na Ukrainę robi Francja?

– W latach 2014-2020 Francja była jednym z największych dostawców broni dla Ukrainy – nie tylko w Europie, ale i na świecie. Łączna wartość tych kontraktów przekracza 1,5 mld euro. Można dzielić włos na czworo i pytać, na ile systemy naprowadzające albo zaawansowana elektronika to śmiercionośna broń. Ale jeśli zgadzamy się, że w rękach Rosji jest śmiercionośna, i krytykujemy dostawy podobnego sprzętu dla Putina, powinniśmy też się zgodzić, że liczy się dostarczanie takiego samego sprzętu Ukrainie, prawda?

Polscy komentatorzy i eksperci wiedzę o Francji czerpią z anglojęzycznych mediów.

Wiemy już z ujawnionych nagrań rozmów Macron-Zełenski, że Francja zaczęła wysyłać broń Ukrainie jeszcze przed rozpoczęciem konfliktu. Ile? Dyskutowanie o tym na podstawie informacji podawanych publicznie przez jakieś instytuty w ogóle niezwiązane z wojskowością jest bez sensu. To są informacje niejawne. A każdy, kto twierdzi, że wie, kto i ile broni Ukrainie przesyła, mówi nieprawdę.

Jednak wszyscy, z Ameryką na czele, wykorzystują kwestię dostaw broni propagandowo. Francja nie?

– Macron również wykorzystywał to w kampanii. „Wysłaliśmy Ukrainie to, czego potrzebowała najbardziej, czyli m.in. ciężką artylerię, armatohaubice samobieżne CAESAR wraz z amunicją, a także pociski przeciwpancerne Milan", mówił. Nie należy jednak wierzyć jakimś obliczeniom ludzi, którzy biorą takie wypowiedzi, mnożą koszt jednego pocisku przez liczbę zadeklarowanych dostaw i na tej podstawie każą nam wierzyć, że ten lub inny kraj dał więcej.

Nie wszystko jednak jest tajemnicą.

– Francuski minister sił zbrojnych, ale także ukraińscy ambasadorowie i ministrowie wielokrotnie podkreślali, że Francja – niezależnie od tego, co odnotowują media – dostarcza Ukrainie najróżniejsze rodzaje broni. A nawet z przecieków medialnych wiemy, że wśród nich są pociski Mistral, amerykańskie wyrzutnie Javelin, miny przeciwpancerne... Francuzi wysłali też grupę interwencyjną Żandarmerii Narodowej, czyli swoją najbardziej elitarną jednostkę, żeby bronić francuskiego ambasadora – ale tak naprawdę i po to, żeby stanowiła dodatkową nieformalną obstawę prezydenta Zełenskiego. Wreszcie Francja wysłała Żandarmerię Narodową, żeby zabezpieczyła dowody zbrodni wojennych w Buczy. Jednym słowem, francuskie siły zbrojne są oficjalnie i jawnie obecne w Ukrainie. Podobnie francuska prokuratura. Kto zapewnia wsparcie logistyczne za pomocą zaawansowanych systemów satelitarnych? Francuzi. Kto oddał Ukrainie jedną czwartą swojej artylerii? Też Francja.

W latach 2014-2020 Francja była jednym z największych dostawców broni dla Ukrainy. Łączna wartość tych kontraktów przekracza 1,5 mld euro.

Pomijając Amerykanów, którzy również – jak już otwartym tekstem pisze „New York Times" – mają swoich wojskowych i CIA na miejscu.

– W Polsce dużo się mówi także o tym, że doszło do zdrady Zachodu, przez co NATO poza względnie małą Wielką Brytanią i USA nie ma zdolności działania. To podkreślmy tylko, jak bardzo Francja umocniła NATO na wschodniej flance: od Norwegii po Morze Śródziemne. Wzmocniono obecność wojskową w Estonii, Rumunii, wysyłając francuskie myśliwce nad polskie niebo, a jedyny nieamerykański lotniskowiec o napędzie atomowym, Charles de Gaulle, na Morze Śródziemne, oraz ćwicząc z Finami i Szwedami. Gdy Rosja naruszyła estońską przestrzeń powietrzną, sześć godzin później francuscy spadochroniarze byli na miejscu. Ludzie mówią: „To jest tylko 100 komandosów". Tak, ale to jest gest polityczny. I pamiętajmy, że jeden francuski samolot zdolny przenosić głowice nuklearne to więcej niż nawet 10 samolotów portugalskich czy belgijskich.

Europa jednak z jednej strony, owszem, wysyła broń, ale z drugiej mocno – w przeciwieństwie do części polskiej czy amerykańskiej klasy politycznej – naciska na to, że konflikt musi mieć rozstrzygnięcie polityczne, nie militarne.

– W końcu jednak Francja też zrozumiała, że ważniejsze jest to, co i jak się mówi, niż to, co się robi. Teraz Paryż mówi, że ważne jest „pełne i kompletne zwycięstwo Ukrainy, wraz z powrotem do poprzednich granic, pełnej integralności terytorialnej i suwerenności, w tym odzyskanie Krymu". Czy to realistyczne? Oczywiście, że nie – sami Ukraińcy w to nie wierzą! Ale czy składanie podobnych deklaracji cokolwiek kosztuje? Nie. Jeżeli ludzie chcą usłyszeć cokolwiek, dzięki czemu poczują się lepiej, to Pałac Elizejski przestawił wajchę i właśnie to robi: mówi to, co opinia publiczna chce słyszeć. A czy sam w te zapewnienia wierzy? Oczywiście również nie. Ale pamiętajmy, że dla Francji Ukraina jest zaledwie jednym punktem na znacznie szerszej mapie.

Co to znaczy?

– Anegdota mówi, że radziecki minister spraw zagranicznych Andriej Gromyko zaczynał dzień od patrzenia przez 15 minut na mapę. Francja też dziś tak patrzy codziennie na mapę, której Ukraina jest tylko małą częścią. Paryż nie tylko zderza się z Moskwą w Mali, ale również walczy o odblokowanie dostaw zboża z ukraińskich portów, co jest dla krajów Afryki i dawnych francuskich kolonii sprawą życia i śmierci. Francji

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl e884b37b5b

nie podoba się, że Zachód przesuwa uwagę w kierunku Europy Środkowo-Wschodniej i Rosji, bo zdaniem Francuzów głównym przeciwnikiem są Chiny. Mówimy wszak o państwie, które ma granice na kilku kontynentach, które traktuje Australię jako swojego sąsiada, podobnie Brazylię, a Indie są w tej układance jednym z jego najbliższych sojuszników. Francja sprzedaje Indiom broń, francuska flota ma prawo zawijać do indyjskich portów, a Indie od Paryża dostały swój wzbogacony uran do programu atomowego.

Po co Francji i Indiom ten sojusz?

– Między innymi po to, aby budować porozumienie antychińskie. Chińczycy np. ostrzą sobie zęby na Nową Kaledonię, francuską posiadłość zamorską, która ma jedne z największych na świecie pokładów niklu. Zdarzało się, że chińska marynarka wojenna blokowała drogę francuskim statkom handlowym. W odwecie Francja wysłała atomowy okręt podwodny, żeby przepłynął przez Morze Południowochińskie. Ta prowokacja służyła pokazaniu Chińczykom, że Francja potrafi się odegrać: wet za wet.

Niedawno napisałeś na stronach „Rzeczpospolitej", że Macron jest „trochę liberałem, a trochę autorytarystą" i że bez zrozumienia historii Francji i osobistej historii prezydenta w ogóle nie da się go zrozumieć. O co chodzi?

– Stalin mówił, że wprowadzać w Polsce komunizm to jak zakładać siodło krowie. I nie inaczej jest z wprowadzaniem we Francji liberalizmu. Po pierwsze, są w niej silne tradycje etatystyczne. A po drugie, tam wszystko musi być narodowo-patriotyczne. Francuzi mają poza tym syndrom oblężonej twierdzy. Cywilizacja francuska – bo oni twierdzą, że mają cywilizację, nie kulturę – jest ich zdaniem oblężona. Przez amerykańską popkulturę, przez islam i czego tam jeszcze chcieć. A w obronie Francji i jej 1,5 tys. lat dorobku wszystkie chwyty są dozwolone. I to przeziera w tonie Macrona po wielokroć.

A jak to się ma do liberalizmu albo jego braku?

– Macron, kiedy trzeba kupować świeżo sprywatyzowane włoskie przedsiębiorstwa, to jest liberałem. Wtedy ma usta pełne frazesów o wolnym rynku. Ale gdy Włosi chcieli kupić francuską stocznię, to kazał ją znacjonalizować. A jak Amerykanie wyrazili zainteresowanie Danonem, to wpisano go na listę przedsiębiorstw strategicznych z punktu widzenia interesu narodowego. Dalej: Macron mówi o wolnym przepływie ludzi i kapitału, ale dyrektywy o pracownikach delegowanych nie poprze, bo dla niego to dumping socjalny, który uderza we francuskiego robotnika. I mówi, że bliższy mu jest imigrant z Gabonu lub Algierii niż z Polski czy Bułgarii, bo ten pierwszy przynajmniej należy do świata francuskiego. Mówi po francusku, musiał w szkole się zmierzyć z Victorem Hugo itd. Dlatego mówienie o Macronie jako ostatniej nadziei liberalizmu wynika z głębokiego nieporozumienia. On jest takim samym nacjonalistą jak Marine Le Pen.

Jak to?

– „Liberalnym" nacjonalistą w takim sensie, że nie przeszkadzają mu małżeństwa homoseksualne, nie będzie podnosił ręki na wolność słowa. Ale już świeckości państwa francuskiego będzie bronił zajadlej niż jakikolwiek polityk w pierwszym świecie. Nie znam innego kraju, w którym można zostać deportowanym za tweeta. Ani takiego, gdzie można zamknąć basen, który wprowadza osobne godziny otwarcia dla chłopców i dziewczynek. Gdzie kobietę za burkini na plaży zatrzyma policja i wlepi mandat. Macron był zwolennikiem mocnego dokręcania śruby, a poprzedni minister edukacji w jego rządzie powiedział, że będzie prowadził wojnę przeciwko „islamolewactwu".

A w dziedzinie gospodarki jest „turboliberałem", co zarzuca mu lewica?

– Macron obiecał Francuzom, że będą mieli 25 „jednorożców", czyli start-upów wartych ponad miliard do 2025 r. Przebił tę obietnicę, bo już mają ich więcej. Pozazdrościć można im inflacji – 5,8%. Bezrobocie wśród młodych jest najniższe od 40 lat. Jeśli chodzi o zdolność przyciągania inwestycji zagranicznych, robią to lepiej niż Niemcy czy Brytyjczycy. Ale jest i rewers tego: widzimy, jak dobrze Macron żyje z amerykańskim biznesem, co pokazały niedawne wycieki i dziennikarskie śledztwo Uber Files. Macron rozmawiał z dyrektorami amerykańskiej firmy jak z kolegami i obiecywał im załatwić różne sprawy. Dziś, po ujawnieniu tych dokumentów, mówi zresztą, że zrobiłby dokładnie to samo. Ale czy to jest liberalizm? Nie sądzę. Francuska scena polityczna podzieliła się już tylko na radykalną prawicę, radykalną lewicę i radykalne centrum. Macronowi też to się podoba, bo dzięki temu ma „monopol na rozsądek".

Nie zapominajmy jednak, że on rządzi nie zwykłym demokratycznym krajem, ale takim, który wciąż uważa za się postimperium z interesami na całej planecie i misją cywilizacyjną.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Każdy, kto twierdzi, że wie, kto i ile broni przesyła Ukrainie, mówi nieprawdę.

Francuskie siły zbrojne są oficjalnie i jawnie obecne w Ukrainie.

eprasa.pl e884b37b5b

Żółwiki i obietnice

Na Bliskim Wschodzie Joe Biden wraca do strategii wytyczonej przez Donalda Trumpa

Jakub Katulski

Jeśli świat miałby zapamiętać coś z wizyty Joego Bidena na Bliskim Wschodzie, z pewnością będzie to żółwik przybity przez amerykańskiego przywódcę z saudyjskim księciem koronnym Muhammadem ibn Salmanem. Temu właśnie wydarzeniu media poświęciły najwięcej uwagi, podkreślając kontrowersyjność tego gestu i to, co symbolizował. W końcu relacje między liderami obu państw były napięte przynajmniej od czasu ostatniej kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych, podczas której Biden wiele obiecywał w kwestii wymuszenia na Arabii Saudyjskiej przestrzegania praw człowieka i pociągnięcia księcia do odpowiedzialności za śmierć Dżamala Chaszukdżiego. Dzisiaj wygląda na to, że Waszyngton nie chce – lub nie może – przyjmować ostrego kursu wobec Rijadu czy innych istotnych sojuszników w regionie.

Właśnie o okazanie wsparcia sojusznikom chodziło w wizycie, która rozpoczynała się od Izraela. Gdy Biden wysiadał z Air Force One w Tel Awiwie, przywitał go świeżo upieczony premier Jair Lapid. Już wówczas mężczyźni nie wymienili uścisku dłoni, tylko przybili żółwika, choć ten gest zdecydowanie nie przykuł uwagi dziennikarzy tak bardzo jak późniejsze przywitanie z Muhammadem ibn Salmanem.

Żółwik przybity przez Joego Bidena z Muhammadem ibn Salmanem został przez media uznany za gest kontrowersyjny i symboliczny.

Na dwa fronty

Pobyt amerykańskiego prezydenta w Izraelu nie przyniósł może nowych deklaracji i rozwiązań politycznych, ale potwierdził dotychczasową politykę Waszyngtonu wobec najbliższego bliskowschodniego sojusznika. Dla izraelskich polityków wizyta Bidena miała niebagatelne znaczenie. Lapid nazwał ją historyczną, a prezydent Icchak Herzog porównał amerykańskiego prezydenta do jego biblijnego imiennika, Józefa, syna patriarchy Jakuba i Racheli, podkreślając, że tak jak on Biden jest wizjonerem i przywódcą i właśnie trwa pokojowa podróż z Izraela do Arabii Saudyjskiej, z Ziemi Świętej do Hidżazu (jak nazywa się region, w którym znajduje się Dżudda, do której udał się Biden po spotkaniach z Izraelczykami i Palestyńczykami).

Tym samym Izraelczycy podkreślili swoje nadzieje na rozszerzenie porozumień abrahamowych, czyli wynegocjowanych jeszcze przez administrację Donalda Trumpa umów normalizujących relacje państwa żydowskiego ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Bahrajnem, co zaowocowało także umowami z Sudanem i Marokiem. Te nadzieje zostały podkreślone także w uroczyście podpisanej przez Lapida i Bidena deklaracji, którą izraelski premier osobiście zawiesił na ścianie gabinetu, gdzie odbywają się posiedzenia rządu.

Według Lapida dokument potwierdzał „wyjątkową naturę" relacji między obydwoma państwami, choć trudno w nim się doszukać nowych deklaracji. To jedynie kolejne potwierdzenie kwestii, w których Tel Awiw i Waszyngton będą współpracować, od powstrzymania Iranu przed zbudowaniem broni jądrowej, przez walkę z antysemityzmem, aż po dalszy dialog dotyczący relacji

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl e884b37b5b

izraelsko-palestyńskich i właśnie starania na rzecz rozszerzenia porozumień abrahamowych o kolejne państwa arabskie.

Nic nowego, lecz Jair Lapid, piastujący stanowisko szefa rządu do czasu rozpisania wyborów w listopadzie i zbudowania po nich koalicji, musi korzystać z wszelkich okazji do potwierdzenia swojej skuteczności, jeśli chce zapewnić sobie zwycięstwo nad Beniaminem Netanjahu. Waszyngton dostrzega jednak, że Lapid może być szefem rządu jedynie tymczasowo, i nie stawia wszystkiego na jedną kartę. Dlatego Biden spotkał się również z Bibim, z którym rozmawiał przede wszystkim na temat Iranu, postrzeganego dziś w Izraelu jako główne zagrożenie dla regionalnej stabilności.

Netanjahu miał podczas krótkiego spotkania przekazać amerykańskiemu prezydentowi, że tzw. porozumienie nuklearne z Iranem z 2015 r. (Joint Comprehensive Plan of Action, JCPOA), z którego Stany Zjednoczone wycofał Donald Trump, było nieskuteczne w powstrzymywaniu atomowych ambicji Teheranu. Biden prowadzi z Irańczykami rozmowy, które miałyby poskutkować wskrzeszeniem JCPOA, choć wiodąca do tego wyboista droga nie daje nadziei na szybkie rozwiązanie kryzysu. Netanjahu, podobnie jak inni izraelscy politycy, jest przekonany, że jedyną skuteczną metodą walki z rozwojem programu nuklearnego Iranu są działania wojskowe i sabotaż. Izraelski wywiad często oskarża się o akty sabotażu w ośrodkach nuklearnych czy o likwidowanie irańskich naukowców, a politycy Tel Awiwu zazwyczaj nie zaprzeczają tym doniesieniom ani ich nie potwierdzają.

Wygląda na to, że Joe Biden także nie jest już przekonany do rozmów z Irańczykami. Teheran domaga się zdjęcia Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, jednej z formacji irańskich sił zbrojnych, z listy zagranicznych organizacji terrorystycznych, na którą jednostka ta została wpisana za prezydentury Trumpa. W wywiadzie z Kanałem 12 izraelskiej telewizji na pytanie, czy Biden jest gotów „uśmiercić" porozumienie z Iranem i pozostawić korpus na liście, prezydent USA bez wahania odpowiedział „tak".

Bidenowi nie udało się przekonać Saudyjczyków do dostarczania większej ilości ropy naftowej na światowe rynki.

Czekanie na następcę Abbasa

Biden kontynuuje politykę swojego poprzednika, również jeśli chodzi o uznanie przez Waszyngton Jerozolimy w całości jako stolicy Izraela, ku niezadowoleniu Palestyńczyków, którzy też roszczą sobie prawa do Świętego Miasta.

Ponieważ jednak podczas wizyty w szpitalu w Jerozolimie Wschodniej prezydencka limuzyna, Bestia, ozdobiona była wyłącznie amerykańskimi flagami, choć według protokołu dyplomatycznego powinna być na niej umieszczona także flaga Izraela, zaczęły się spekulacje, że status Jerozolimy nie jest tak oczywisty dla amerykańskiej administracji i powstała furtka do podważania dotychczasowych ustaleń, które potwierdził jeszcze Donald Trump, przenosząc w 2018 r. amerykańską ambasadę z Tel Awiwu.

Tom Nides, ambasador USA w Izraelu, w rozmowie z „Jerusalem Post" zaznaczył, że wizyta w szpitalu „nie była wydarzeniem politycznym". Jej celem było przekazanie 100 mln dol. na pomoc Palestyńczykom korzystającym z tej i innych placówek medycznych. Niezależnie od tej kwoty Amerykanie zobowiązali się także do przekazania dalszych 201 mln dol. Agencji Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie, zajmującej się zapewnianiem edukacji, opieki zdrowotnej, opieki społecznej itd. Palestyńczykom na Zachodnim Brzegu, w Strefie Gazy, Jerozolimie Wschodniej, Libanie, Syrii i Jordanii.

Biden potwierdził też przywiązanie Stanów Zjednoczonych do idei tzw. rozwiązania dwupaństwowego, choć Palestyńczycy od lat sceptycznie patrzą na działania Waszyngtonu w tej sprawie. Nic więc dziwnego, że w Jerozolimie Wschodniej i Betlejem amerykańskiego prezydenta przywitały

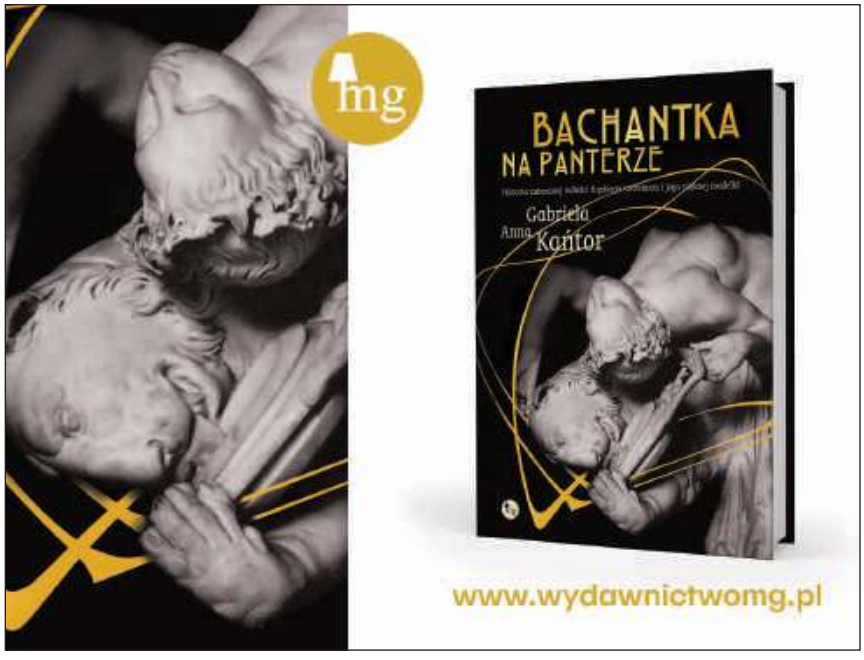

eprasa.pl e884b37b5b

grupy demonstrantów podkreślających, że administracja Bidena poprzez swoje wsparcie dla Izraela przyczynia się do umacniania okupacji. Choćby poprzez fakt, że Amerykanie nie robią nic, by powstrzymać żydowskie osadnictwo na Zachodnim Brzegu, które de facto ciągle zmniejsza obszar, na jakim miałoby powstać państwo palestyńskie, gdyby doszło do trwałego porozumienia pokojowego z Izraelem. Demonstrujący rozciągnęli czarne transparenty, na których widniało hasło „Palestinian Lives Matter", nawiązujące do głośnego ruchu Black Lives Matter walczącego z niesprawiedliwością dotykającą osoby czarnoskóre.

Palestyńczycy domagają się także działań w sprawie śmierci Szirin Abu Akli, dziennikarki Al-Dżaziry, która zginęła w maju podczas pracy, prawdopodobnie od kuli izraelskiego żołnierza. Rodzina zabitej dziennikarki, legitymującej się również amerykańskim obywatelstwem, oczekiwała, że prezydent spotka się z nimi podczas swojej podróży, lecz do spotkania nie doszło.

Nawet spotkanie palestyńskiego prezydenta Mahmuda Abbasa z Bidenem nie przyniosło spektakularnych rozwiązań, zwłaszcza w kwestii konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Trudno jednak się dziwić, gdyż Amerykanie widzą, że 87-letni Abbas jest już u schyłku politycznej kariery, a wciąż nie wyłonił się żaden inny lider, który mógłby go w przyszłości zastąpić. Trudno, by Waszyngton naciskał na doprowadzenie do bezpośrednich negocjacji Palestyńczyków z Izraelczykami, gdy jeszcze nie wiadomo, kto będzie nimi rządził za kilka miesięcy.

Książę koronny wygrywa

Kiedy Air Force One odlatywał do Dżuddy, Izraelczycy chwalili decyzję Rijadu o otwarciu przestrzeni powietrznej dla wszystkich cywilnych przewoźników lotniczych, w tym izraelskich. Prezydencki samolot odbył bowiem pierwszy w historii bezpośredni lot z Tel Awiwu do Arabii Saudyjskiej. Otworzy to liniom lotniczym drogę do wytyczania nowych połączeń, które będą uwzględniały przeloty nad Półwyspem Arabskim do i z Izraela. Nie jest to to samo, co oczekiwane dołączenie Rijadu do porozumień abrahamowych, ale w Izraelu widziane jest jako krok w dobrym kierunku.

Sama wizyta w Dżuddzie obnaża niestety klęskę dotychczasowej polityki Bidena wobec Arabii Saudyjskiej i Muhammada ibn Salmana. Dawniej amerykański prezydent obiecywał, że uczyni Rijad pariasem na arenie międzynarodowej, demonstrując tym samym zerwanie z dotychczasową bezkrytyczną polityką Donalda Trumpa. Zaowocowało to choćby tym, że kiedy rozpoczęła się rosyjska inwazja na Ukrainę, a Amerykanie oczekiwali, że Saudyjczycy zwiększą wydobycie ropy naftowej i będą dostarczali więcej surowca na światowy rynek, by pomóc w ustabilizowaniu cen, Muhammad ibn Salman nie odbierał telefonów z Waszyngtonu.

Dzisiaj wygląda na to, że właśnie saudyjski następca tronu, a rzeczywisty władca królestwa, jest jedynym zwycięzcą całej podróży Bidena na Bliski Wschód. Amerykańskiemu prezydentowi nie udało się przekonać Saudyjczyków do dostarczania większej ilości ropy naftowej na światowe rynki, a na pewno nie natychmiast. Usłyszeliśmy jedynie dość mgliste zapewnienie, że królestwo do końca 2026 r. lub na początku roku 2027 zwiększy swoje zdolności produkcyjne do ponad 13 mln baryłek dziennie. Z tym że zdolności produkcyjne niekoniecznie przełożą się na rzeczywistą podaż. Znamienne jest też to, że krótko po wizycie Bidena cena baryłki ropy Brent znowu podskoczyła powyżej 100 dol.

Amerykański przywódca spotkał się w Dżuddzie nie tylko z Muhammadem ibn Salmanem. Wziął także udział w regionalnym szczycie przywódców sześciu monarchii Półwyspu Arabskiego oraz Iraku, Jordanii i Egiptu, na którym zapewniał, że Stany Zjednoczone przyjmą bardziej aktywną rolę w procesach politycznych Bliskiego Wschodu. Waszyngton nie chce pozostawić po sobie luki, w którą mogłyby wejść Chiny, Rosja czy Iran.

USA zobowiązały się też do udzielenia pomocy finansowej na zabezpieczenie dostaw żywności do regionu, mocno nadwyrężonych przez rosyjską agresję na Ukrainę. To stamtąd wiele państw Bliskiego Wschodu kupuje zboża takie jak pszenica, która stanowi jedną z podstaw jadłospisu w krajach arabskich, zwłaszcza wśród biedniejszych warstw społeczeństwa.

Biden wrócił do Waszyngtonu, nie uzyskując niemal niczego poza drobnymi obietnicami. Wizyta nie umocniła znacząco pozycji Amerykanów w regionie, ale trudno też mówić o nim jako o przegranym. Kiedy obiecywał obranie nowego kursu wobec bliskowschodnich sojuszników, znajdowaliśmy się w innej sytuacji geopolitycznej. Wojna na wschodzie Europy wymusiła na prezydencie powrót na tory wyznaczone przez poprzednika. Nawet za cenę pogrzebania spraw śmierci Dżamala Chaszukdżiego, Szirin Abu Akli czy kwestii praw człowieka w regionie, które miały być dla amerykańskiej administracji priorytetowe lub przynajmniej istotne, jeśli wierzyć zapewnieniom Bidena z kampanii wyborczej.

Jakub Katulski
j.katulski@tygodnikprzeglad.pl

Krótko po wizycie Bidena cena baryłki ropy Brent znowu podskoczyła powyżej 100 dol.

Wygląda na to, że to saudyjski następca tronu jest jedynym zwycięzcą podróży Bidena na Bliski Wschód.

eprasa.pl e884b37b5b

Jak Kolumbia stała się kobietą

Nominacja Francii Márquez na wiceprezydent kraju to przełom dla całego regionu

Mateusz Mazzini

Jeszcze zanim Gustavo Petro, były partyzant i pierwszy w historii lewicowy prezydent Kolumbii, ostatecznie wygrał drugą turę wyborów, dużo głośniej niż o nim było o niej – Francii Márquez. O ile bowiem triumf lewicy już nosił znamiona wydarzenia epokowego, o tyle nominacja na zastępczynię głowy państwa kobiety, Afrokolumbijki, pierwszej czarnoskórej mieszkanki kraju na tak eksponowanym stanowisku politycznym, była zmianą na poziomie cywilizacyjnym. Dotychczas w Kolumbii, państwie na wskroś konserwatywnym, w którym przez 200 lat u władzy rotowały te same mieszczańskie siły, kobiety istniały w społeczeństwie wyłącznie w celach statystycznych i prokreacyjnych. Próżno było szukać ich w polityce, biznesie, nawet tradycyjnie sfeminizowana latynoamerykańska sztuka akurat tutaj pozostawała bastionem męskiej dominacji. Jeszcze mniej było w przestrzeni publicznej osób czarnoskórych – mimo że w 50-milionowym kraju co dziesiąty obywatel należy do tej grupy etnicznej.

Francia Márquez obiecała w kampanii poprawienie bytu kobiet i afrokolumbijskiej mniejszości.

Kolumbijczycy drugiej kategorii

Mówi się o nich *afrodescendientes*. Potomkowie Afryki. Ich obecność w dzisiejszym kolumbijskim narodzie jest namacalną spuścizną kolonializmu, a dokładniej – transatlantyckiego handlu niewolnikami. Mieszkańców Afryki Zachodniej przywożono tutaj do pracy na plantacjach kawy i owoców, ale także w kopalniach i przy wyrębie lasów tropikalnych. Afrokolumbijczycy pod względem wszystkich wskaźników rozwoju i dobrostanu zajmują najniższe pozycje. Mają najniższy standard życia, największe problemy mieszkaniowe, najniższe dochody, najwięcej dzieci *afrodescendientes* porzuca edukację już na poziomie szkoły podstawowej. Najmocniej też uderzają w nich kataklizmy. Te ekologiczne, bo częściej żyją oni z rolnictwa i hodowli oraz korzystają bezpośrednio z zasobów naturalnych, i te społeczno-ekonomiczne, takie jak kryzys wywołany pandemią koronawirusa, który Kolumbię doświadczył szczególnie mocno. Według szacunków ONZ aż 40% populacji żyje tam w tej chwili na granicy ubóstwa lub poniżej, taki sam odsetek zmaga się z czasowym lub stałym niedożywieniem. W tej grupie *afrodescendientes* również są nadreprezentowani.

Jeśli chodzi o kobiety w kolumbijskim społeczeństwie, obraz jest niewiele lepszy. Wprawdzie Francia Márquez będzie drugą wiceprezydentką w historii kraju, pierwsza na tym stanowisku była jej poprzedniczka, Marta Lucía Ramírez Blanco, ale w polityce kobiety nadal zderzają się ze szklanym sufitem. Na wszystkich poziomach stanowienia prawa zaledwie 18,8% wybieralnych urzędników państwowych to kobiety. Mniej ich decyduje o kształcie kraju jedynie w Brazylii i Paragwaju. Daleko także Kolumbii do latynoamerykańskiej średniej, która według Obserwatorium Równości Płci ONZ wynosi w tej chwili dokładnie 33%. Co trzecia osoba zasiadająca w parlamencie czy władzach lokalnych Kolumbii powinna więc być kobietą – jest nią tylko co szósta.

Prawdziwy dramat kobiet rozgrywa się jednak gdzie indziej. Na ulicach, w szkołach, we własnych domach. Kolumbia jest jednym z krajów najgorzej radzących sobie ze zjawiskiem *feminicidios*, czyli morderstw kobiet wynikających z kwestii rasowych, etnicznych, a najczęściej seksualnych. Tylko w 2021 r. życie w ten sposób straciło aż 210 osób, o 12,3% więcej niż w roku poprzednim. Przyczynił się do tego oczywiście pandemiczny lockdown, oznaczający często zamknięcie w jednej

eprasa.pl e884b37b5b

przestrzeni z oprawcą, ale też wywołany zarazą kryzys ekonomiczny. Wielu mężczyzn straciło pracę, wskutek czego wzrósł nabór do gangów i organizacji paramilitarnych – podmiotów, którym łatwiej było zachować płynność finansową w gotówce. To z kolei przełożyło się na wzrost przemocy w przestrzeni publicznej. Więcej kobiet jest zaczepianych na ulicach, atakowanych, gwałconych. Zwłaszcza młodych – bo według danych Corporación Sisma Mujer, organizacji pozarządowej monitorującej sytuację kobiet w społeczeństwie, zdecydowana większość ofiar feminicidios miała mniej niż 30 lat. O 21% wzrosła również liczba aktów przemocy seksualnej – oznacza to, że ich ofiarą pada średnio jedna kobieta co 28 minut. I tu znowu: najczęściej sprawcami są bliscy, a najbardziej narażone są osoby młode. 80,5% wszystkich napaści na tle seksualnym i aktów molestowania dotyczyło w 2021 r. kobiet niepełnoletnich. W Kolumbii, jeśli jesteś kobietą, przetrwanie każdego kolejnego dnia jest, dosłownie, sukcesem egzystencjalnym.

Zapowiedź zmian

Francia Márquez szła więc do wyborów z jedną, ale niezwykle trudną do spełnienia obietnicą: znacząco poprawić byt dwóch zmarginalizowanych grup społecznych, których sama jest członkinią, a więc kobiet i afrokolumbijskiej mniejszości. W walce o prawa wykluczonych ma ogromne, choć pozaparlamentarne doświadczenie. Już w wieku 13 lat stanęła na czele grupy aktywistycznej, która walczyła z przymusowymi wysiedleniami w okolicach jej rodzinnej wioski Yolombó na północy kraju, 50 km od Cali, trzeciego co do wielkości miasta w Kolumbii. Bliskość metropolii jest jednak w tym przypadku zwodnicza, bo Yolombó nie oferuje nic z luksusów wielkomiejskiego życia. Czasami wręcz ciężko te 50 km przebyć, bo drogi nie są ani asfaltowe, ani nawet porządnie ubite, tropikalne deszcze zalewają je, czyniąc nieprzejezdnymi. Mieszkańców wioski chciały przesiedlić koncerny energetyczne, które w okolicy budowały tamę i elektrownię wodną, obszar ten był przeznaczony do zalania. Márquez się sprzeciwiła, już wtedy rozumiejąc, że to działanie w dużej mierze bezprawne. Ale nie miała jeszcze odpowiedniego aparatu, by sprawnie walczyć z państwową biurokracją i korporacyjnymi molochami.

Dlatego poszła na studia prawnicze – kolejne wyzwanie, nie tyle intelektualne, ile finansowe. Czesne, konieczność utrzymania się w dużym mieście bez żadnego zaplecza finansowego – oznaczały, że musiała uczyć się i pracować. Na uczelni bywała więc zygzakiem: jeden semestr nauki, jeden odpuszczony, by zebrać pieniądze. W dodatku była już wtedy matką. O ojcu pierwszego dziecka mówi tylko, że „miał zielone oczy". Z jej rodzinnej wioski zniknął natychmiast, kiedy dowiedział się o ciąży. Dziś Francia Márquez ma już pełne wykształcenie prawnicze, studia ukończone w 2020 r., i dwójkę dzieci. A przede wszystkim – całą listę międzynarodowych nagród, z Nagrodą Goldmanów, nazywaną zielonym Noblem, na czele. Przy całym zamieszaniu, które szybko rozpętało się wokół jej osoby, nigdy jednak nie odeszła ani na krok od swoich pierwotnych postulatów. Jak refren powtarzała, że najważniejsze są dla niej kobiety i *afrodescendientes*.

– Temat zmiany, która musi nastąpić poprzez zwiększenie udziału kobiet w życiu publicznym, to pierwszy rozdział programu wyborczego Petra i Márquez – mówi PRZEGLĄDOWI dr Julia Zulver, badaczka z Uniwersytetu Oksfordzkiego, stypendystka programu badawczego im. Marii Skłodowskiej-Curie. – Oznacza to, że po raz pierwszy w 200-letniej historii kolumbijskiej polityki pojawia się w niej zestaw postulatów feministycznych, mających zachęcić kobiety do aktywności politycznej.

Feminizm wysokiego ryzyka

Julia Zulver, autorka książki „Feminizm wysokiego ryzyka w Kolumbii", zauważa, że kobiety, które zdecydują się stanąć w obronie praw własnych i osób im bliskich, są szczególnie narażone na przemoc. Często odpowiedzią na ich działalność są groźby, prześladowania, niszczenie mienia, czasem nawet kończy się morderstwem czy napaścią na tle seksualnym. Unikatowa w skali nie tylko kraju, ale i całego regionu pozycja Francii Márquez może tę sytuację zmienić, bo dzięki zwycięstwu w wyborach prezydenckich Gustavo Petro uzyska ogromną platformę do mówienia o problemach tych, których dotychczas nazywano *los nadies* – „zbiorowym nikim", obywatelami Kolumbii jedynie z nazwy.

Oczywiście od samego mówienia ich rzeczywistość się nie zmieni, potrzeba konkretnych inicjatyw politycznych. A o sukces może tu być ciężko, bo wprawdzie Petro wybory wygrał dość gładko, ale parlament sprzyjać mu nie zamierza. – Petro obejmuje władzę w momencie, gdy Kongres kontrolowany jest przez opozycję. W dodatku jego program oparty jest na silnych komponentach socjalnych, które będą sporo kosztować. Już jako burmistrzowi Bogoty zdarzało mu się obiecywać wielkie zmiany, których nie był w stanie zrealizować – przypomina dr Julia Zulver. Mimo to kolumbijska lewica ma powody do optymizmu. – Petro udowodnił już niejednokrotnie, że nie boi się konfrontacji z konserwatywnymi elitami. W ten sposób zwalczał chociażby korupcję. Pewne jest więc, że akurat on swoich postulatów, zwłaszcza dotyczących

W Kolumbii, jeśli jesteś kobietą, przetrwanie każdego kolejnego dnia jest, dosłownie, sukcesem egzystencjalnym.

W 2021 r. 210 kobiet zostało zamordowanych z powodów etnicznych, o 12,3% więcej niż w roku poprzednim.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl e884b37b5b

równości, praw kobiet i mniejszości etnicznych, nie porzuci.

Czy Kolumbia zmieni się na lepsze pod rządami lewicowego duetu? Za wcześnie, by ferować wyroki. Sam wybór Francii Márquez na wiceprezydentkę wywołał jednak spory wstrząs na całym kontynencie, przez który już od dwóch lat przetacza się fala postępowych zmian społecznych, zmieniająca oblicze tradycyjnie konserwatywnego regionu, stojącego w cieniu religijnych dogmatów i opresyjnego wobec kobiet i mniejszości. Liberalizacja prawa aborcyjnego w Argentynie w 2020 r., w Meksyku rok później i w Kolumbii w lutym tego roku to tylko najgłośniejsze rozdziały tej epopei.

Droga długa i wyboista

Pozycję kobiet w społeczeństwie w znacznym stopniu poprawia również naszkicowana niedawno i przedstawiona opinii publicznej nowa konstytucja Chile. Zrywająca z legislacyjnym dziedzictwem dyktatury Pinocheta i posttransformacyjnym paktem liberalnych elit ustawa zasadnicza, napisana przez aktywistyczną, mocno ludową konstytuantę, zapewnia kobietom parytet w parlamencie. Jeszcze dalej poszedł nowy prezydent kraju, Gabriel Boric, który do swojego zaprzysiężonego w marcu rządu zaprosił 14 kobiet i 10 mężczyzn – to pierwszy gabinet w historii Chile, w którym panie stanowią większość. O konieczności zwiększenia udziału kobiet w polityce mówi też Luiz Inácio Lula da Silva, nowy-stary lider brazylijskiej lewicy, faworyt wyznaczonych na 2 października wyborów prezydenckich. Akurat jego stosunek do praw kobiet jest doskonale znany, bo wprowadzać je na najwyższe pozycje w polityce zaczął ponad 15 lat temu. Na swoją następczynię wybrał Dilmę Rousseff, czyniąc ją pierwszą kobietą na stanowisku brazylijskiej głowy państwa. Gdziekolwiek spojrzeć, polityka w Ameryce Łacińskiej przyjmuje żeńską formę.

Nowy prezydent Chile, Gabriel Boric, do swojego rządu zaprosił 14 kobiet i 10 mężczyzn.

Droga do zmiany od szczytu do poziomu ulicy jest jednak długa i wyboista. Nie tylko dlatego, że latynoscy prezydenci, których urzędy i zakres kompetencji wzorowane były na modelu amerykańskim, nie mają w swoich krajach władzy absolutnej. To oczywiście spore wyzwanie, ale takie są reguły demokratycznej gry. Boric i lewicowi aktywiści napisali równościową konstytucję, ale na razie jest ona szkicem i może nim pozostać. Nowy projekt popiera w tej chwili 42% Chilijczyków, 47% jest przeciw – a referendum konstytucyjne już 4 września. Poza tym do tego, by zmiana polityczna przekształciła się w realną, potrzeba czasu i efektywnego sprawowania władzy.

W samej Kolumbii może to być problemem, bo jeszcze w latach 2000 jedną trzecią jej terytorium stanowiły tzw. obszary brązowe. To termin pochodzący z nauk politycznych, określający obszary wewnątrz granic państwa, na których demokratycznie wybrany rząd nie sprawuje pełni kontroli. W przypadku Kolumbii odnosiło się to do ogromnych połaci kontrolowanych przez gangi narkotykowe i grupy paramilitarne – FARC, ELN i inne ugrupowania. Tam kobiety często zmuszane są do niewolniczej wręcz pracy, poddawane przymusowej sterylizacji, zabrania się im zakładania rodzin, bo zagraża to bezpieczeństwu i działaniom operacyjnym organizacji. Już ten przykład nasuwa pytanie o efektywność jakichkolwiek rozwiązań rządowych.

W dodatku, jak zauważa Nora Libertun z Międzyamerykańskiego Banku Rozwoju, problemy kobiet nie istnieją w próżni – w Ameryce Łacińskiej są sprzężone z innymi. Żeby je eliminować, trzeba działać systemowo, jednocześnie na wielu obszarach. Sama wymienia trzy, kluczowe dla bezpieczeństwa kobiet: dostęp do tanich mieszkań, poprawa transportu publicznego i inwestycje infrastrukturalne w przestrzeń publiczną, które uczynią ją bezpieczniejszą: oświetlenie, eliminacja przejść podziemnych, nadzór kamer wideo. Wszystkie te postulaty znalazły się też w programie Gustava Petra i Francii Márquez. Nie wszystkie uda się zrealizować, ale o wszystkich już jest głośno. To krok pierwszy. Dopiero pierwszy, ale bez niego nie da się iść dalej.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

PILNE! MAŁA OKRUSZKA IDZIE NA RZEŹ!

Jeśli nic nie zrobimy Okruszka pójdzie na rzeź. Albo ją siłą tam zaciągną, bo chodzenie jest dla niej ogromnym problemem. Stara, wyniszczona, z zaniedbanymi kopytkami, z wszawicą, upchnięta na stercie stęchłego obornika jak zbędny śmieć. Schowana przed całym światem. Przed słońcem. Odcięta od życia i ograbiona z nadziei. Przywiązana sznurem do kółka w ścianie, jakby miała siłę uciec. Jak ta biedna, malutka kucka miałaby uciec, skoro ledwo stoi? Człowiek zabrał jej dzieci, młodość, zdrowie, a latami zaniechania doprowadził do stanu takiego, że wstyd ją pokazać więc sprzedał na rzeź. Handlarz mówi, że taki byle jaki koń, nic nie wart, stara skóra i same kości, a właściciel targował się o każdy grosz, licząc na sowity zarobek.

Dodaje też, że Okruszka może być źrebna, że trzymał ją z ogierkiem. Żeby jakiś zysk z niej był. Życie Okruszki wycenił na 1300 zł. Koszt transportu to kolejny 1000 zł. Mała Okruszka nie ma nic ani nikogo. Mamy tylko kilka dni by ją ocalić. Prosimy o pomoc. Jeśli możesz pomóc, dokonaj darowizny "Ratunek dla Okruszki"

numer konta: **23 1020 4027 0000 1102 1692 6564**

Fundacja BENEK, ul. Orzechowa 15, 63-004 Szewce, KRS0000794938

www.fundacjabenek.pl Tel: Michał Bednarek 506 349 596

DZIĘKUJEMY CI ZA KAŻDE WSPARCIE

eprasa.pl e884b37b5b

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Opleceni

Mimo upałów już dni stają się krótsze, już z górki jedziemy ku jesieni, już mnie to na zapas przygnębia, tak mają depresyjne natury. Dlatego najbardziej lubię kwiecień, kiedy wiosna zaledwie się rozwija, a lato zdaje się jeszcze daleko. Tymczasem najazd Rosji na Ukrainę trwa, nie do wiary, że to się dzieje naprawdę. Że tak oswajamy się z tym, że nie jest to już wiadomość dnia. Świat demokratyczny wysyła Ukrainie broń, by Ukraińcy ginęli za swoją i za naszą wolność; bardzo to imponujące i bardzo przygnębiające.

•

Nasz 12-latek marzy o psie. Wynajduje kolejne rasy, na których skupia się jego marzenie. Jak mu odmówić? A przecież wiem, że i tak ledwie dajemy sobie radę z całokształtem życia, więc pies nas wykończy. Sytuacja bez wyjścia. Jednak zaczęliśmy się interesować psami. Chodząc po zakopiańskich Krupówkach, spotykaliśmy wiele psów w rzece ludzi, niezwykłą ich rozmaitość. I zdumiewające zjawisko: miałem wrażenie, że to psy prowadziły swoich właścicieli na smyczy. To jest wielka zmiana cywilizacyjna. Psy domowe stają się ważne jak dzieci, a dzieci traktuje się teraz po królewsku. Tak kiedyś nie było.

•

Prezes objeżdża polską prowincję, gdzie kłębi się jego elektorat, i ubogaca go swoją niezwykłą osobą. Przypomina to wizyty I sekretarza KC PZPR. Specjalnie dobrana publiczność przed objawieniem się prezesa trenuje oklaski, przygotowuje wcześniej pytania. Prezes coraz bardziej zaciekły i zdziwaczały. Wraca do reparacji niemieckich dla Polski. Jasne, Niemcy powinny odbudować Polskę po wojnie, ale była wtedy Polska Ludowa, która zrzekła się reparacji, a Niemcy stracili swoje wschodnie tereny. Teraz, po 80 latach, to jakieś głupstwo. Równie dobrze można żądać reparacji od Szwedów, którzy w XVII w. bardziej zrujnowali Polskę niż hitlerowcy. Niemcy, jak wyliczyli księgowi PiS, mają nam zapłacić 850 mld, już nawet nie wiem – dolarów czy euro, bez znaczenia. Niezła sumka, prezes załatwi, a elektoratowi PiS świecą się oczy, może każdemu coś kapnie. I co za paradoks – jeszcze niedawno PiS atakowało Niemcy, że są za miękkie wobec Rosji, że mają za słabą armię, a teraz prezes straszy Polaków, że Niemcy się zbroją. Nie ma to nic wspólnego z konsekwencją ani z polityką zagraniczną. Byle mamić i straszyć Polaków, wygrać wybory i dalej uszczęśliwiać sobą Polskę.

I w końcu nastał Płock. „Koniec tego dobrego", oświadczył tam prezes podczas spotkania. To słowa wobec Brukseli, która ciemięży Polskę, szantażuje ją jakąś „wyimaginowaną praworządnością" i nie daje pieniędzy. Jeśli więc poważnie traktować prezesa, jest to koniec Polski w Unii Europejskiej. Tylko dlaczego tak kibicujemy Ukrainie w przystąpieniu do Unii, powinniśmy Ukraińców przestrzegać, by nie popełnili naszego błędu. Szukaj tu konsekwencji – jak wiatru w polu.

•

Zbliżam się do końca lektury „Dzienników" Andrzeja Łapickiego, a w tej puencie tragikomiczny, autoironiczny zapis obrastania w starość, ale wcześniej, bo jeszcze w roku 1996, scena z Janem Pawłem II w Watykanie. Łapicki zapisuje bardzo naiwny dialog z papieżem. Rozpaczają z Ojcem Świętym, że postkomuniści u władzy, potem już na boku molestuje prałata Dziwisza, by broń Boże nie zapraszali do Watykanu prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Odchodzi zadowolony z myślą: „Załatwiłem Kwacha".

Skoro Unia ciemięży Polskę, to dlaczego tak kibicujemy Ukrainie, by do niej przystąpiła?

Ale już w roku 2001 napisze: „Nie lubię trzynastego. Spotkałem dzisiaj rano na ulicy komucha, którego opierdoliłem, z wzajemnością, w 1995 roku, po wyborze Kwaśniewskiego. Dzisiaj powiedział: »No i co, dalej jest pan zadowolony z rządów solidaruchów? Panie, to już ten przebrzydły PRL był lepszy«. Najgorsze, że powiedział to pobłażliwie współczującym tonem. I miał, kurwa, rację".

•

Nowy podręcznik pisowskiego profesora Wojciecha Roszkowskiego dla szkół znam tylko z omówień. Ale już widzę, ile tam pereł. Profesor pisze o moralnej szkodliwości głośnej muzyki rockowej czy choćby o seksie: „Coraz bardziej wyrafinowane metody odrywania seksu od miłości i płodności prowadzą do traktowania sfery seksu jako rozrywki, a sfery płodności jako produkcji ludzi, można powiedzieć hodowli. Skłania to do postawienia zasadniczego pytania: kto będzie kochał wyprodukowane w ten sposób dzieci?". Profesor, jak widać, porusza się z rozmachem po różnych tematach. Pisze też, że dopiero w roku 2015 dzięki PiS skończył się w Polsce postkomunizm. Co to za zwierzę ten postkomunizm? Nikt dokładnie nie wie, tym łatwiej nim straszyć. Jeśli postkomunizm to ciasne, dogmatyczne myślenie, wrogość do demokracji, jednopartyjność, cenzura, to postkomunistyczną partią jest PiS. Zwyrodniała narośl, która oplata Polskę.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e884b37b5b

Rozmawia Leszek Konarski

OBYWATEL MLECZKO

W mojej pracowni zawsze byłem człowiekiem wolnym i rysowałem, co chciałem

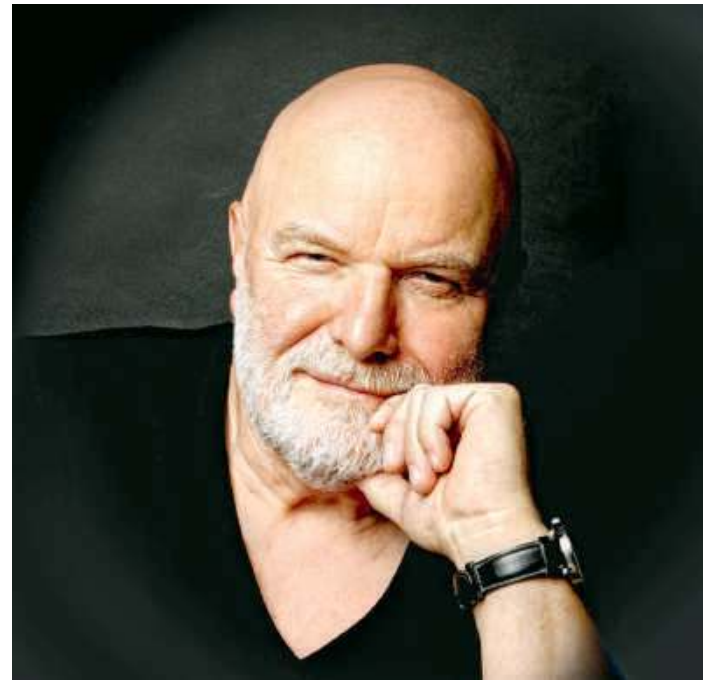

Od 14 czerwca jesteś Honorowym Obywatelem Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. Znalazłeś się w gronie takich honorowych obywateli miasta pod Wawelem jak Józef Piłsudski. Jak się czujesz?

– Bez zmian. Zauważyłem jedynie, że od czasu tego wyróżnienia szczególnie w nocy bije ode mnie jakaś dziwna jasność, a nad głową pojawiło się coś na kształt aureoli.

Może powinieneś pójść do lekarza?

– Myślę, że te symptomy są naturalne w mojej obecnej sytuacji, chociaż odrobinę osłabiają energetycznie i mogę mieć mniejszą chęć do rysowania.

Z taką aureolą będziesz musiał tonować swoje żarty i ograniczyć w rysunkach brzydkie słowa.

– Na szczęście było w historii paru świętych, którzy nie byli zbyt grzeczni i mieli bardzo krytyczny stosunek do świata.

Człowiek z aureolą musi jednak głównie świecić przykładem.

– To prawda. Niestety, nie mogę już teraz przejść pijany przez krakowski rynek, zachowywać się w sposób niekulturalny w towarzystwie ani pluć na chodnik i powinienem ubierać się adekwatnie do mojej aktualnej pozycji społecznej.

Teraz muszę świecić przykładem, zachowywać się kulturalnie, nie mogę przejść pijany przez krakowski rynek, pluć na chodnik.

Ale ty nawet nie masz białej koszuli ani krawata.

– Rzeczywiście, białej nie mam, wszystkie czarne.

Honorowy obywatel miasta musi nosić białą koszulę i krawat. Co ludzie powiedzą? Twój tytuł do czegoś zobowiązuje.

– Honorowe obywatelstwo zobowiązuje do prawdomówności, dlatego powiem szczerze: od 20 lat bezskutecznie staram się schudnąć, a jak wiadomo, czarny kolor wyszczupla. Obiecuję, że kiedy wreszcie schudnę, kupię sobie białą koszulę i krawat, oczywiście pod kolor aureoli.

A dlaczego na uroczystość wręczenia honorowego obywatelstwa założyłeś zbyt kusą, niedopinającą się marynarkę?

– Chciałem dobrze wyglądać i sam poszedłem do sklepu z ubraniami. Teraz już wiem, że ubrania należy kupować z żoną, bo kobieta lepiej potrafi ocenić, czy marynarka dobrze leży.

Obywatelu Mleczko, koniec żartów, porozmawiajmy poważnie. Dawniej mogłem z tobą podyskutować o tym, czy lepiej, aby nosorożec pieprzył żyrafę, czy może żyrafa nosorożca. Zastanawialiśmy się, czy po wprowadzeniu na rynek pościeli z twoimi rysunkami erotycznymi przybyło w Polsce dzieci. Teraz zostałeś dostojnym, szanowanym obywatelem, choć to słowo nie jest dla ciebie nowością, bo wychowywałeś się w czasach, gdy był to jedyny zwrot używany w publicznych kontaktach z władzą.

– Doskonale pamiętam czasy, gdy milicjant mówił: „Obywatelu Mleczko, dlaczego przechodzicie przez jezdnię w niewłaściwym miejscu?” albo „Obywatelu Mleczko, dlaczego piszecie na ścianie nieprzyzwoite wyrazy?”. Każdy list urzędowy zaczynał się od tego zwrotu.

A na studium wojskowym na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej?

– Tam zwracano się do studentów per szeregowiec. Kiedy po raz kolejny nie umiałem rozłożyć i złożyć kałasznikowa, płk Świderski mówił do

Andrzej Mleczko – (ur. 5 stycznia 1949 r. w Tarnobrzegu) artysta, satyryk, którego rysunki od lat drukujemy na łamach PRZEGLĄDU, obchodzi w tym roku 50-lecie pracy twórczej.

eprasa.pl e884b37b5b

mnie: „Wy, szeregowiec, jesteście wyjątkowo odporny na wiedzę wojskową". I miał rację. Wszyscy koledzy zostali po studiach przynajmniej podporucznikami, natomiast ja uchowałem się w stopniu szeregowca. Może dlatego do dzisiaj jestem pacyfistą i nie zachwycają mnie te militarystyczne pomruki w naszej części świata.

Za komuny wszyscy byli obywatelami, bez względu na wiek, wykształcenie, stanowisko, teoretycznie równymi wobec prawa. Teraz mamy same panie i panów. To piękne słowo obywatel gdzieś nam zaginęło.

– Doceniam urodę tego słowa, choć kiedy przypomnę sobie rewolucję francuską, gdy ono zaistniało, i pomyślę, ile przy okazji spadło głów, to ten zwrot traci trochę na atrakcyjności. Uważam, że szacunek do słowa obywatel zależy od tego, w jakim kontekście go używamy. Mam nadzieję, że w moim wypadku słowo obywatel brzmi dobrze.

Bardzo dobrze, ale dla mnie wiadomość o nadaniu ci tak poważnego tytułu była szokiem. Całe życie poświęciłeś pokazywaniu, że Polska to kraj paradoksów, ujawniałeś ciemnotę i różne głupoty naszego społeczeństwa, kazałeś śmiać się z przywar narodowych, obyczajów, rysowałeś polityków, księży i zakonnice. Już nie wspomnę, że wiele rysunków miało podteksty erotyczne. Kazałeś Polakom przeglądać się w lustrze naszej rzeczywistości, pokazywałeś ducha narodu, który nie zawsze był duchem świętym. Czy jakiekolwiek miasto na świecie tak doceniło rysownika satyryka? Na sesji w magistracie słyszałem, że nawet Mrożek nie wymyśliłby, że kpiarz i żartowniś Mleczko może zostać uhonorowany tak poważnym tytułem.

Nawet Mrożek nie wymyśliłby, że kpiarz i żartowniś Mleczko może zostać uhonorowany tak poważnym tytułem.

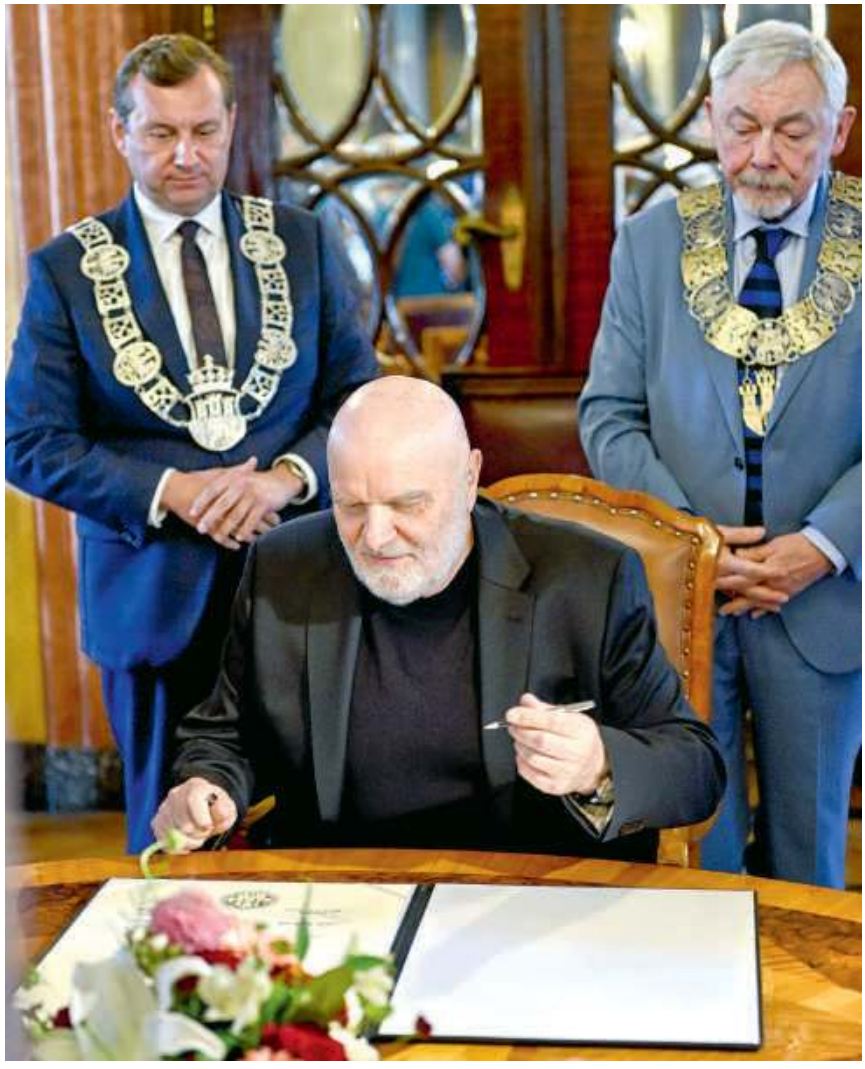

Znakomitemu artyście serdecznie gratulujemy pięknego jubileuszu 50-lecia pracy twórczej i otrzymania tytułu Honorowego Obywatela Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa.

– Też byłem trochę zaskoczony decyzją radnych. Z drugiej strony w dziedzinie satyry Kraków ma wielkie tradycje, tu przecież przed laty działały świetne kabarety, a genialny Wyspiański słowem i kreską ironizował, aż miło.

Na sesji Rady Miasta Krakowa nie zostałeś wybrany jednogłośnie. Pięciu radnych głosowało przeciwko nadaniu ci tego tytułu, a jeden wstrzymał się od głosu. Znasz ich nazwiska?

– Nie znam, ale najważniejsze jest, że demokratyczna większość była za.

A może jednak przedstawisz w „krzywym zwierciadle satyry" tych, którzy byli przeciw, łącznie z radnym, który wstrzymał się od głosu? Słyszałem, że zastanawiali się, czy można człowiekowi uprawiającemu tak niepoważną profesję dać tak poważny tytuł.

– Czasem jestem małostkowy, ale nie do tego stopnia. Podczas wręczenia mi tego tytułu podziękowałem wszystkim radnym. Nie wszystkim to, co robię, musi się podobać.

Jak myślisz, czy w Warszawie taki rysownik jak ty, pokazujący Polaków w krzywym zwierciadle, mógłby liczyć na taki tytuł?

– Nie wiem, ale myślę, że ten tytuł w Krakowie ma zupełnie inny i chyba większy ciężar gatunkowy.

FOT. ADAM GOŁDA (2)

eprasa.pl e884b37b5b

Przyznaje się go rzadko i zazwyczaj jednej osobie. Rok temu honorowe obywatelstwo otrzymała noblistka Olga Tokarczuk. Celebra też jest wyjątkowa, zaczyna się hejnałem, potem są wspaniałe profesorskie laudacje, elita miasta na sali, fanfary, a na koniec elegancki bankiet. Byłem kiedyś w roli gościa na podobnej uroczystości w Warszawie, gdzie honorowymi obywatelami zostało równocześnie kilkanaście osób. Niewątpliwie byli to zasłużeni ludzie, ale większość nazwisk nic mi nie mówiła. Co tu kryć, w jubileuszach, rocznicach i pompatycznych uroczystościach Kraków zawsze przodował.

Tworzysz obraz Polski niezbyt pasujący do intencji rządzących. Jesteś niebezpieczny dla władzy?

– Ani nie jestem, ani nie byłem. A im jestem starszy, tym mniej mam złudzeń, że moja twórczość wpływa na cokolwiek, szczególnie, że komuś zagraża. Nie mam wyjścia, jedyne, co potrafię, to tworzyć mniej lub bardziej zabawne rysunki.

Na krakowskiej uroczystej sesji mówiono, że w czasach PRL byłeś „wentylem", mogłeś pozwolić sobie na więcej niż inni, a Instytut Pamięci Narodowej powinien docenić twoje kontestowanie poprzedniego systemu.

– „Wentylem" nie byłem ja, ale w miarę liberalne tytuły, z którymi starałem się współpracować. Zawsze uważałem, że o człowieku świadczy towarzystwo, w którym się obraca.

A teraz „wentyle" są jeszcze potrzebne?

– Przeciwnie. Dzisiaj każdy idiota może publikować, co chce, zwłaszcza w internecie. Czasami chciałoby się, żeby ktoś to szambo ocenzurował.

Jednak ołówek w rękach rysownika potrafi strzelać jak karabin.

– Nie czuję się dobrze ani w roli „wentyla", ani w roli „snajpera". Dobrze się czuję w roli producenta żartów na temat otaczającej rzeczywistości i wystarczy mi, że czasem kogoś rozbawią lub zastanowią.

Rafał Komarewicz, przewodniczący Rady Miasta Krakowa, powiedział na wspomnianej sesji o czasach PRL: „Pańskie prace pozwalały odreagować trudy życia codziennego, poprawiały humor i pomagały w oczekiwaniu na nadejście lepszych czasów". A dzisiaj?

– Bardzo lubię słuchać takich słów, bo one zaspokajają moją próżność, ale nie przesadzajmy z tą siłą satyry. Urzędnik może zdziałać na pewno więcej niż najlepszy artysta. To, co robię, może rozśmieszyć albo poprawić samopoczucie, ale o sprawach istotnych decydują politycy i biurokraci.

Rysownik satyryczny to na świecie często zawód wysokiego ryzyka. Za ich głowę wyznaczane są nagrody, bywają zabijani. Masz bardzo niebezpieczne zajęcie. Pamiętasz napad radykalnych islamistów w styczniu 2015 r. na redakcję francuskiego magazynu „Charlie Hebdo", gdy zastrzelonych zostało 12 osób, w tym pięciu znanych rysowników?

– Kilku znałem osobiście.

W Szwecji rysownik i karykaturzysta Lars Vilks, który narysował karykaturę proroka Mahometa, przez ponad 10 lat miał przyznaną ochronę i chodził zawsze w towarzystwie dwóch policjantów. Czy prosiłeś kiedyś o milicyjną lub policyjną ochronę?

– Poza kilkoma niegroźnymi wariatami nikt mi nie groził, więc nie było takiej potrzeby. W Polsce takie rysunki, jakie są czasem zamieszczane w „Charlie Hebdo", i tak nie miałyby szans na druk. Ja raczej spotykam się z objawami sympatii.

Mleczko nie ma wrogów? Nie wierzę, choć faktycznie nie widziałem, aby tłum dewotek protestował przed twoją krakowską galerią przy ul. św. Jana 14. A może już przestałeś epatować erotyką?

– Rzeczywiście, przed laty moje erotyczne rysunki powodowały wypieki u młodzieży i ekscytację w eleganckim towarzystwie. Teraz, przy wszechobecnym internecie, to, co kiedyś szokowało, staje się zabawą dla grzecznych dzieci.

A partie polityczne, a duchowieństwo? Też nie stoją przed twoją galerią z transparentami.

– Wręcz przeciwnie. Szczególnie przed wyborami wielu polityków chce wykorzystywać moje rysunki w swoich kampaniach. Z góry uprzedzam, że się nie zgadzam. A jeśli chodzi o duchowieństwo, powiem tylko, że często zakonnice kupują plakaty w mojej galerii i proszą o dedykację dla znajomego księdza.

Czy czujesz się wolnym artystą?

– Pół życia przeżyłem w PRL i pół w czasach, nazwijmy je, demokratycznych. W mojej pracowni zawsze byłem człowiekiem wolnym i rysowałem, co chciałem. Nie wszystko ukazywało się publicznie, ale nigdy nie robiłem z tego tragedii.

Powiedziałeś, że twoja twórczość nie wpływa na rzeczywistość, ale w uzasadnieniu przyznania ci honorowego obywatelstwa napisano, że poczuciem humoru pomogłeś Polakom przetrwać nie tylko czasy PRL, ale też lata transformacji, pandemię COVID-19, masz osiągnięcia w walce ze smogiem w Krakowie, pomogłeś w rozwoju turystyki. Słyszałem też, że przyczyniłeś się do ochrony populacji jeży w Polsce i na swojej działce zbudowałeś im specjalne domki. Obywatelu Mleczko, wy jesteście lekarstwem na wszystko! Zabrakło mi tylko stwierdzenia, że twój humor pomaga ludziom przetrwać obecną drożyznę w sklepach i wysokie ceny prądu, gazu i benzyny.

– Może zapomnieli o tym wspomnieć w laudacji.

I co będziesz teraz robił jako honorowy obywatel?

– To samo, co dotychczas.

Leszek Konarski

Dobrze się czuję w roli producenta żartów na temat otaczającej rzeczywistości i wystarczy mi, że czasem kogoś rozbawią lub zastanowią.

Często zakonnice kupują plakaty w mojej galerii i proszą o dedykację dla znajomego księdza.

eprasa.pl e884b37b5b

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Między Kają a Mają

Ludu, mój ludu, czemu zamiast zdać sobie sprawę, że innego lata już nie będzie, że to ostatni czas, kiedy jeszcze możesz przeżyć wakacje z dzieciakami albo rozłożyć się na wznak pod chmurą i napawać runem wonnym i niebem wolnym, dajesz się z prawa i z lewa targać gównoburzami? Zdumiewającą moc ich wywoływania mają dwie istoty bliźniaczo durne a zajadłe, jedna gotowa przegryźć każdemu gardło w obronie nienarodzonych, druga chętna odpalić pas szachida w obronie niewykształconych. Jeśli jesteśmy w stanie wyobrazić sobie bzdurę, której nawet najbardziej fanatyczny katotalib tudzież biało-czerwony Khmer nie wypowie z obawy o to, że ludożerka nie jest aż tak głupia, by się nią przejąć – Kaja i Maja wypowiedzą, a jakże, z nabożną czcią wydeklamują każdy kocopał.

Rodacy z masochistyczną przyjemnością rzucą się na ten ochłap ku wściekłej użerce, a ich obszczekiwania i ujadania słychać będzie z kosmosu. Jakby horyzonty umysłowe narodu były tak przerażająco ciasne, że między panną Staśko i panią Godek nie istniała już przestrzeń dla rozumnych sporów. Fakt, że obie te fundamentalistki, zamiast urządzać swoje happeningi mentalne dla garstki wyznawców w salkach parafialnych lub barach mlecznych, prowokują cały naród do waśni i zdolne są wyprowadzić z równowagi tabuny tęgich umysłów, dowodzi, że jesteśmy narodem idiotów. A zatem Olga Tokarczuk winna przyznać, że po prostu nie pisze dla Polaków. Na tak podstępną inwektywę nikt by osobiście się nie obruszył – jak się oburzać, to nie indywidualnie – toż byłoby zarzewie do masowego pożaru książek, niedopalone dotąd egzemplarze powieści noblistki poszłyby z dymem, osmaleni żarem obywatele wyrażaliby ogniem dumę ze swojej polskości. A teraz zaszachowani i zbici z pantałyku nie bardzo wiedzą, co począć, więc na wszelki wypadek się kłócą. Jedni wyznają: „Jestem dumny z bycia idiotą, więc nie czytam książek", drudzy postponują klasistowski paradygmat, jeszcze inni używają trollerskiego evergreena: „A kto to jest ta Tokarczuk?", rzeczone strzechy zaś, pod które nie chce trafić noblistka, generalnie mają to wszystko w dupie, o niczym nie słyszały, ale jak będzie trzeba spuścić łomot, to każdemu i chętnie, zwłaszcza przy sobocie po robocie.

Jeżeli o mnie chodzi, już 30 lat temu czułem się cokolwiek zaniepokojony, kiedy w dyskursie akademickim przestano używać określenia muzyka „poważna" jako niedopuszczalnie wartościującego i zastąpiono je epitetem „klasyczna". Rodziło to takie potworki językowe jak „współczesna muzyka klasyczna" na określenie awangardy symfonicznej. Hasło „kultura wysoka" zostało wygnane ze słownika naukowego, jeszcze zanim podjąłem studia kulturoznawcze. Już wtedy czułem, co się święci, choć miałem nadzieję, że nie dożyję czasów, w których hunwejbini lewicy uznają za klasizm ogłoszenie, że literatura nie jest dla analfabetów. Dawno temu usłyszałem od naprawiacza pralek, który kręcił głową na mój księgozbiór zajmujący mnóstwo przestrzeni mieszkalnej, że „książki są dla darmozjadów, jak ktoś pracuje, to nie ma czasu ani siły na czytanie". Nie dałem mu w mordę i od tej pory nie opuszcza mnie myśl, ile dzieli zgodę na takie wyznanie od pól śmierci, na których wyrzyna się nie tylko intelektualistów, ale na wszelki wypadek wszystkich okularników.

Demokracja nie obowiązuje w kulturze, a wszelka poprawność, także polityczna, kulturę poddaje sterylizacji.

W kręgach stołecznych polpotystów już za obelżywe uznaje się określenia „elity intelektualne" i „inteligencki", picie wina z apelacją lub piwa kraftowego jest wyszydzane jako burżuazyjny grymas i Maja zaraz poprowadzi lud z widłami na filharmonie. Demokracja nie obowiązuje w kulturze, a wszelka poprawność, także polityczna, kulturę poddaje sterylizacji – kto tego nie rozumie, jest idiotą. W ramach post scriptum dodam tylko, że choć wszystkie prozy Olgi Tokarczuk czytałem, za jej najlepszą książkę wciąż uważam napisany jeszcze w ubiegłym stuleciu „Dom dzienny, dom nocny", na smaczki „Empuzjonu" zaś jestem impregnowany, nawet jeśli brzmi to idiotycznie.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e884b37b5b

Ekshibicjonizm literacki i pożytki z niego

Literatura z cyklu „ja i moje życie” to gorący trend w polskim kociołku literackim

Rafał Pikuła

Kupiłem colę i popcorn, postawiłem je na stosie nieprzeczytanych książek, odpaliłem Fejsa i śledzę relację live z grillowania literackiego. Po co czytać, skoro można komentować?

Debiut Aleksandry Pakieły „Oto ciało moje” wywołał dosyć dużą „inbę” w kociołku literackim. A że dyskusja toczyła się głównie w sieci, na Facebooku i Instagramie przerzucano się komentarzami, recenzjami, na prawo i lewo rozdawano bany. Leciały epitety najgrubszego kalibru, takie jak grafomania czy wyrób książkopodobny, ale też opinie, że książka powinna być obowiązkową lekturą szkolną. Choć w większości mieliśmy do czynienia z gównoburzą i próbą obrony z góry przyjętych opinii, owo „wydarzenie literackie” miało ewidentne plusy. Burza ma to do siebie, że doskonale oczyszcza powietrze. Tak było i teraz. Przy okazji debaty pojawiło się kilka ożywczych refleksji, które także analogowi czytelnicy PRZEGLĄDU powinni poznać.

Nie będę jednak tylko kronikarzem literackich wojen, bitew i potyczek. Chciałbym na przykładzie debaty i samych tematów sporu, a są nimi nowe, głośne debiuty, pokazać trend, który rysował się od dawna, ale teraz nabrał koloru. Czasem jest to kolor buraczany, niekiedy tęczowy z brokatem, a czasem zwyczajna szarość.

Kto wsadza debiutantów na miny?

Trochę o tym trendzie napisał Marcin Bełza w dosyć ostrej i momentami bezlitosnej recenzji „Oto ciało moje”. Co do samej książki nie jestem aż tak krytyczny. Nie uważam jej za złą, raczej za niedopracowaną. Temat, z którym mierzy się autorka, jest ważny i świeży, ale również trudny do literackiego ogarnięcia. Pakieła wybrała formę hybrydy gatunkowej, łącząc elementy powieściowe z kronikarskimi, reportaż z dziennikiem intymnym. Takie połączenie to ogromne wyzwanie i wielu autorów sobie z nim nie radzi. Chociaż tworzywo, z którego tkała swoją książkę Pakieła, było solidne, a i sama autorka umie celnie opisywać świat wewnętrzny i zewnętrzny, to nazbyt swobodna forma sprawiła, że momentami jest pokracznie.

> W sieci leciały epitety najgrubszego kalibru, takie jak grafomania czy wyrób książkopodobny, ale i opinie, że powinna to być obowiązkowa lektura szkolna.

Dlaczego wydawca nie zasugerował bardziej konserwatywnej formy? Dlaczego nie ujęto tego w ramy reportażu (a ten gatunek autorka zna) albo „tradycyjnej powieści” z rozbudowaną fabułą i postaciami? To ostatnie rozwiązanie pozwoliłoby nie tylko okiełznać język, ale także zbudować bufor emocjonalny dla autorki. Mam wrażenie, że Pakieła została wsadzona na minę – gdyby lepiej popracować nad tym tekstem, mielibyśmy naprawdę mocną książkę, a tak mamy coś na kształt brudnopisu i falę komentarzy, często niepotrzebnych.

Kobiety nie boją się mówić o sobie

Literatura z „bebechami na wierzchu” to gorący trend ostatnich lat, zwłaszcza wśród debiutantek (grono kobiet wybierających taką formę jest dużo większe niż panów). Książki takie trudno się ocenia – z jednej strony ma się świadomość, że recenzuje się życie wewnętrzne autorów, z drugiej przecież własne doświadczenia to tworzywo jak każde inne. Wydaje się jednak, że nie tworzywo tutaj jest wyzwaniem („zaburzenia odżywiania”, „ojciec alkoholik”, „śmierć matki”), ale narzędzie twórcy.

„Nic złego w tych tematach, przecież źródłem dobrej literatury może być wszystko – lęk przed zaśnięciem, kropla na tylnej szybie brudnego saaba, śmierć ledwo poznanej kochanki, a nawet miłość do centrów handlowych”, zauważył cytowany wyżej Bełza.

Temat „ja i moje życie” nie jest żadną nowością, jest stary jak świat. Za nową można uznać formę komunikacji, która z mediów społecznościowych przeszła do takich opowieści. Nowością jest też to, jak chętnie wydawcy sięgają po ten sposób opowiadania świata.

Strzały i niewypały

Jedną z pierwszych opowieści tego rodzaju było „Życie Adelki” Adelajdy Truścińskiej. Już w nocie wydawniczej mogliśmy przeczytać, że mamy do czynienia z kultową twórczynią polskiego Facebooka. Jak zapewniał wydawca, Krytyka

eprasa.pl e884b37b5b

Polityczna, „jej zabawne, pełne uroku i absurdu opowieści dają niezwykły wgląd w losy pokolenia milenialsów, które łudziło się, że może być tylko lepiej, ale nie miało racji". Dla Wojtka Szota, wówczas recenzenckiego partnera w Kurzojadach, była to bomba, dla mnie niewypał. Dobrze, że książka wyszła jeszcze w czasie, gdy ceny papieru nie były tak astronomiczne.

Ostro w autoprezentację poleciała w swojej drugiej książce Dorota Kotas. Na fali sukcesu oryginalnych i zaskakujących „Pustostanów" opisała własne garwolińskie życie. Bohaterka „Cukrów" to cała Kotas. Jest autorką po sukcesie, mieszka w Warszawie, jest osobą wysoce wrażliwą i bolą ją złe recenzje w internecie. Są w „Cukrach" wszystkie możliwe modne wątki. Mamy więc niedostosowanie do świata, trudy bycia kobietą, osobą nieheteronormatywną, depresję i cały Weltschmerz tej ziemi. Kotas pisze sprawnie, choć już nie tak zaskakująco jak za pierwszym razem, jednak ma się wrażenie, że przed wzięciem pióra do ręki podliczyła sobie w Excelu, jakie bóle najlepiej się sprzedają. Ten nadmiar jest nieznośny.

W ostatnim czasie do grona twórczyń literatury z „bebechami na wierzchu" dołączyła Ola Zbroja z konfesyjną opowieścią o ojcu alkoholiku. „Mireczek", intymne świadectwo Zbroi, to książka mocna, ale znów – jak w przypadku Pakiełły, a wcześniej Małgorzaty Halber („Najgorszy człowiek na świecie") – kuleje językowo i narracyjnie, momentami jest chaotyczna.

Niestety, to samo można powiedzieć o „Wilczej rzece" Wioletty Grzegorzewskiej. Ten osobisty zapis tułaczki, portret umęczonej matki i kochanki epoki pandemii, choć literacko piękny, cierpi na narracyjny chaos. Sama autorka przyznawała, że to wydawca zachęcił ją, żeby prowadzone na bieżąco zapiski na Facebooku ubrała w literacką formę. Obok zachęcania było też popędzanie.

„Bezmatek" przyniósł Mirze Marcinów Paszport „Polityki", a także uznanie krytyków i czytelników.

Można odnieść wrażenie, że wspomniane autorki popełniły jeden błąd: pisały dla siebie (albo dla wydawcy), niekoniecznie dla czytelnika.

Pewnym wyjątkiem, o którym trzeba wspomnieć, był „Bezmatek" Miry Marcinów. Zbudowana na zasadzie krótkich rozdziałów, wyimków z życia czy wręcz pojedynczych zdań i myślimy o śmierci bliskich. W toku narracji Marcinów pojawiają się fragmenty utworów muzycznych, surrealistyczne dialogi matek, a cytaty z prac popularnonaukowych mieszają się z powiedzonkami zasłyszanymi od poprzednich pokoleń. Z pozoru chaotyczne zapiski mają jednak refren: to kolejne wcielenia matki, matki pijącej, matki malującej się, matki śpiewającej. Łatwo tutaj popaść w ckliwość i banał, ale Marcinów skutecznie ucieka w czarny humor i bawi się językiem. Umie utrzymać napięcie i balansuje pomiędzy nastrojami. Sama autorka przyznała, że inspirowała się Marcinem Wichą („Rzeczy, których nie wyrzuciłem"), Markiem Bieńczykiem („Kontener) i Rolandem Barthesem („Dziennik żałobny). Chociaż „Bezmatek" uznawany jest za literacki debiut Marcinów, to już w jej popularnonaukowej „Historii polskiego szaleństwa" mogliśmy się przekonać, że sprawnie włada piórem.

Dzięki internetowi i krytyce na Instagramie literatura stała się wolna. Już nie wielcy krytycy namaszczają dzieła, ale tłum.

Przy okazji dyskusji wokół książki Pakiełły i, szerzej, o nurcie autoprezentacji wyłonił się jeden ważny wątek. Chodzi o demokratyzację literatury. Dzięki internetowi i krytyce na Instagramie literatura stała się wolna. Już nie wielcy krytycy próba oswojenia się ze stratą przyniosła Marcinów Paszport „Polityki", a także uznanie krytyków oraz czytelników. Dlaczego jej się udało?

Forma, którą wybrała autorka, była ryzykowna, ale odpowiadała tematowi, temu, jak opowiadamy

FOT. ANNA REZULAK/KFP/REPORTER

eprasa.pl e884b37b5b

namaszczają dzieła, ale tłum. Pokazuje to przykład książki „Oto ciało moje". Chociaż większość krytyków nie zostawia suchej nitki na debiucie Pakiety, wśród bookstagramowej społeczności książka zbiera pochwalne recenzje.

Odejście w stronę literatury konfesyjnej, pęd do autoprezentacji, diarystyki to przejaw demokratyzacji literatury. Kres reżimu literackiego sprawił, że literatura zaangażowana w siebie, często rodem z mediów społecznościowych, wypłynęła na szerokie wody. Ten nowy nurt nieprzypadkowo nęci autorów i wydawców. Jest to dosyć prosty i szybki pomysł na książkę. Pasujący do treści, które znamy z mediów społecznościowych, w których jesteśmy zanurzeni. Po taką książkę sięgną bowiem nie tylko miłośnicy literatury sensu stricto, ale też wszyscy zaintrygowani mocnym tematem, „brutalnie szczerymi opisami" i „szczerą do bólu prawdą". Być może i tacy, którzy odważne tematy znali z paradokumentów w stylu „Dlaczego ja?".

O furach i cyckach rozmawiać nie będziemy

Tradycyjna powieść oczywiście nie umiera, ale widać, że coraz częściej robi miejsce powieściopodobnym tworom, które są niczym innym jak znakiem czasu. Ani to źle, ani dobrze. Głupotą byłoby oczekiwać, że w drugiej dekadzie XXI w. będziemy pisać z klapkami na oczach. Świat się zmienił, zmieniła się także konsumpcja kultury.

Wracając jednak do bardziej tradycyjnych form, z etycznego obowiązku warto dodać, że w ostatnim czasie, również wśród debiutantów, pojawiło się kilka zacnych pozycji. To chociażby „Kości, które nosisz w kieszeni" Łukasza Barysa czy dwa debiuty z ostatnich tygodni, czyli „Zaklinanie węży w gorące wieczory" Małgorzaty Żarów oraz „Przechodząc przez próg, zagwiżdżę" Wiktorii Bieżuńskiej. Łączą te powieści oryginalny język, przemyślana konstrukcja i bogata wyobraźnia autorów. Powieściowe trio pokazuje, że tworzenie światów (zamiast bebechów na wierzchu) wciąż może być metodą na literaturę najwyższej próby. W polskiej prozie współczesnej mamy naprawdę dobry czas, a to, że debatujemy nad formą i językiem, dowodzi, że wciąż nie do końca ulegliśmy tabloidyzacji. Wciąż w głównym nurcie potrafimy się pokłócić o warsztat i wciąż czytelników bardziej interesuje styl niż biust obiecującej pisarki lub auto uznanego powieściopisarza.

Rafał Pikuła

Kres reżimu literackiego sprawił, że literatura zaangażowana w siebie, często rodem z mediów społecznościowych, wypłynęła na szerokie wody.

eprasa.pl e884b37b5b

FESTIWAL

28. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Denys Baptiste Quartet – The Late Trane

Denys Baptiste, saksofonista o bardzo charakterystycznym brzmieniu, grał i nagrywał z najgłośniejszymi nazwiskami w jazzie, szybko samemu zyskując status ikony brytyjskiej sceny jazzowej. Jest nagradzanym artystą, kompozytorem i aranżerem, muzykiem wszechstronnym, bo choć jego korzenie sięgają tradycji jazzowej, w oryginalny sposób łączy różne gatunki, tworząc muzykę, która jest współczesna i wielowarstwowa. Materiał z jego ostatniego albumu, przyjętego z wielkim uznaniem „The Late Trane", usłyszymy na festiwalu. To późne kompozycje Johna Coltrane'a w świeżej interpretacji, wprowadzającej muzykę tego giganta jazzu w wiek XXI. Więcej na: www.jazznastarówce.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 30 LIPCA, GODZ. 19 *(ap)*

NA EKRANACH

Słabsze ogniwo

reż. Joaquin del Paso, prod. Meksyk, już w kinach

Chłopcy z uprzywilejowanych meksykańskich rodzin trafiają na obóz organizowany przez kler. Jednak zamiast wakacyjnej beztroski czeka ich pranie mózgu. Księża i ich poplecznicy nie mają najmniejszego problemu z podżeganiem do nienawiści etnicznej, piętnowaniem słabości czy zamiataniem pod dywan sprawy opiekuna pedofila, którego bliscy zasilają ich konta bankowe ogromnymi sumami. Choć to fikcyjna opowieść, reżyser podparł ją doświadczeniami z własnego życia, kiedy chodził do ultrakatolickiej szkoły, w której nie tolerowano rozwodów rodziców uczniów. Gdy ojciec i matka rozstali się, del Paso doświadczył upokarzania i szykan ze strony swoich belfrów. A jako że meksykański twórca zdecydował się na studia w łódzkiej Filmówce, zorientował się, że Polskę i Meksyk łączy mieszanie się kleru w sprawy prywatne i państwowe. Obsadził więc w jednej z ról Jacka Poniedziałka, który gra po hiszpańsku, choć nie włada tym językiem. Sztuczności jednak w „Słabszym ogniwie" nie czuć. Przeciwnie – to mocne, przekonujące kino, pokazujące, jak Kościół infekuje umysły najmłodszych.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Paweł Mościcki
Azyl

Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2022

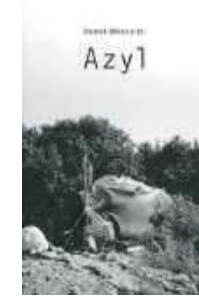

Eksperymentalna książka eseisty i badacza literatury zaskakuje formą. Choć to fikcja literacka, dużo czerpie z reportażu i analizy socjologicznej. Mościcki, pisząc prozę, nie zrzuca do końca skóry badacza. Patchworkowa opowieść o „dżungli", słynnym obozowisku migrantów w Calais, i – szerzej – o dramacie uchodźców to próba opisania rozpadającego się świata, właściwie światów, bo każdy los jest tutaj mikrokosmosem. Mościcki opowiada z różnych perspektyw, patrzy więcej niż jedną parą oczu, stara się być i wewnątrz, i na zewnątrz koszmaru. To bogactwo narracji sprawia, że lektura „Azylu" nie jest łatwa. Być może do uchodźczej wieży Babel taka forma pasuje najlepiej, lecz autor stawia przed czytelnikami wyzwanie. Ci muszą sobie odpowiedzieć, czy taki miks, szczególnie w świecie świetnych reportaży o kryzysie uchodźczym, im odpowiada.

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Julia Kociuban
Polish Polonaises

DUX

Płyta z polskimi polonezami zawiera utwory o typowo tanecznym charakterze, niosące jednak również przekaz patriotyczno-nostalgiczno-triumfalny. Pianistka dysponująca znakomitym warsztatem wirtuozowskim zaczyna od trzech polonezów Chopina, po czym przechodzi do utworów powstałych wcześniej – posłuchamy tutaj najsłynniejszego „Pożegnania Ojczyzny" Ogińskiego – ale i tych późniejszych, stworzonych już po śmierci Chopina. To wspaniały wybór i w każdej kompozycji da się wyczuć polonezowy krok.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. AURORA FILMS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e884b37b5b

Piotr Kimla

Zwrot na Wschód

Proces uzachodnienia Polski w ostatnich latach wyraźnie wyhamował

Przyjęcie do Unii Europejskiej otworzyło możliwości dokonania przez Polskę skoku cywilizacyjno-kulturowego, który uczyniłby z niej kraj zachodni. Gra toczyła się o nasze mentalne przesunięcie w ten rejon Europy, w którym znajdujemy się geograficznie. A także o zrozumienie i przejęcie się problemami, które trapią mieszkańców Niemiec, Francji czy Holandii, naturalnie bez zapominania o naszych lokalnych kłopotach. I w końcu o stworzenie w Polsce trwałej nomokracji, wytworzenie kultury prawnej odpornej na ekscesy woluntaryzmu i warcholstwa polityków. Bruksela jawiła się w tym kontekście jako żelazny punkt odniesienia, bez którego proces budowy stabilnych rządów prawa jest niemożliwy. Była to największa korzyść z bycia częścią Unii Europejskiej. Większa od rekordowych pieniędzy, które do Polski napłynęły. Rzecz jasna, mentalnemu i prawnemu przesunięciu powinien towarzyszyć postęp w sferze kultury materialnej. Trudno zaprzeczyć, że w tym aspekcie Polacy poczynili kroki w kierunku uzachodnienia, choć oczywiście daleko nam do całkowitego wyrugowania zjawiska biedy.

Całościowy proces uzachodnienia Polski w ostatnich latach wyraźnie wyhamował. Przyczyn tego wyhamowania było wiele. Wskażę jedną, o której wspomina się bardzo rzadko lub wcale. Uzachodnienie Polski oznaczało zaakceptowanie przez Polki i Polaków pozycji studiującego, przyswajającego sobie rozwiązania, uczącego się. Nie jest to pozycja nadrzędna ani równorzędna tak długo, jak nauka trwa. Dopóki studiujący nie udowodni, że jest na tym samym poziomie co nauczający. Proces, o którym mowa, wymaga cierpliwości, jak również odwagi w spojrzeniu na siebie i na realia życiowe. Nieodwracania wzroku od rzeczywistości, nawet gdy jest naga. Krótko mówiąc, wymaga realizmu. Slogan o wstawaniu z kolan jest demonstracyjnym zerwaniem z chęcią przyswajania, uczenia się, ze świadomością, jak wiele ma się do nadrobienia, z próbami realistycznej oceny siebie na tle zachodnich sąsiadów. Czy pozycja nauczającego nie jest o wiele przyjemniejsza? Czy nie lepiej występować w roli wymagających nauczycieli życia politycznego, aniżeli w roli adeptów tej trudnej sztuki? W roli pouczających możemy występować tylko w odniesieniu do Wschodu. A przynajmniej tak nam się wydaje. Zwrot naszej polityki na Wschód wiąże się z przyjemnym mirażem bycia instruktorem, a nie uczniem.

Zapomina się przy tym, że doświadczenia polskiej polityki w odniesieniu do ziem dzisiejszej Ukrainy i Białorusi nie są budujące. Moce cywilizacyjne Korony Polskiej okazały się zbyt słabe, aby zbudować na tych rozległych terenach stabilny porządek prawno-państwowy. Udowodnił to w sposób niezrównany Michał Bobrzyński w „Dziejach Polski w zarysie". Jako pars pro toto politycznego fiaska cywilizowania wschodnich ziem Rzeczypospolitej służyć może niemoc szlacheckiego państwa wobec zachowań przedstawicieli wielkich familii magnackich. O Karolu Stanisławie Radziwille „Panie Kochanku" pisał Jędrzej Kitowicz, że „nic to było u niego strzelić w łeb człowiekowi jak psu". Przedstawiciel innej wielkiej familii, Mikołaj Bazyli Potocki (1706-1782), znęcał się nad kobietami i Żydami. Kazał im wchodzić na drzewa i udawać kukułki, a następnie zestrzeliwał. Franciszek Karpiński przypisuje mu zabicie „na publicznych gościńcach" ponad 40 ludzi. Oczywiście wspomniani królewięta, oraz wielu innych, cieszyli się doskonałą bezkarnością.

Jeśli przeniesiemy się szybko w wiek XX, to podobnie trudno uznać za sukces pełną niekonsekwencji polską politykę w odniesieniu do Ukraińców w okresie II Rzeczypospolitej. Politykę skutkującą narastającym pośród nich skrajnym antypolonizmem. Dlatego właśnie bardzo wielu Ukraińców przyjęło

eprasa.pl e884b37b5b

klęskę Polski we wrześniu 1939 r. z ogromną, nieskrywaną satysfakcją. Jeden z członków OUN stwierdził: „I stała się rzecz dziwna, bo nie minęły dwa tygodnie, jak znikło państwo o nazwie Polska, które krzyczało na całe gardło – »nie damy«. Znikło z politycznej mapy pełne pychy, zarozumiałe, szlacheckie państwo" (Jewstachij Dobrowolśkij, „Krutymy steżkamy. Spohady ta rozdumy", s. 9). Tragiczną w skutkach erupcję tych nastrojów nacjonaliści ukraińscy wywołali na Wołyniu w 1943 r.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że teraźniejszy zwrot polityczny ku Wschodowi wydobył najlepszą cechę polskości – zdolność do spontanicznej, bezinteresownej pomocy. Nasze zaangażowanie na rzecz ukraińskich uchodźców przywodzi na myśl fragment „Czasów wojny" Ferdynanda Goetla – jednego z obiektywniejszych opisów okupacji Warszawy przez Niemców w czasie II wojny światowej: „Otóż pewnego zimowego i mroźnego dnia rozeszła się w Warszawie wieść, że na Dworcu Wschodnim na Pradze stoją dwa opieczętowane wagony z dziećmi z Zamojszczyzny, deportowanymi w nieznanym kierunku. Wzburzenie, jakie ogarnęło wówczas miasto, przeszło wszystko, co dotychczas potrząsało Warszawą. Ludzie biedni i bogaci, z Woli, Śródmieścia czy Starówki, przekupki, robotnicy, inteligenci porzucili domy i warsztaty pracy i popędzili za Wisłę z przekleństwami i łzami, chcąc dzieci oswobodzić i przygarnąć. Oszołomiona straż dworcowa ustąpiła przed wielotysięcznym tłumem. Wagonów, o ile wiem, na dworcu nie znaleziono. (…) Była to jedyna chwila w latach 1939-1943, gdy Niemców ogarnęła panika i coś jakby wstyd. Zniknęli z ulic miasta ludzie umundurowani, a także patrole policyjne. W wyjaśnieniach publicznych pojawił się ton łagodnej perswazji i apelów do rozumu, aby się nie dać powodować mylnym pogłoskom. (…) Odruch ludności warszawskiej, tak ludzki w swym gniewie i współczuciu, był z pewnością najpiękniejszym zdarzeniem samorzutnej walki o wolność, jaką prowadziła Warszawa" (s. 68-69). Pomoc udzielona przez Polaków Ukraińcom jest tym donioślejsza, że nie odnosiła się do polskich dzieci, lecz do ludzi innej, choć sąsiedniej nacji, z którą wiąże nas trudna historia. Osobną kwestią pozostaje, czy spontaniczny odruch serca i potencjalna wdzięczność za ten odruch mogą być fundamentami trwałej polityki. Można żywić obawy, że emocje, jak łaska pańska, na pstrym koniu jeżdżą. Wydarzenia przytoczone przez Goetla miały zaskakująco nieprzyjemny ciąg dalszy, opisany już nie przez autora „Czasów wojny", lecz przez Adama hrabiego Ronikiera, prezesa Rady Głównej Opiekuńczej, organizacji, która w trakcie II wojny światowej uratowała od śmierci głodowej setki tysięcy Polaków. Powiada Ronikier: „Pogłoska sprawdzona przez nas [o transportach dzieci – przyp. P.K.] okazała się tylko potworną złośliwie przez kogoś puszczoną plotką. Tłumy jednak ludzi zaczęły schodzić się do RGO z oświadczeniem życzenia wzięcia tych biednych dzieci [z Zamojszczyzny – przyp. P.K.] na wychowanie. (…) Wyszły przy tym na jaw dziwne jakby cechy dobroczynności warszawskiej, gdy bowiem na żądanie dania dzieci na wychowanie, po wyjaśnieniu, że dzieci z Zamojszczyzny nie ma, ale są jeszcze biedniejsze dzieci z Warszawy – Warszawiacy odwracali się jakby obrażeni, że im się daje nie ten towar, którego żądali" („Pamiętniki", s. 224-225). Nie twierdzę, że pozytywne nastawienie emocjonalne nic nie znaczy. Twierdzę, że może się okazać znaczące, ale tylko gdy będzie mu towarzyszyć mądra polityka. Polityka trzeźwo rozpoznająca z jednej strony symbiozę, z drugiej zaś nieprzystawalność interesów Polski i Ukrainy, chociażby w sferze rolnictwa. Polityka niełudząca się, że pozytywne emocje mogą trwać w nieskończoność.

Pozytywne nastawienie z pewnością zostanie poddane próbie za sprawą prozy życia (dostępu do określonych usług, świadczeń, szkolnictwa itd.) oraz dlatego, że „zadba" o to Rosja. W Polsce jako dogmat, sformułowany przez Jerzego Giedroycia, przyjmuje się, że niezawisła Ukraina jest gwarantem bezpieczeństwa naszego kraju. W związku z tym kierowanie do niej wszelkiej możliwej pomocy jest strategicznie nieodzowne. Trzeba jednak sobie uświadomić, że Rosja nie zrezygnuje z zagarniętych w tej odsłonie wojny terenów, Ukraińcy natomiast nie zgodzą się na oddanie nawet piędzi ziemi. Polska polityka wspierania Ukrainy grozi zatem uwikłaniem się w pomoc przy działaniach wojennych na wiele lat i de facto w wieloletni konflikt z Rosją. Paradoksalnie więc niepodległa Ukraina, która miała wzmacniać nasze bezpieczeństwo, sprowadza na nasze głowy ryzyko odwetu ze strony Rosji. Obywatele Polski oraz innych państw Zachodu mają utrudniony dostęp do oficjalnych rosyjskich kanałów informacyjnych (mając do nich swobodny dostęp, natychmiast pogubiliby się i przestali rozumieć, o co chodzi), ale gdyby mimo wszystko poświęcili im trochę uwagi, mogliby skonstatować, że bardzo często Polska, nie Zachód, występuje tam jako najzagorzalsza antagonistka Rosji. Nie wolno się łudzić, że Rosjanie zapomną Polakom czy Litwinom ich antyrosyjskie zaangażowanie. Jak stwierdził, obecny także na łamach PRZEGLĄDU, John Mearsheimer: „Jeśli weźmiesz kij i wsadzisz go Rosjanom w oko, nie puszczą tego płazem". Odwet Rosji nie musi nastąpić od razu, choć przypomnę, że byliśmy pierwszym krajem, któremu odcięto dostawy gazu. Ale z nieprzyjemnymi konsekwencjami prędzej czy później przyjdzie nam się mierzyć. Mogą być dotkliwe, a wtedy przynajmniej część Polaków może dojść do wniosku, że to wszystko wina zwrotu polskiej polityki na Wschód. Ta część obywateli może zacząć żałować, że porzuciliśmy mozolny proces upodabniania Polski do Zachodu.

Slogan o wstawaniu z kolan jest demonstracyjnym zerwaniem z chęcią uczenia się, ze świadomością, jak wiele jest do nadrobienia.

Prof. UJ dr hab. Piotr Kimla jest pracownikiem Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego

eprasa.pl e884b37b5b

Niechciana tradycja

Czy kompletnie już zapomniane określenie „ruch robotniczy" należy wyrzucić na śmietnik historii?

Paweł Siergiejczyk

To było 40 lat temu: władze partii i państwa oraz wszystkie podległe im agendy naukowe, kulturalne i propagandowe celebrowały 100-lecie polskiego ruchu robotniczego. Do tej rocznicy przygotowywano się od co najmniej kilku lat, wydając ogromną liczbę tytułów książkowych w gigantycznych – zwłaszcza jak na nasze czasy – nakładach, organizując liczne wystawy, publikując masę tekstów we wszelkich organach prasowych, drukując okolicznościowe znaczki pocztowe itp. Miała to być najważniejsza rocznica potwierdzająca genealogię Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, osadzonej głęboko w narodowej tradycji – głębiej niż zdobycie władzy w 1944 r. i nawet głębiej niż rewolucja bolszewicka 1917 r.

Sięgnięto bowiem do momentu utworzenia Międzynarodowej Socjalno-Rewolucyjnej Partii Proletariat, założonej latem 1882 r. w Warszawie, pod rosyjskim zaborem. Partii, która w tamtym miejscu i czasie siłą rzeczy była nielegalną grupką inteligenckich marzycieli, głównie szlacheckiego pochodzenia, gdyż o masowym ruchu robotniczym nie mogło jeszcze być mowy. W rocznicowej narracji szczególnie wyeksponowano postać organizatora i głównego ideologa Proletariatu, Ludwika Waryńskiego, który w 1882 r. miał zaledwie 26 lat, a w życiorysie – nieukończone studia w Petersburskim Instytucie Technologicznym oraz w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach, jak również dłuższe pobyty w austriackim Krakowie, szwajcarskiej Genewie i carskiej Warszawie, gdzie pracował jako ślusarz w jednej z fabryk. Ten barwny życiorys szlacheckiego syna pochodzącego z okolic ukraińskiego Kaniowa nad Dnieprem (ojciec pomagał powstańcom styczniowym, za co trzykrotnie trafiał do aresztu) był dość typowy dla pierwszych pokoleń polskich socjalistów. Podobnie jak jego martyrologia: aresztowanie po rocznej zaledwie działalności w Warszawie, uwięzienie w X Pawilonie Cytadeli, zbiorowy proces z wyrokami śmierci dla kilku kolegów (wśród czterech straconych na stokach Cytadeli był rosyjski prawnik Piotr Bardowski, którego warszawskie mieszkanie służyło jako lokal konspiracyjny partii), wreszcie zesłanie do Twierdzy Szlisselburskiej koło Petersburga, gdzie Waryński zmarł na gruźlicę w wieku 33 lat.

Siła życiorysów

Eksponowanie w polityce historycznej PRL takich życiorysów chcąc nie chcąc wpisywało się w konspiracyjno-romantyczną tradycję walki o niepodległość, choć dla przekazu propagandowego nieco kłopotliwy był fakt, że Waryńskiego ani innych założycieli Proletariatu kwestia odrodzenia Polski niezbyt interesowała. Połączenie walki o wyzwolenie narodowe i społeczne stanie się cechą dopiero dużej części następnych pokoleń socjalistów. Zresztą internacjonalizm Waryńskiego można było uznać za kontynuację sięgającego jeszcze powstania listopadowego hasła „Za naszą i waszą wolność", a współpraca proletariatczyków z rosyjskimi rewolucjonistami służyła w PRL jako archetyp przyjaźni polsko-radzieckiej.

Od połowy lat 70. XX w. wszyscy Polacy mieli w portfelach banknoty 100-złotowe z wizerunkiem Waryńskiego. Jednak obchody 100-lecia ruchu robotniczego przypadły na najgorszy moment, jaki można było sobie wyobrazić. W 1982 r. Polacy żyli stanem wojennym i pogarszającymi się warunkami materialnymi, dlatego jubileusz służący historycznej legitymizacji partii rządzącej wyglądał sztucznie. Tym bardziej że sama partia była mocno poturbowana: po gierkowskiej dekadzie niebywałego jej rozrostu, do 3 mln członków, lata 1980-1981 przyniosły największy kryzys w dziejach PZPR, gdy legitymacje rzuciła prawie jedna trzecia z tej liczby. Ostatecznym ciosem dla prestiżu partii było zaś wprowadzenie stanu wojennego pod szyldem Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, a później utworzenie Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego jako szerokiej formuły popierającej politykę gen. Wojciecha Jaruzelskiego (nieprzypadkowo na czele PRON stanął bezpartyjny katolicki pisarz Jan Dobraczyński). Bo choć formalnie generał był I sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR, jego faktyczna władza brała się z funkcji szefa rządu i najwyższego autorytetu w armii.

Obchody 100-lecia ruchu robotniczego nie mogły się udać również dlatego, że ekipa wprowadzająca stan wojenny wolała odwoływać się do retoryki ogólnonarodowej, patriotyczno-wojskowej, a nie partyjnej,

40 lat temu sięgnięto do tradycji Międzynarodowej Socjalno-Rewolucyjnej Partii Proletariat, założonej latem 1882 r. w Warszawie, pod rosyjskim zaborem.

eprasa.pl e884b37b5b

w dodatku tak niejednoznacznej, jeśli chodzi o stosunek do kwestii narodowej. Niezbyt wiarygodnie musiało też wyglądać celebrowanie konspiracyjnych i martyrologicznych początków polskiego socjalizmu przez władzę, która w tym samym czasie internowała tysiące działaczy Solidarności i zmagała się z podziemnymi strukturami opozycji, masowo wydającymi nielegalną prasę i książki. Sto lat po Waryńskim w jego rolę wpisywali się nowi bohaterowie robotniczego buntu, Zbigniew Bujak czy Władysław Frasyniuk, ale na pewno nie rządzący Polską Ludową generałowie.

Czy jednak słusznie pozbyliśmy się Waryńskiego z naszej narodowej pamięci, i to nawet szybciej niż z naszych portfeli? Czy kompletnie już zapomniane określenie „ruch robotniczy" należy wyrzucić na śmietnik historii? To przede wszystkim pytanie do lewicy, która o własną tradycję ideową i jej miejsce w tradycji narodowej prawie w ogóle nie dba.

Zmarnowana szansa

Zaniechanie to można było zrozumieć w pierwszych latach po upadku PRL i rozwiązaniu PZPR – „postkomuniści" byli wtedy zaszczuci przez coraz bardziej mściwą prawicę, która wraz z likwidowaniem „niesłusznych" pomników i patronów ulic chciała usunąć pamięć o wszelkich lewicowych korzeniach współczesności. Ale już w latach 1993-2005, gdy SLD był najważniejszą partią na scenie politycznej, a jego przywódca przez 10 lat stał na czele państwa, sytuacja była inna. Można było wykorzystać ten czas na przywracanie pamięci o polskich socjalistach (a także komunistach – wszak był to ruch o bardzo dramatycznej i bogatej historii), o osiągnięciach Polski Ludowej i w ogóle o tej części polskiej przeszłości, której nie da się wtłoczyć w schemat konserwatywnego dworku i bogoojczyźnianej plebanii.

Jednak lewica ten czas zmarnowała. Albo powiedzmy inaczej: lewica zajmowała się wówczas budowaniem przyszłości Polski – nadaniem III Rzeczypospolitej konstytucji, włączaniem naszego kraju w struktury europejskie i atlantyckie, tworzeniem państwa demokratycznego, praworządnego i wolnorynkowego – podczas gdy prawica konsekwentnie zdobywała monopol w dziedzinie polityki historycznej. Utworzenie IPN, kult „żołnierzy wyklętych", kolejne fale lustracji polskich elit i dekomunizacji przestrzeni publicznej – na to wszystko lewica patrzyła bezradnie, pozwalając na wychowywanie kolejnych pokoleń w duchu patriotyzmu wyłącznie prawicowego, czego skutkiem jest coraz powszechniejszy dziś nacjonalizm czy wręcz szowinizm (antyrosyjski, antyniemiecki, antyukraiński, wreszcie antybrukselski) oraz bezmyślna nienawiść do „lewactwa", przez które rozumiane jest wszystko, co nie stanowi skrajnej prawicy.

Żeby zilustrować skalę zaniedbań i zaniechań po stronie lewicowej, sięgnijmy do przykładu „Słownika biograficznego działaczy polskiego ruchu robotniczego". To wydawnictwo, zawierające życiorysy wszystkich istotnych socjalistów, komunistów, związkowców i innych postępowych społeczników działających na terenie Polski w XIX i XX w. (nie tylko polskich, bo jest tam również wielu Żydów, Ukraińców czy Białorusinów), miało początek w 1978 r., gdy ukazał się tom I, obejmujący nazwiska na litery od A do D. Tom II, od E do J, wydano w 1987 r., a tom III (nazwiska na literę K) w 1992 r. I na tym się skończyło, pomimo zgromadzenia licznych materiałów do kolejnych tomów, np. tom na literę L jest niemal gotowy do druku, tylko nie ma komu go wydać (mówiła o tym Lucyna Tychowa, wdowa po redaktorze słownika, prof. Feliksie Tychu, w wywiadzie rzece z prof. Andrzejem Romanowskim „Tak, jestem córką Jakuba Bermana", Kraków 2016, s. 218).

Polskie środowisko historyczne nie było zainteresowane kontynuowaniem tego dzieła, choć swego czasu zabiegał o to prof. Romanowski wraz z nieżyjącym już prof. Jerzym W. Borejszą. W rezultacie dziś pełne i niezakłamane życiorysy ludzi lewicy można znaleźć jedynie w „Polskim Słowniku Biograficznym", wydawanym w Krakowie od 1935 r. pod auspicjami Instytutu Historii PAN. Jednak ze względu na rozmiary „Polskiego Słownika Biograficznego", który obejmuje całe polskie dzieje we wszystkich dziedzinach życia, tylko niewielka część tradycji lewicowej ma szanse znaleźć tam odbicie. Setki biogramów pomniejszych (ale czy przez to skazanych na zapomnienie?) działaczy socjalistycznych i komunistycznych nigdy do krakowskiego słownika nie trafią – ich naturalnym miejscem powinien być „Słownik biograficzny działaczy polskiego ruchu robotniczego". Tymczasem w III RP – którą przez tyle lat rządziła lewica – ten słownik umarł, i to chyba bezpowrotnie, bo aktywni w czasach PRL historycy ruchu robotniczego w większości już nie żyją, a wśród młodych adeptów historii zainteresowania tą tematyką nie widać.

Lewicowe podejście

Jeżeli mamy do czynienia z jakimiś przejawami „lewicowego podejścia" do naszej przeszłości, to głównie widać je w książkach demaskujących pańszczyznę i przypominających bunty chłopskie (trudno nie zauważyć, że jest to moda, która przyszła do nas z Zachodu jako historia ludowa, nie zaś kontynuacja rodzimej

Szczególnie wyeksponowano postać organizatora i głównego ideologa Proletariatu, Ludwika Waryńskiego, mającego w 1882 r. zaledwie 26 lat.

W każdym dużym kraju europejskim istnieje rodzimy odpowiednik słownika działaczy ruchu robotniczego, np. wersja francuska ma ponad 40 tomów!

eprasa.pl e884b37b5b

historii społecznej, która narodziła się jeszcze przed wojną, a rozkwit przeżywała w czasach PRL). Ale te niewątpliwie wartościowe publikacje nie zastąpią historii lewicy jako kierunku politycznego, społecznego i kulturalnego, który odegrał tak ważną rolę w naszych dziejach. Bo masy ludowe, nad których losem pochylają się coraz liczniejsi autorzy, niczego by nie osiągnęły, gdyby nie środowiska, które można określić niemodnym już dziś przymiotnikiem „postępowe" (nawet sami ich spadkobiercy wolą używać określenia „progresywne", co stanowi bezmyślną kalkę z angielskiego). Badaniem losów tych środowisk prawie nikt już się nie zajmuje – przynajmniej nie w formie zorganizowanej.

A przecież w każdym dużym kraju europejskim istnieje rodzimy odpowiednik słownika działaczy ruchu robotniczego, np. wersja francuska obejmuje ponad 40 tomów! W Europie Zachodniej środowiska lewicowe dbają o swoją tradycję i trudno, żeby było inaczej, skoro rządząca dziś Niemcami SPD działa od półtora wieku, a jej odpowiedniczki w Austrii, Francji, Hiszpanii czy Wielkiej Brytanii są niewiele młodsze.

Na tym tle tradycje polskiej lewicy wcale nie są mniejsze, tyle że jej losy ułożyły się znacznie bardziej dramatycznie i wielowymiarowo. Ilustracją tego niech będzie życiorys syna założyciela Proletariatu, doktora fizyki i wykładowcy szwajcarskich uczelni, Tadeusza Waryńskiego, który nigdy nie poznał ojca, ale kontynuował jego misję jako działacz nielegalnej SDKPiL, a potem PPS, w II Rzeczypospolitej zaś jako wiceprezydent Łodzi, naczelnik wydziału w Departamencie Szkół Zawodowych Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a wreszcie poseł z ramienia BBWR, reprezentujący lewicowe skrzydło sanacji. W 1932 r. popełnił samobójstwo, wieszając się w hotelu sejmowym przy ul. Wiejskiej w Warszawie. Ileż takich arcyciekawych – a przy tym arcypolskich – życiorysów zawiera historia naszej lewicy!

Paweł Siergiejczyk

Barwny życiorys Waryńskiego – szlacheckiego syna był dość typowy dla pierwszych pokoleń polskich ocjalistów.

Godna praca dla pracowników rolnictwa poprzez dialog społeczny

Projekt ma na celu znalezienie sposobów, dzięki którym zainteresowane strony w sektorze rolnym mogą osiągnąć godne warunki pracy dla pracowników, jednocześnie budując wspólną wizję zrównoważonego rolnictwa poprzez dialog społeczny. W tym celu projekt zakładał powołanie komitetów ds. godnej pracy oraz nowych dwustronnych i trójstronnych form dialogu społecznego. Inny ważny cel to tworzenie narzędzi do monitorowania negatywnych zjawisk dotyczących pracowników migrujących w sektorze rolnym poprzez komitety godnej pracy.

Promotorem projektu „Godna praca dla pracowników rolnictwa poprzez dialog społeczny" / „Decent Work for Agriculture Workers through Social Dialogue" jest Związek Zawodowy Pracowników Rolnictwa, projekt realizowany jest w okresie od 1 maja 2020 r. do 31 sierpnia 2022 r. przy wsparciu finansowym z Funduszy Norweskich.

Pracownicy w sektorze rolnym są narażeni na wysokie ryzyko wyzysku i niewłaściwe warunki pracy z powodu braku godnych standardów dla pracowników sezonowych oraz pozostałych pracowników w niestabilnym sektorze zatrudnienia, jakim jest rolnictwo.

Wyzwania stanowią liczne problemy, takie jak:

- niewystarczająca wiedza pracowników w sektorze rolnym – pracowników sezonowych,
- zmiany demograficzne,
- obszary ubóstwa, które sprzyjają wykorzystywaniu pracowników i brakowi godnych warunków pracy.

Projekt proponuje szereg działań i wydarzeń zapewniających godną pracę oraz wzmocnienie ochrony socjalnej sektora rolnego. Rzuca on wyzwanie brakowi standardów godnych warunków pracy w sektorze rolnym: zasięg rolniczych związków zawodowych jest niewielki, wysokie natomiast są wskaźniki pracy dorywczej i pracy nierejestrowanej, pracowników zagranicznych oraz udziału w zatrudnieniu pośredniczących agencji rekrutacyjnych. Opracowanie wspólnych ram zgodności może wzmocnić ogólne standardy i samoregulację w sektorze.

Celem projektu jest także:

- znalezienie sposobów, dzięki którym zainteresowane strony w sektorze rolnym mogą osiągnąć godne warunki pracy dla pracowników, jednocześnie budując wspólną wizję zrównoważonego rolnictwa poprzez dialog społeczny,
- większy dostęp do informacji i powiększenie wiedzy pracowników w sektorze rolnym.

Więcej informacji o projekcie można znaleźć na jego stronie internetowej: zzpr-godnapraca.pl.

Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme „Social Dialogue – Decent Work".

Realizowane ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca".

eprasa.pl e884b37b5b

Jan Machynia

Zrozumieć wieś

Wieś opanował system dzikiej, niekontrolowanej dzierżawy. Nie wiadomo, ilu jest aktywnych rolników

Jeszcze do niedawna mogło się wydawać, że wieś rozumiemy. Dziś, w sytuacji szybkich zmian, które tam zachodzą, o to zrozumienie coraz trudniej. Próbuje ją zrozumieć prof. Jerzy Wilkin wraz z gronem współpracowników, publikując „Polską wieś 2022. Raport o stanie wsi".

Z lektury opracowania wynika, że coraz bardziej zacierają się różnice między miastem a wsią. Ale przed wsią stoją szczególne wyzwania, z którymi sama sobie nie poradzi. Jednym z nich jest kwestia agrarna. Oficjalne dane mówią, że na wsi mamy ok. 1,3 mln gospodarstw produkujących na rynek. Pewne jest tylko to, że tyle gospodarstw pobiera dopłaty bezpośrednie. Ale czy wszystkie one faktycznie produkują? Niestety, nie jest to już tak oczywiste. Wieś opanował bowiem system dzikiej, niekontrolowanej dzierżawy. Grunty są masowo wydzierżawiane, właściciel pobiera dopłaty bezpośrednie, a jego ziemię uprawia sąsiad lub kuzyn. Tak naprawdę nie wiadomo więc, ilu jest aktywnych rolników. Padają różne liczby: od 200 do 600 tys. To bariera hamująca rozwój rolnictwa, bo owocuje spadkiem inwestycji, a cichych dzierżawców stawia w niekorzystnej sytuacji jako potencjalnych klientów banków. Gdyby znalazła się siła polityczna, która ten problem zdecydowałaby się rozwiązać, byłoby to dzieło na miarę reformy rolnej. Jednak politykom bardziej się opłaca kokietować wieś, łudzić i od czasu do czasu rzucić jej nieogryzioną kość, niż rozwiązywać stojące przed nią problemy. Taki stan będzie trwał, dopóki Komisja Europejska nie zorientuje się, że dopłaty trafiają nie do tych, do których trafić powinny.

Dyskutowano m.in. o tym podczas seminarium zorganizowanego przez Instytut Polityczny im. Macieja Rataja, na czele którego stoi dr Czesław Siekierski, były przewodniczący Komisji Rolnictwa Parlamentu Europejskiego, dwukrotnie wybierany na tę funkcję przez aklamację, obecnie poseł PSL i członek władz naczelnych Stronnictwa. Słowo wstępne do dyskusji wygłosili współautorzy raportu – prof. Jerzy Bartkowski i dr Andrzej Hałasiewicz.

W kontekście perspektyw rozwojowych wsi i obszarów wiejskich problemem jest sama definicja wsi. Dzisiejsza wieś to już nie jest, jak zapisano w Ustawie z 29 sierpnia 2003 r. o urzędowych nazwach miejscowości i obiektów fizjograficznych, „jednostka osadnicza o zwartej lub rozproszonej zabudowie i istniejących funkcjach rolniczych lub związanych z nimi usługowych lub turystycznych nieposiadająca praw miejskich lub statusu miasta".

Zlikwidowano nasiennictwo i rodzime gatunki zwierząt hodowlanych, a to było warunkiem zachowania polskich smaków.

Na wieś trzeba dziś patrzeć szeroko. Czym innym bowiem jest wieś zlokalizowana koło miejskiej aglomeracji, czym innym w pobliżu małego miasta, a jeszcze czym innym wieś agroturystyczna. Nie zdefiniuje się tego w jednej zgrabnej formułce. Potrzeba ich więcej. Po to m.in., by ta wielobarwna mozaika składająca się na polską wieś mogła wnioskować o środki z II filara płatności z równą skutecznością jak wieś tradycyjna. Zrozumieli to Amerykanie. U nich na poziomie federalnym funkcjonuje około setki definicji wsi. W Polsce wystarczyłoby kilka.

Na wsi mieszka ok. 40% obywateli naszego kraju, w tym 10% aktywnych i nieaktywnych rolników. Chociaż generalnie wieś się starzeje, proces ten nie wpływa na liczbę mieszkańców. W 60% gmin mieszkańców przybywa, a w 40% ubywa. W sumie jednak wieś wychodzi na tej migracji na plus, przy czym zdecydowana większość migrantów zasiedla tereny wiejskie w pobliżu miast. Łączy się to często z niekontrolowaną urbanizacją i przyczynia do dezagraryzacji tych terenów.

Polityka krajowa wobec wsi i rolnictwa ucieka nie tylko od rozwiązania palących kwestii agrarnych. Przy biernej postawie wszystkich rządów zlikwidowano nasiennictwo i rodzime gatunki zwierząt hodowlanych, a to przecież było warunkiem zachowania polskich smaków. „Dobre, bo polskie" należy więc już chyba do przeszłości.

Wieś generalnie jest zadowolona z warunków życia, które prawie nie odbiegają od miejskich. Większe różnice w porównaniu z miastem dotyczą religijności, czytelnictwa książek, dostępu do kultury i… poparcia politycznego. Autorzy raportu od lat głoszą tezę, że partia, która wygrywa wybory na wsi, wygrywa je również w kraju. Obecnie jest to Prawo i Sprawiedliwość. Jednak poparcie dla PiS zarówno wśród rolników, jak i mieszkańców wsi uległo znacznej erozji. Jeszcze dwa lata temu utrzymywało się na poziomie 56% wśród mieszkańców wsi i 52% wśród rolników. Dziś jest to odpowiednio 39% i 27%. Drugą siłę na wsi stanowi „partia niezdecydowanych" – 44%. Z partii opozycyjnych żadna nie przekracza 10% poparcia. Prof. Jerzy Bartkowski określił tę sytuację jako „chwiejny punkt zwrotny" i porównał do niestabilnego kamienia na górskim szlaku, który w ruch może wprawić byle potrącenie. Ale o tym, czy tak się stanie, przekonamy się już przy innej okazji.

***Polska wieś 2022. Raport o stanie wsi* pod redakcją naukową Jerzego Wilkina i Andrzeja Hałasiewicza, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2022. Wydano na zlecenie Fundacji na rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa.**

eprasa.pl e884b37b5b

Potęga Prasy

Od 25 lat na obozach „Angory” w Rewalu szkolą się adepci dziennikarstwa

Uczestnicy pierwszego lipcowego turnusu dziennikarskiego obozu „Angory”.

Rewal w lipcu 2022 r. Dwa kolejne turnusy obozu dziennikarskiego Potęga Prasy dla młodzieży szkół podstawowych i średnich pod patronatem tygodnika „Angora”. W ośrodku wypoczynkowym Mieszko obozowa redakcja, studio radiowe i telewizyjne. Na każdym turnusie niewielkie grupy, po 15-16 zapaleńców. Z różnych miast w Polsce. Łączy ich pasja i chęć poznawania tajników prawdziwego dziennikarstwa.

Ewa Miśkiewicz, uczestniczka obozu, redaktor naczelna gazetki „Rewalacje” wydanej na zakończenie pierwszego turnusu, pisze we wstępniaku: „Piszemy, mówimy, filmujemy, nagrywamy już… 25 lat! Po tak długim czasie pracy nad gazetą, radiem oraz telewizją widzimy, ile się zmieniło. Z każdym następnym rokiem staramy się udoskonalać nasze działania… I… oby tak dalej!”.

W bieżącym numerze „Rewalacji”: KIT – krótkie informacje tekstowe, fake feminists, relacja z konferencji prasowej wójta gminy Rewal Konstantego Tomasza Oświęcimskiego i sołtyski wsi Rewal Dominiki

Winiarskiej-Chodziutko, informacja o Święcie Śledzia Bałtyckiego, „Pokochać operę” – wywiad z dyrektorem wielu teatrów operowych Sławomirem Pietrasem, relacja z inauguracji sezonu teatralnego we Wsi Artystycznej Janowo, „Kobieta silną jest”, czyli wywiad z artystką Martą Frej, a także reklamy zdobyte przez młodzież w miejscowych instytucjach, przedsiębiorstwach, u handlowców.

Pomysłodawcą obozów dziennikarskich jest red. Mirosław Kuliś. Zaczęło się to w 1997 r., dziś druk 150. numeru „Rewalacji” odbywa się już w profesjonalnej drukarni w Gryficach. Od 20 lat w czasie wakacji działa też obozowe radio RewalStacja. Na falach ultrakrótkich co godzinę nadaje serwisy informacyjne, a do północy muzykę. Jest również internetowa telewizja TeVaRewal.

Mieszkańcy Rewala i okolicznych miejscowości, a także wczasowicze chwalą dziennikarstwo obozowej młodzieży. Co roku w lipcu wyczekują na przyjazd „redaktorów”. – Mamy wtedy w Rewalu nasze radio, naszą gazetę i naszą telewizję – mówią.

Ćwierćwiecze zapisało się tu wieloma zmianami. Nadmorskie miasteczko wypiękniało. Podsumowując 25-lecie dziennikarskich obozów „Angory”, red. Mirosław Kuliś stwierdził, że z czasem zmieniały się też obozowe turnusy. Jakość i dorobek turnusu za każdym razem zależały od indywidualnych preferencji obozowiczów, od ich talentu, pomysłu na siebie. – Pamiętam, że przyjeżdżały bardzo ambitne osoby, które pisały słuchowiska, spektakle teatru radiowego, próbowały adaptować książki literackie, wymyślały czytane seriale. Niezależnie od tego, ile lat minęło, Potęga Prasy z roku na rok się rozwija. Uczestnicy uczą się dziennikarstwa, poznają dziennikarski warsztat, a przy tym świetnie się bawią w dziennikarstwo. Ale są i tacy, którzy pasję potraktowali poważnie, pokończyli studia i zostali dziennikarzami w radiu i telewizji – podkreślił.

Niektórzy uczestnicy przyjeżdżają na obóz dziennikarski kilkakrotnie. Bartłomiej Madej przyjechał po raz pierwszy, gdy miał 12 lat. Dziś 24-letni Bartek jest członkiem obozowej kadry i wiceprezesem Stowarzyszenia Potęga Prasy. Stowarzyszeniu, które m.in. czuwa nad merytoryczną stroną obozów dziennikarskich, prezesuje dziennikarz „Angory” Adam Owczarek.

W tym roku obozowiczów odwiedzili dziennikarze, przedstawiciele Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. SDRP obejmie patronat nad obozami dziennikarskimi „Angory”.

Andrzej Maślankiewicz

FOT. ANDRZEJ MAŚLANKIEWICZ

eprasa.pl e884b37b5b

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Ogórkowa w kaplicy

W czwartek, 21 lipca, skończył się chyba największy w tej chwili festiwal literacki w Polsce – Góry Literatury. To festiwal, który wyrósł z pomysłu, żeby przenieść wielkomiejskie aktywności okołoliterackie do małych miejscowości w górach i włączyć w wydarzenia lokalną społeczność. Już kilka lat temu, podczas pierwszych edycji, jasne było, że jest to impreza wyjątkowa. Dystans pomiędzy publicznością a pisarzami, filozofkami, artystkami czy polityczkami był umowny i zupełnie znikał podczas wspólnych leśnych spacerów bądź jedzenia ciasta, które przygotowały lokalne cukiernie albo po prostu osoby, które w ten sposób chciały się włączyć w literackie święta.

Festiwal literacki to nie apel, na który trzeba odprasować kancik, prysnąć się zapachem, postać, posiedzieć – trochę z obowiązku – cyknąć fotkę i z ulgą wrócić do domu z poczuciem, że zrobiło się coś jak należy.

Festiwal literacki to nie kościół, w którym nie ma dyskusji z objawionym słowem, trzeba je przyjąć w milczeniu, jak naganę szefa.

Festiwal literacki to nie restauracje z szybami wychodzącymi na główny deptak miasta, gdzie kark sztywnieje od siedzenia w zbyt mocno doświetlonych salach. I nie wiadomo, za co się je lubi, jest raczej drogo i nudno. Festiwal literacki to nie kościół, w którym trzeba patrzeć na prowadzącego, gdzie kapłan odczytuje słowa „na tydzień", gdzie nie ma dyskusji z objawionym słowem, trzeba je przyjąć w milczeniu, jak naganę szefa. Festiwal literacki to nie stypa na cześć dalekiego wuja, gdzie jest trochę paździerz, który wynika nie z niskich standardów, tylko z sąsiedztwa trumny. I z tego, że tak dobrze do niej pasują lakierowane włosy gości, doklejone paznokcie biesiadniczek, cytrynowy zapach domestosa dolatujący z kibla i rosół chłodny jak nóżki. Festiwal literacki to nie pralnia pieniędzy, gdzie jakaś dotacja rozpływa się w hotelowych basenach, w drinkach, w taksówkach. To nie drukarnia widmo, która pierze forsę, wydając puste druki, blade, tylko z połową farby, na dziurawym papierze, żeby żadni roznosiciele nie roznieśli tych pożal się boże festiwalowych reklam.

W festiwal literatury dobrze jest wpuścić trochę życia, za cenę wygody czasem. I dobrze jest go rozproszyć po rejonie, pojeździć z nim do miejsc, które na co dzień wydają się takie ciche. Przywieźć własny koc i karimatę, jak się zacznie nocne czytanie na trawie, dać komarom jeść z ręki, wejść niechcący na psa lub dać psu wejść na siebie.

Ten podejrzany entuzjazm dla dziczy przywiozłam wprost z Gór Literatury, które pozwalają uwierzyć w różne fajne rzeczy, takie jak: fakt, że czytelnicy istnieją, że pisarze/pisarki myślą trzeźwo o polityce i ekologii, że ktoś może przygotować dla ciebie ogórkową, kiedy najmniej się tego spodziewasz (np. kiedy wychodzisz ze spotkania autorskiego w kaplicy pod lasem). Że w górach temperatura może zmienić się diametralnie, a czytelników/słuchaczy nawet to nie dotknie, że jeśli czytanie odbywa się na łące, to nie znaczy, że nie będziesz mógł/mogła kupić tam książki, która właśnie wydała ci się ciekawa, bo na każde spotkanie przyjeżdża *book truck*, czyli mała ciężarówka z książkami. Że na koncercie ktoś cię zaprosi na swój koc, akurat kiedy poczujesz na tyłku wieczorny chłód gleby. Że można w ten sposób spędzić wiele dni, które okażą się dobre, tak dobre jak ogórkowa. I tego nie da się pokazać na zdjęciach, choćby były nie wiem jak wspólnotowe, zabawne, zielone.

Naprawdę mają jakąś dobrą siłę odśrodkową te Góry Literatury, te letnie festiwale, na których można wziąć udział w seminarium albo po prostu walnąć się brzuchem do góry na łące. A na koncercie siedzieć tak długo, że właściwie można już szukać śniadania w którymś z lokalnych, wszystko mających sklepów ABC, gdzie jest teraz mnóstwo owoców i gdzie jeszcze można kupić wody pod dostatkiem. W tym miejscu i czasie, kiedy stoimy w rynku z garściami pełnymi borówek, jesteśmy odsłonięci, a więc delikatni, i można by nas o wszystko oskarżyć: o obietnice bez pokrycia i w ogóle o te dni, bo przecież jeśli wypełniałaby je beztroska – musiałyby się mnożyć na kompletnym wyparciu. Ale tam też była wojna, w znakomitych czytaniach tekstów poetów ukraińskich, w rozmowie z Agnieszką Holland, na niemal każdym spotkaniu, w prawie każdej rozmowie, także w tej, którą chętnie podejmowała publiczność. Wojna. Żyjemy w niej i żaden wiersz nas od niej nie odwraca. Nie martwicie się, wierzyliśmy w nią jak we własną siostrę, nawet tam, jedząc borówki, które były beznadziejnie słodkie.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e884b37b5b

IM DALEJ OD POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, TYM MNIEJ PRAWDY

Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów

~~41 zł~~ 31 zł

Błędy dowódców. Poufne rozkazy i dokumenty

~~42 zł~~ 32 zł

Obłęd i głód. Nieznany „dziennik powstańczy"

~~40 zł~~ 30 zł

Raporty oficerów AK: To się skończy katastrofą

~~44 zł~~ 34 zł

Nie przegap okazji!
4 tomy w pakiecie
taniej ~~167 zł~~ 100 zł

Zbrodnicza insurekcja

Generał Bór na pewno żałuje swojej decyzji z 1 sierpnia, ale to Warszawy nie odbuduje

Niewiele jest zapisków cywilów z czasów powstania warszawskiego. Dlatego za niezwykle ciekawy trzeba uznać nieznany „Dziennik z okresu powstania warszawskiego" Antoniego Mieczkowskiego. Oryginał znajduje się w zbiorach Centralnego Archiwum WP. O ile o sobie i dziejach rodziny Mieczkowski pisał niezwykle lakonicznie, o tyle powstanie zarejestrował niemalże z dokładnością kronikarza. Robione prawie codziennie notatki to cenny dokument opisujący przebieg walk, sytuację warszawiaków, zachowania powstańców i ludności cywilnej, nie zawsze godne pochwały, a także Niemców, wśród których obok zbrodniarzy dostrzegał wiele humanitarnych postaw. Nie brakuje ocen polskiego Londynu, władz państwa podziemnego oraz Związku Radzieckiego.

Poniższy fragment pochodzi z III tomu wydanego przez PRZEGLĄD pięcioksięgu „Zakłamana historia powstania" pod redakcją Pawła Dybicza i Józefa Stępnia.

6 sierpnia, godz. 16.30

Dzisiaj zbieraliśmy na podwórku przyniesione przez wiatr spalone kartki książek. Z odcyfrowanego tekstu zorientowałem się, że to jakaś poważna biblioteka głównie dzieł historycznych. Po co to palą ci krzewiciele kultury? (…) Jeśli bolszewicy się nie pospieszą i Warszawy nie zajmą w najbliższych dniach, to nasi germańscy cywilizatorzy zdążą całą Warszawę z dymem puścić, aby móc następnie w „Wehrmachtberichcie" umieścić lekceważące zdanie: „Die Truemmer von Warschau wurden befehlmaessig geraeumt" (Ruiny Warszawy zostały na rozkaz uprzątnięte). Bo i po co to zniszczenie domów mieszkalnych, które miały to nieszczęście być zajęte przez wojsko czy jakąś cywilną lub partyjną władzę? Czy to bolszewików ma skrzywdzić? Najwyżej po wkroczeniu wyrzucą znów ludność cywilną z innych mieszkań. W tej chwili ogromny obłok dymu od strony Górnośląskiej. Może to dom Akademiczek, może Sejm, a może i Matejki? Można już w całkowitą apatię i rezygnację wpaść wobec tych widoków i wobec braku wieści z domu. Trzeba się zdać na los i czekać, czekać beznadziejnie, jakim ciosem nas obdarzy.

8 sierpnia, godz. 15.20

(…) Iza i jej towarzyszka poszły do dowództwa polskich powstańców – na Czerniakowskiej koło stadionu. To, co opowiedziały o wrażeniach tam odniesionych, jest po prostu koszmarem: brud, bałagan, zamieszanie, słabe uzbrojenie i brak amunicji. Młodzież i smarkateria urządziła sobie zabawę w wojnę, z ćmiącymi setkami papierosów i flirtującymi panienkami u boku. Naturalnie górnolotne frazesy patriotyczne w ustach: „trudno, ofiary być muszą", „niech ich rozstrzelają, my rozstrzelamy 400 Niemców" (a mają aż dwóch jeńców niemieckich), „Anglia zapowiedziała, że też w odwet będzie rozstrzeliwać Niemców". No i naturalnie podejrzenia o szerzenie defetyzmu, o szpiegostwo: „Ja panie każę rozstrzelać". Zupełnie jak w pamiętnym wrześniu 1939 r. I teraz jest sytuacja taka, że ani nie mają czołgów, ani ciężkiej broni – ograniczają się do pukaniny z rewolwerów, a Niemcy, niezdający sobie chyba sprawy ze słabości powstańców i w ogóle tchórzliwi z natury, zamiast przejść do ataku i zlikwidować tę ruchawkę, palą ze złości domy i łapią ludzi niewinnych, lojalnych – tych, co do powstania nie poszli. Głupota i fanfaronada naszych idą doprawdy w zawody z tępotą i tchórzostwem niemieckim. Podobno przyszedł rozkaz z Londynu, inni zaś twierdzą, że to Moskwa go sfałszowała, ale cała ta insurekcja jest zbrodnią popełnioną na tysiącach niewinnie ginących ludzi.

eprasa.pl e884b37b5b

I to zbrodnią szaleńczą, bo jakiż cel, jaka idea tego ruchu? Pozbycie się Niemców? Przecież oni sami wychodzili, wyjeżdżali spokojnie bez tarć, aż miło było patrzeć. Więc po co ich napadać, tak wbijać im nóż w plecy i doprowadzać osaczoną bestię do szału?

14 sierpnia, godz. 17.53

(…) Bolszewicy zupełnie zdecydowanie omijają Warszawę w swoich posunięciach. Ta podła gra na zwłokę powoduje olbrzymie ofiary w ludziach i domach u nas i raz jeszcze zdaje się wskazywać, że powstanie przedwczesne było błędem nie do darowania. Bardzo mętnie tłumaczą w naszych gazetkach konieczność zrobienia powstania przewidywanymi zniszczeniami, których by Niemcy, wycofując się, dokonali. Na pewno byłyby dziesięciokrotnie mniejsze niż te, które już się stały. A mam wrażenie, że w razie zawarcia przez AK cichego porozumienia z Niemcami, że damy im spokojnie wyjść, ograniczyliby się najwyżej do wysadzenia mostów! Doprawdy, że ten bezpłodny heroizm tylko toruje drogę bolszewikom. Jeśli chodzi o walkę z Niemcami, to przecież po ich wycofaniu się można było stworzyć armię ochotniczą i walczyć ramię w ramię z bolszewikami, a nie wyniszczać Warszawę!

21 sierpnia, godz. 21.05

(…) Nasi zdobyli wczoraj gmach Pasty na Zielnej! Po odcięciu Niemcom światła i wody zaczęli podpalać gmach i ogniem zmusili Niemców do poddania się. Złapali tam kilkudziesięciu gestapowców i Ukraińców – mam nadzieję, że zrobią z nimi krótki proces, tak, jak z tym gestapowcem, którego w przebraniu złapali na Złotej, a w paczuszce miał bykowiec, jakim bito Polaków na gestapo. Tego to chyba nasi ładnie oporządzili. Na Marszałkowskiej 111 Niemcy wybili wszystkich mieszkańców ręcznymi granatami. W Pruszkowie obozuje kilkudziesięcioro tłum ludzi pędzonych przez Niemców z Warszawy bez odpoczynku i jedzenia. Musi to być potworne widowisko. Pałac Łazienkowski spalony – jest to strata wprost nieobliczalna – wszystkie uroki Warszawy idą z dymem. (…)

A z rejonu sowieckiego też wesołe wieści. We Lwowie rejestracja mężczyzn od 16 do 50 lat i masowe wcielanie do wojska. W innych miastach (…) aresztują polską „ujawnioną" administrację oraz dowódców AK. Cóż nasi wodzowie i urzędujący w Warszawie z wielkim fasonem ministrowie myślą o tym? Czy nie zdają sobie sprawy, że im żadne „Dzienniki Ustaw" nie pomogą, żadne świeżo uchwalone prawa nie uchronią przed NKWD? Doprawdy, strusia polityka triumfować z powodu zdobycia Pasty, a nie pomyśleć o tych problemach!

30 sierpnia, godz. 19.00

Nasza warszawska prasa już zupełnie nie tai rozgoryczenia i otwarcie mówi o zdradzie sprzymierzeńców pod wpływem Rosji, używając tak mocnych słów jak „zbrodnia z premedytacją", „zdemoralizowany świat" itp. Bo też mówiąc wprost, cholera człowieka bierze, kiedy się czyta te wszystkie wyrazy hołdu i uznania dla bohaterskiej Warszawy, a równocześnie ani jeden samolot ze zrzutami nie zjawia się już na naszym niebie. Sowiety stoją sobie bezczynnie w Radości i Aninie, samoloty amerykańskie na lotniskach sowieckich blisko Warszawy, a Niemcy sobie spokojnie, systematycznie niszczą miasto i wywożą ludność do Rzeszy albo na kopanie okopów przeciw Sowietom! Jak doprawdy autorytet Anglii wobec Rosji musi być słaby, jeśli nie mogą na niej wymóc zezwolenia na udzielenie Warszawie pomocy. I znów jesteśmy w potworny sposób „zdradzeni i opuszczeni", jak w pamiętnym wrześniu pięć lat temu. (…) Doprawdy, nasi entuzjaści i bohaterzy zaczynają teraz dopiero trzeźwieć i przeklinać w duchu swój niefortunny pomysł powstania. Na pewno generał Bór mocno żałuje tej swojej decyzji z 1 sierpnia, ale to Warszawy nie odbuduje. ■

Niemcy sami wychodzili, aż miło było patrzeć. Więc po co ich napadać i doprowadzać osaczoną bestię do szału?

HISTORIA bez IPN

DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU

Oryginalne dokumenty!

Cynizm i głupota dowódców!

Męstwo powstańców!

TOM V tylko w formie E-BOOKA za jedyne ~~29,90~~ zł 9,90 zł

Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia

Książki PRZEGLĄDU

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl e884b37b5b

Sekspraca w Polsce

Generalnie klienci mieli takie oczekiwanie, że będę z nimi szaleć

Karolina Rogaska

Szczególnie silnie wraca do mnie jedna sytuacja, kiedy podczas jednego z hostessowych zleceń zostałyśmy wysłane do ogromnej willi na Mazurach. Należała do biznesmena, który raz w miesiącu urządzał imprezy dla kolegów. Miałyśmy witać gości przy wejściu do willi, ubrane w ciuchy, które zapewni nam klient. Kilka godzin, za które wpadnie 600 zł. Wizja pracy w willi w lesie wydawała się lekko niepokojąca, ale szefowa agencji zadeklarowała, że pojedzie z nami. Na miejscu okazało się, że nie będziemy jedyną „atrakcją". Był i pokaz barmański, i sztukmistrz, który widowiskowo połykał ogień, a także zespół taneczny, który miał zmysłowy erotyczny występ.

Panów było trzech, towarzyszyły im escortki. Od asystentki organizatora dowiedziałyśmy się, że taki weekend to dla nich 4 tys. zł zarobku. Pamiętam, jak stałam w ogromnym domu i patrzyłam, jak siedzą z tymi facetami, wybuchając co chwilę śmiechem. Myślałam: jak tak można? Nie tylko ja zresztą. Inne hostessy też wzdychały nad marną kondycją moralną polskich kobiet. Myślałam, że moją obecność tam tłumaczył fakt, że jestem studentką i sobie dorabiam. Patrzyłam z góry nie tylko na pracownice seksualne, ale i starsze koleżanki, które już się nie uczyły, a praca hostessy dalej była ich jedynym zajęciem. Escortki jadły z klientami kolacje. Przy stole, traktowane jak równe. My czekałyśmy w drugim końcu sali, mogąc jedynie popatrzeć i liczyć, że dadzą nam to, co zostanie.

Podeszła do nas kucharka.

– Nie mają co robić? To ziemniaki obiorą – zarządziła. Przyjęłyśmy to z entuzjazmem – przynajmniej jakaś rozrywka. W poczuciu wyższości rozsiadłyśmy się nad wiadrem z obierkami.

Pracowałam wtedy też w klubach jako tzw. rozkręcająca. Zakładałam wysokie szpilki, elegancką sukienkę i przez kilka godzin z innymi dziewczynami piłam drinki i tańczyłam na parkiecie. Tak miałam zachęcać do dobrej zabawy i pozostania w klubie na dłużej – i do wydania więcej pieniędzy przy barze. Naszą rolą było też „budowanie renomy". Chodziło o to, żeby mężczyźni planujący wieczór na mieście pomyśleli o naszym klubie – że tam na pewno spotkają piękne dziewczyny.

Kiedy w 2012 r. w Polsce odbywały się Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej, w Warszawie otworzono na miesiąc miejsce, które miało przyciągać bogaczy, klub dla elit. Miałam już doświadczenie, więc się zgłosiłam. W czasie funkcjonowania klubu odbyło się kilkanaście imprez. Próżno było jednak wyglądać tłumów, na które liczyli właściciele. Ceny za rezerwację stolika czy alkohol były bardzo wysokie. Ściągali więc do niego wybrani, którzy tych tysięcy zostawiali jednego wieczoru kilkanaście lub kilkadziesiąt. My, ambasadorki, wiłyśmy się pośród nich, zabawiając ich uśmiechami, rozmową, tańcząc. Niektóre z dziewczyn zawiązały bliższe relacje ze stałymi bywalcami. Szybko nastąpił niepisany podział na te, które korzystają

Panów było trzech, towarzyszyły im escortki. Taki weekend to dla nich 4 tys. zł zarobku.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e884b37b5b

z okazji, by do grona ich znajomych dołączyli bogaci panowie, i te, które ich unikały i po prostu cieszyły się z tego, że mogą imprezować i jeszcze na tym zarobić. Należałam do tej drugiej grupy, co pozwalało mi o sobie myśleć, że jestem lepsza. Dwa lata później wybuchła „afera dubajska". Wyciekły informacje o dziewczynach, które jeździły np. właśnie do Dubaju, żeby spotykać się za pieniądze z arabskimi szejkami. Wśród nich były też kobiety znane z kolorowych magazynów. Ich nazwiska opublikowano w internecie, razem ze zdjęciami. Rozpoznałam dwie ambasadorki z „euroklubu", w którym pracowałam. Nie zaskoczyło mnie to, ale w rozmowach ze znajomymi wyśmiewałam pracujące tak dziewczyny, bo zgodziły się, żeby ktoś na nie defekował.

A przecież robiłam podobnie. W inny sposób i za mniejsze pieniądze, ale jednak. Kiedy studiowałam, dostawałam od rodziców pieniądze na mieszkanie i jedzenie. Nie byłam biedną studentka ciułającą grosz do grosza. Pensja za pracę jako hostessa szła na moje przyjemności. Nic niezbędnego do życia.

Teraz, kiedy zbieram materiał do książki o sekspracy, sprawdzam, czy mam jeszcze w znajomych na portalach społecznościowych którąś z koleżanek jeżdżących do Dubaju. Nie. Byłyśmy jedynie koleżankami z pracy, i to osiem lat temu. Chociaż rozpoznałabym ich twarze, nie pamiętam imion. Nie udaje mi się ich odnaleźć. Są jednak inne, bliższe znajome, które wciąż figurują wśród moich kontaktów. Jest kilka, które wrzucają zdjęcia z zagranicznych wakacji, pokazują nowe torebki, bogato wyposażone mieszkania. Nie wiem, czym dokładnie się zajmują. O części wiem, że zostały modelkami międzynarodowych agencji, inne założyły firmy, na których się dorobiły – albo po prostu mają bogatych partnerów. Są też psycholożki, logistyczki, podróżniczki. Życie poprowadziło nas różnymi drogami. Zastanawiam się, czy trafię na choć jedną, która jest albo była escortką. Jak o coś takiego zapytać? Napisać: „Hej, czy zajmujesz się pracą seksualną"?

•

Natalia! Tak! Przypominam sobie, że gdy pracowałyśmy na jednym z dużych wydarzeń – tych zakrapianych alkoholem – mówiła coś o tym, że trafiła na idealnego sponsora, bo kupił jej samochód.

Odzywam się do niej, że długo nie rozmawiałyśmy, ale piszę reportaż o sekspracy i kojarzę, że za starych czasów była nie tylko hostessą, ale też faceci płacili jej za towarzystwo. Chciałabym o tym porozmawiać, bo jej perspektywa będzie ważna dla pokazania szerszego kontekstu pracy seksualnej. „Chyba cię pojebało", odpisuje. Chwilę później zostaję zablokowana. No cóż, spróbowałam.

Kilka tygodni później widzę wiadomość: „Sorry, trochę mnie przestraszyłaś. U mnie się w życiu dużo zmieniło. Mogę pogadać, ale żadne Messengery. Chcesz, to możesz wpaść do mnie w przyszłym tygodniu". Po godzinie pisze jeszcze, żebym nikomu nie mówiła, że się spotkamy.

Cztery dni później wchodzę do eleganckiego apartamentowca. Za kontuarem siedzi portier. Gdy Natalia otwiera mi drzwi, pierwszym, co dostrzegam, jest jej ciążowy brzuch. Nie zmieniła się. Co najwyżej wygląda młodziej, niż kiedy widziałyśmy się ostatni raz. Prowadzi mnie do przestronnego salonu z dużymi oknami wychodzącymi na pobliski skwerek.

Pytam, co u niej.

– Jak widzisz, niedługo rodzę. Syna. Będzie się nazywał Wiktor, bo tak miał dziadek mojego męża. Sylwek wyjechał teraz w sprawach biznesowych. Ja dlatego nie chciałam… Bo on nie wie. To znaczy, że byłam modelką i hostessą – to wie. O spotkaniach za hajs nie ma pojęcia. Nie chcę mu robić przykrości.

– A jednak ze mną rozmawiasz – zauważam.

– Bo ci jakoś ufam. Dość mam tego, że się mówi o escortkach jak o głupich cipach. Poza tym, chyba chcę sobie trochę… Nie wiem. Ulżyć? Żeby z siebie wyrzucić pewne rzeczy? Ja się bardzo odcięłam od dawnego środowiska. Nie ma w moim życiu już tamtych ludzi… Przejrzałam też na oczy, bo było trochę toksycznych osób dookoła mnie. (…)

Kiedy pracowałyśmy w klubach, Natalia poznała Anetę. Polubiły się i zaczęły spotykać prywatnie. Zawsze w mieszkaniu Anety – zrobionym w ikeowskim stylu, ale w tamtym czasie Natalii zdawało się, że to luksus. Studiowała wtedy technologię żywności. Jej mama jest pielęgniarką, nie zarabia dużo – wspierała córkę, ale mogła przesyłać tylko 400 zł. Drugie tyle Natalia dostawała z alimentów. Starczało jej na wynajem, na resztę musiała zarobić sama. Któregoś dnia zapytała Anetę, skąd ma na dwupokojowe mieszkanie w centrum, na wycieczki – i ciuchy, bo ubierała się na bogato. Wyjaśniła, że panowie płacą jej za towarzystwo. I że może Natalii kogoś nakręcić, bo chętnych nie brakuje. Wtedy odmówiła, mimo że Aneta opowiadała, jakie życie zapewniają takie spotkania. Kasa, spokój, dużo darmowego palenia i koksu. Prawdziwego koksu, a nie tanich mieszanek, co gotują mózg.

Natalia zapytała Anetę, skąd ma na mieszkanie w centrum, na wycieczki i ciuchy. Wyjaśniła, że panowie płacą jej za towarzystwo.

Po tej rozmowie myślała ciągle o escortingu.

Spotkanie z pierwszym klientem miało miejsce dwa tygodnie później. Wyjazd na weekend do Zakopanego, właściciel popularnej restauracji, stawka: 3 tys. zł. Kwota jej nie powaliła – po opowieściach koleżanki wyobrażała sobie, że dostanie przynajmniej dwa razy tyle. Aneta wytłumaczyła jej, że to po prostu trochę skąpy koleś, ale normalnie płacą więcej.

Natalia wiedziała właściwie tylko tyle, że w piątek ok. 14 mężczyzna przyjedzie po nią samochodem.

eprasa.pl e884b37b5b

Nie dopytywała o szczegóły, bo było jej głupio. Według Anety facet był godny zaufania. Pozostawało jej uwierzyć. Spakowała ogromną walizkę, mimo że jechali tylko na dwie noce. Nie miała pojęcia, jaki jest plan wycieczki. Wzięła i zestawy sportowe na chodzenie po górach, i wieczorowe sukienki. I jeszcze z dziesięć kompletów eleganckiej bielizny. Wszystkie, jakie posiadała.

– Do końca do mnie nie docierało, że to się dzieje. Byliśmy w pięknym hotelu z widokiem. Wieczorem kolacja, dużo dobrego wina, idziemy do apartamentu, jest akcja. Ja się nawet nie spinam, naturalnie idzie to wszystko. Nagle on wypala, że teraz by mi nasikał na piersi. Wiesz, wszystko jest dla ludzi, ale ja nie byłam gotowa. Powiedziałam, że nie chcę. Wkurwił się. (…) Rano przeprosił i przez resztę wyjazdu już było OK. Potem już się tak nie spinałam. Starałam się ustalać z góry, na co się godzę w seksie, chociaż w praktyce różnie… (…)

– Z tą pracą… Poszłam w taki model, żeby się spotykać z kilkoma sponsorami. Żeby mieć regularną kasę, prezenty.

– Dobrze pamiętam, że któryś ci kupił samochód? – wtrącam.

– To nie do końca tak było… On mi po prostu pożyczył swoje auto. Długoterminowo pożyczył, bo na dwa lata, ale jak się przestaliśmy spotykać, to straciłam do niego dostęp. To był mercedes, srebrny taki, smukły. Kiedy gdzieś nim jechałam, to widziałam, że inni się gapią i podziwiają. (…)

Relacje ze sponsorami bywały trudne. Chcesz czy nie, przyzwyczajasz się do człowieka, pojawiają się emocje – mówi. Byli tacy, którzy zrywali kontakt, bo przeszkadzało im, że spotyka się z innymi. Tu Natalia zaznacza, że znowu nie było tych „innych" aż tak wielu – pilnowała, by w tym samym czasie nie mieć więcej niż trzech klientów. Dwa lata z tym od samochodu to był rekord. Funkcjonowali jak w związku. Na początku było bajkowo. Prezes dużej międzynarodowej firmy. Odważny i spragniony wrażeń. Zwiedził kawał świata. Czasami leżeli spaleni ziołem w łóżku i wymyślali alternatywny przebieg historii Polski albo scenariusze na filmy. (…)

Aż przyszedł dzień, kiedy zrobił się zazdrosny. Zaczęły się sceny. Mówił, że już nigdy się z nią nie spotka, po czym przyjeżdżał do niej niezapowiedziany i krzyczał, że „może już przestać się kurwić i udawać, że to niezależność". Natalia uznała, że to zaszło już za daleko – pozwoliła na zbyt dużą bliskość.

Starałam się ustalać z góry, na co się godzę w seksie.

– Przeżywał, jak mu powiedziałam, że to koniec. Zaczął mnie trochę przerażać. Uznałam, że czas zrobić sobie przerwę od tej roboty. Ta przerwa ciągnie się do dziś.

– Próbował cię jakoś odwieść od tej decyzji?

– Odwieść? Typ mnie dosłownie nękał. Ciągnęło się to przez pół roku. Zgłosiłabym to na policję, ale bałam się, że wtedy zacznie się mścić, że rozpowie, czym się zajmowałam. To nie tak, że się z tym bardzo kryłam, ale im mniej ludzi wiedziało, tym lepiej. (…)

Miała odłożonych sporo pieniędzy, więc uznała, że wykorzysta je, żeby się odciąć. Wypowiedziała umowę z właścicielem mieszkania. Wyjechała na miesiąc do Włoch. Bez żadnych znajomych. (…)

Pierwszy, drugi, kolejny klient i Natalia po dwóch miesiącach pracy mogła porzucić współdzieloną kawalerkę i zacząć samodzielnie wynajmować mieszkanie.

– Kiedy zamieszkałam sama, to trochę popłynęłam. Miałam 21 lat i nagle zaczęła do mnie spływać spora kasa. Rzuciłam studia, bo mi się jakoś nie zgrywały ze stylem życia. Czasem trochę żałuję… Chociaż na co mi ten magister? Teraz i tak nie pracuję. (…)

Był rok, w którym ani razu nie pojawiła się w domu rodzinnym. Nawet na święta. Dużo wyjeżdżała. Riwiera Francuska, Malediwy, Meksyk, nawet Bali, jeszcze zanim stało się modne. Polubiła te wyjazdy, bo to jak wakacje, za które ktoś ci w dodatku płaci. I seks był podczas nich bardziej przyjemny. Miała większą ochotę, bo ogarniała ją ekscytacja, że jest w pięknym miejscu.

W Polsce bez przerwy imprezowała. Co zarobiła, to wydała, a nie były to małe kwoty. Zdarzyło się, że w ciągu miesiąca wpadło jej nawet 30 tys. zł. Mówi, że mogłaby pewnie i więcej wyciągnąć, ale nie chciała codziennie pracować albo wyjeżdżać na zlecenia do zagranicznych klientów. Bała się, że w takim Dubaju musiałaby robić rzeczy, której jej zupełnie nie leżą. A i tak już czasem godziła się na przekraczanie swoich granic. Pozwoliła się na przykład związać tak mocno, że siniaki na nadgarstkach utrzymywały się tygodniami. Poza tym pierwszym klientem zdarzył się też kolejny, który chciał na nią oddać mocz. Tym razem się zgodziła. Źle się z tym czuła, chociaż – jak podkreśla – nikt jej do niczego nie zmuszał, przynajmniej z tego, co pamięta (…).

W końcu Natalię zaczęło to męczyć – te sztuczne znajomości, szlajanie się po mieście. Na kacu budziła ją myśl, że jej życie zmierza donikąd. Zaczęła doświadczać stanów lękowych. Żeby o tym nie myśleć, znów piła.

Poszłam w taki model, żeby się spotykać z kilkoma sponsorami. Żeby mieć regularną kasę, prezenty.

– Wałkowałam na okrągło „Spis cudzołożnic" Pezeta. Tam jest taki fragment: „Cerę ma trochę zniszczoną, jak na to, że jest jeszcze młodą studentką. Nie szukam w niej kandydatki na żonę. A ona chyba zresztą nie mówi serio. Lubię to, że zakłada nogi za głowę i jest wygimnastykowana. Jej ciało ma rysy dosyć sportowe, choć w kółko jest spalona albo pijana". Słuchałam i ryczałam.

eprasa.pl e884b37b5b

To było tak, jakby on rapował o niej, a ona nie chciała już być zniszczona, spalona i pijana. Nie wiedziała tylko, jak to zrobić.

– Była na przykład taka sytuacja, że totalnie zrobiona zadzwoniłam do matki. Odebrała przerażona, bo był środek nocy. Wykrzyczałam: „Twoja córka jest kurwą" – i się rozłączyłam. Jak sobie to przypomniałam następnego dnia, to myślałam, że umrę. Dosłownie. Bolało mnie serce, lewe ramię. Trzęsło mną. Nie wiedziałam, czy po karetkę dzwonić, czy testament pisać.

Natalia ma łzy w oczach. (…)

Jest jedynaczką. Ojciec odszedł, kiedy miała cztery lata. Mama chowała ją na „twardą kobietę". Kiedy płakała, słyszała, że ma się nie mazać. Gdy w jej życiu działo się coś trudnego, zachowywała to dla siebie. Nie chciała denerwować matki. Po wyjeździe na studia opowiadała, że jej życie jest pełne sukcesów. Zmyślała, że rzuciła studia, bo dostała pracę w międzynarodowej korporacji i nie miałaby już czasu na naukę.

– Raczej mi nie uwierzyła. Szczególnie po tym telefonie. Powiedziałam jej, że byłam na firmowej imprezie i mnie poniosło, że nie pamiętam, co dokładnie mówiłam. I że jej unikałam, bo było mi głupio. To ostatnie akurat było prawdą. Mama woli nie wiedzieć. Mówi: „Ty wiesz, co dla ciebie najlepsze, córeczko". Nie chodzi o to, że mi ufa, ona tak zdejmuje z siebie odpowiedzialność. (…)

– Generalnie klienci mieli takie oczekiwanie, że będę z nimi szaleć. Po to też mi płacili, żeby oderwać się od codzienności pod krawatem, rodzinnego spokoju. Mieli niewiele czasu na takie przyjemności, dlatego chcieli go wykorzystać na maksa… Ale wracając do mojego melanżstory. Kolejny raz przegięłam tak, że… Kurwa, no nie powiem tego na głos. (…) Siedziałam na nim, byliśmy już w trakcie i po prostu mnie zemdliło. Wyobraź sobie, że on i tak chciał się ze mną po tym spotykać. Odmówiłam, bo nie byłabym w stanie spojrzeć mu w oczy. Kolejny taki przejebany moment miałam, jak wyszłam na miasto ze znajomymi i tak mnie poniosło, że wydałam w jeden wieczór 6 tys. zł. Wstawiłam się z koleżanką jeszcze przed wyjściem z domu i fantazja mnie porwała. Kolacja dla wszystkich, a to było z dziesięć osób. Stawiałam też drinki obcym ludziom… (…)

– Co ja robiłam z tymi ludźmi? Wykorzystywali mnie, mój hajs i obgadywali za plecami. Jedna z tych koleżaneczek kiedyś w przypływie jakiejś szczerości wszystko mi wygadała. Niby w żartach mówili, że jedna dupa, a ile korzyści dla wszystkich. W rozmowach podobno nazywali mnie obciągarą. Mówili rzeczy typu: „Co tam u obciągary?" albo „Widziałem się dziś z obciągarą". (…)

– Powiesz mu kiedyś?

– Szczerze? Wydaje mi się, że nie. Już trochę za daleko to wszystko zaszło. – Wskazuje na swój brzuch. – Po co mieszać, skoro jest dobrze. Poza tą jedną rzeczą jestem z nim totalnie szczera. Przez to, że o tym nie mówię tak na co dzień, to czasem sama zapominam, że się tym zajmowałam. I żeby nie było: ja nie żałuję. Dorobiłam sobie, mam trochę dobrych wspomnień z klientami, zwiedziłam kawał świata. Ja bym bardzo chciała normalnie mówić o tym, że mam takie doświadczenie w swoim życiorysie. Ale żyjemy w takim, a nie innym kraju. (...)

Czasem zapominam, że się tym zajmowałam. I żeby nie było: ja nie żałuję. Dorobiłam sobie, zwiedziłam kawał świata.

Te momenty, w których straciła nad sobą kontrolę, zaczęły do niej wracać. Śniła o nich.

– Ograniczyłam picie i kontakty z tamtym gronem. Wiesz, że oni się nawet nie zainteresowali, co ze mną? Dwie osoby jeszcze się odzywały, ale reszta miała całkiem wyjebane. Jestem czy mnie nie ma, nie robiło im to dużej różnicy.

Dalej spotykała się z klientami, tylko już uważała z używkami. Coś tam czasem wciągnęła, łyknęła jakiegoś drinka czy wina, ale mniej. I przede wszystkim przestała wydawać tyle pieniędzy. Przyszło jej do głowy, że przydałyby się jakieś oszczędności. Dzięki temu mogła pojechać do Włoch. Po powrocie postanowiła, że zrobi sobie jeszcze z pół roku przerwy i wróci do klientów. Na scenę wkroczył jednak jej mąż. Sylwestra poznała w szkole sztuk walki. (…) Nie chciała go przestraszyć, więc pominęła to, że była escortką. Mówiła, że żyła z bycia hostessą i modelką.

– Poza tym szczerze opowiedziałam o tym chlaniu, pseudoprzyjaciołach, o rodzinie. O wszystkim, tylko nie o tym. Sprawy potoczyły się szybko, bo już po dwóch tygodniach byliśmy parą. I jakoś się nie złożyło, żeby to wszystko opowiedzieć.

– Widzisz to wszystko? I nie pokazuję ci tego, żeby się chwalić. Chodzi o to, że ja w to włożyłam serce, sama urządzałam. Stworzyłam tu sobie prawdziwy, dobry i duży dom. Z mamą się gnieździłyśmy na 40 m. Ona zresztą dalej tam mieszka, mimo że wysyłam jej kasę, namawiam na przeprowadzkę. Ale ona jest, kurwa mać, za dumna na to. A ja to pierdolę, w końcu sobie pozwalam na zależność. Według niej to wstyd, że nie pracuję. Bo przecież najlepiej, żebym harowała po 12 godzin dziennie i gówno z tego miała. Powtarza mi, że co, jak mnie kiedyś Sylwek zostawi, jak ją ojciec. Nie wiem, wymyślę coś. Ale nie będę teraz siedziała i snuła w głowie czarnych scenariuszy.

Wracamy do salonu. Natalia tłumaczy, że całe życie miała tendencje do czarnowidztwa, bo właśnie tego nauczyła ją matka. Może dlatego uciekała w imprezy? Dalej zdarza jej się zastanawiać, co może pójść nie tak, albo czuć jakieś takie upokorzenie czy zawstydzenie.

– Ale to już sama nie wiem, czy to mam tylko przez matkę, czy może przez bycie kobietą w Polsce.

Fragmenty książki Karoliny Rogaskiej *Bez wstydu. Ekspraca w Polsce*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2022

eprasa.pl e884b37b5b

Anne Sverdrup-Thygeson

Zapylanie czas zacząć

W zapylaniu bierze udział wiele gatunków. Chrząszcze, osy, motyle, a także muchy

Niebieski miód i bielmo na oczach

Wiele społecznych gatunków pszczół produkuje pewną ilość miodu, ale tylko pszczoły miodne wytwarzają go tyle, że możemy podbierać owoce ich ciężkiej pracy. A robota to nielicha – aby zrobić kilogram miodu, pszczoły muszą odwiedzić kilka milionów kwiatów. Proste rozwiązania bywają kuszące, a w zderzeniu z nowoczesnym światem mogą dziać się bardzo dziwne rzeczy. Kilka lat temu pszczelarze w północno-wschodniej Francji przeżyli prawdziwy szok, kiedy zajrzeli do uli i stwierdzili, że miód na plastrach nie był wcale złotawy, lecz niebieski lub zielony!

Pszczelarzy aż zatkało, bo chociaż miód smakował doskonale, nie dało się go sprzedać. Dziesiątki dotkniętych tą katastrofą hodowców uważały, że miarka się przebrała, bo już wcześniej było sporo problemów z chorobami pszczół i niską produkcją miodu. Pszczelarze rozpoczęli więc mozolną pracę detektywistyczną. Najpierw zauważyli, że pszczoły przylatują do uli z trudną do identyfikacji kolorową zawartością swoich koszyczków pyłkowych. W końcu wyśledzono źródło kłopotów. Okazała się nim instalacja biogazu kilka kilometrów dalej. Jej właściciele przechowywali na wolnym powietrzu odpady pochodzące z fabryki czekolady produkującej drażetki M&M's, orzeszki w polewie czekoladowej o intensywnych kolorach. Może pszczółki myślały, że odkryły niezwykle duże i bogate w nektar kwiaty? Tak czy inaczej, odpady te były stabilnym i łatwo dostępnym źródłem cukru. Nie było więc po co wysilać się i latać z jednego kwiatu jabłoni na drugi. (...)

Przykład ten pokazuje również, dlaczego tak sceptycznie odnoszę się do pomagania owadom zapylającym przez wystawianie w ogrodzie wody z cukrem, skórek bananów lub innych pokarmów. Takie rzeczy mogą odciągać owady od pracy, którą mają do wykonania jako zapylacze, a jednocześnie stawać się wylęgarniami chorób, ponieważ w jednym miejscu i czasie znajduje się jednocześnie zdecydowanie za wiele osobników. Poza tym woda z cukrem to jedynie podróbka prawdziwego pożywienia – nektaru i pyłku – które produkują kwiaty. Lepiej więc zasadzić albo zasiać w ogrodzie miododajne kwiaty. I nigdy nie dawać owadom miodu – może on zawierać uśpione bakterie, które mogą przenieść się na pszczoły miodne i wywołać u nich choroby. W ten sposób rozprzestrzeniać się mogą zgnilec złośliwy i zgnilec europejski, a są to choroby równie paskudne jak ich nazwy.

W zapylaniu oprócz pszczół bierze udział także wiele innych gatunków. Chrząszcze, osy, motyle – a także muchy. Zwłaszcza w chłodnych rejonach, na wyższych szerokościach geograficznych i w górach muchy odgrywają niezwykle ważną rolę. Jeśli wybierzesz się w góry w okolicach Finse (stacja kolejowa między Oslo a Bergen na wysokości 1222 m n.p.m.) i zaczniesz obserwować, kto latem ląduje na dzikich kwiatach, zauważysz, że ponad 8 na 10 zapylaczy to muchy. Mimo braku tej zalety, którą mają kosmate, rozkoszne jak misie panda trzmiele, te pracowite owady to jedne z najważniejszych zapylaczy, jakie istnieją.

Muchy ważne są również w rejonach o klimacie umiarkowanym, zwłaszcza bzygi. Łatwo je rozpoznać, bo chociaż przebierają się za osy, przywdziewając ubranka w żółte i ciemne paski, potrafią to, czego osy muszą im zazdrościć: umieją

Bzygi wykorzystuje się jako naturalny pestycyd, alternatywę dla opryskiwania trującymi środkami.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e884b37b5b

zastygnąć w powietrzu jak jakiś skurczony koliber. Bzygi wykorzystują tę umiejętność, kiedy spijają nektar z kwiatów, jednak ta technika *freeze* może również stanowić element pewnego rodzaju muszego pojedynku tanecznego, w którym samiec wykonujący najlepsze *moves* rządzi i może parzyć się z panią muchą.

Każdej wiosny przez kanał La Manche do Wielkiej Brytanii przylatuje co najmniej pół miliarda bzygów. Bo nie tylko ptaki migrują, robią to również owady. Najbardziej znane z tego są motyle i ważki, jednak obserwacje z użyciem radaru pokazują, że sezonowo migrują również miliardy bzygów. Wieść o tej zalewającej Wielką Brytanię hordzie to dobra wiadomość. Bardzo dobra. Dorosłe bzygi nie tylko przynoszą ze sobą ciekawe pyłki z bardzo odległych miejsc, ale również świadczą ważne krajowe usługi transportowe. Młode osobniki, larwy bzygów, to żarłoczne drapieżniki, które każdego lata wykańczają od 3 do 10 bln mszyc, przyczyniając się w ten sposób do ochrony plonów.

Z tego względu bzygi wykorzystuje się również jako naturalny pestycyd, alternatywę dla opryskiwania trującymi środkami. A więc dwie muchy jednym uderzeniem: jedno ozdobione żółtymi i czarnymi paskami ciało świadczy usługi zapylania i jednocześnie chroni przed szkodnikami. I jeszcze jedna dobra wiadomość w zalewie smutnych raportów o spadku liczebności owadów: liczba migrujących bzygów przez ostatnie 10 lat utrzymywała się na stałym poziomie.

Orzechy brazylijskie i latający flakon

Często relacje kwiat – zapylacz są luźne, nieszczególnie wyspecjalizowane – jeden gatunek rośliny może być zapylany przez wiele różnych gatunków owadów. Bywa jednak tak, że wykształca się specyficzne współdziałanie, tak dziwaczne, że trudno uwierzyć, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

Wybierzmy się na wycieczkę do Ameryki Południowej. Rosną tu orzesznice brazylijskie – drzewa rodzące orzechy brazylijskie, rozrzucone po lesie deszczowym. Niektóre osobniki żyją po kilkaset lat i wspinają się ku niebu na nawet 40 m. Z tej wysokości w pewnej porze roku z gwizdem spada na ziemię ich potomstwo – w formie przypominającej kokos kapsuły. Może ona ważyć 2 kg.

Można tu przytoczyć słowa Alexandra von Humboldta, niemieckiego przyrodnika, który ok. 1800 r. przez wiele lat podróżował po Ameryce Południowej: „Owoce te, o wielkości dziecięcej główki (…), robią mnóstwo hałasu, gdy spadają z koron drzew". W tej wielkiej kapsule ukrywają się orzechy brazylijskie. Myślę, że Humboldt i jego towarzysz, francuski botanik Aimé Bonpland, byliby jeszcze bardziej zachwyceni tymi orzechami, gdyby wiedzieli, jakich wygibasów potrzeba, by zapylić rodzące je drzewa. Kwiaty tej rośliny zapylane są przez niemal nieziemsko piękne stworzenia, które ze swoimi metalicznie połyskującymi ciałami w kolorze niebieskim, zielonym i liliowym wyglądają jak latające klejnoty.

Owady te nazywa się pszczołami storczykowymi (plemię *Euglossini*), żyją one wyłącznie w Ameryce Południowej i Środkowej. Pyłek transportują samice, a wymaga to szczególnych umiejętności. Kwiaty orzesznicy brazylijskiej są bowiem zamknięte pewnego rodzaju pokrywką, a samica pszczoły storczykowej jest jedną z niewielu istot, która jest w stanie przecisnąć się pod nią do wnętrza kwiatu, gdzie ukrywa się nektar. Sztuczka ta zapewnia jej pożywienie, a drzewu zapylenie i możliwość produkcji orzechów. To jednak zaledwie połowa historii.

Bo samiczka jest wybredna. Chce się parzyć tylko wtedy, gdy samiec pięknie pachnie. Jako że nie może on po prostu wpaść do perfumerii, by zaopatrzyć się we flakonik kuszących woni, musi wytwarzać perfumy samodzielnie. Gdy więc damy zajęte są zapylaniem orzechów brazylijskich, samiec skacze z jednego storczyka na drugi i zbiera pachnące olejki, które przechowuje w zmyślnej konstrukcji na tylnych łapkach. Jest to pewnego rodzaju trójkątny pojemnik uformowany przez łuski na nogach. W praktyce służy za buteleczkę na perfumy.

Wydaje się, że taka kompozycja aromatów jest niezbędna do przywabienia samic. Gdy pan pszczoła wyprodukuje swoją własną, całkowicie niepowtarzalną *eau de parfum*, może zapewnić sobie upojne chwile i potomstwo. Jednocześnie jego podróż po kwiatach przyczynia się do zapylania storczyków, dzięki czemu mogą one wydać nasiona.

Wysiłki pszczół storczykowych, zmierzające do zebrania nektaru i przyjemnych zapachów, zapewniają więc korzyść zarówno drzewom, jak i kwiatom – a także ludziom, w formie orzechów dla lokalnych mieszkańców i na eksport. Gdy już zrozumiemy te skomplikowane zależności między kilkoma gatunkami, jasne stanie się również to, dlaczego nie da się uprawiać orzesznic na plantacjach. Jedynie w lesie, gdzie wszystkie rośliny mają zapewnione odpowiednie warunki życia, pszczoła, drzewo i storczyk mogą nawiązać swoją cudowną przyjaźń.

Kwiaty orzesznicy brazylijskiej zapylane są przez nieziemsko piękne pszczoły storczykowe.

Figa i osa: wierność i zdrada od milionów lat

Innym przykładem ekstremalnego dopasowania zapylacza i rośliny są osa figowa i figa. W tym przypadku mówimy nie tylko o przyjaźni, ale o wspólnym życiu okraszonym wiernością, poświęceniem i zdradą.

Drzewo figowe nie ma normalnych kwiatów, takich co to otwierają się na świat i prezentują swoje wdzięki licznym odwiedzającym je owadom. Przeciwnie, tu już od pierwszego dnia robi się dziwnie, bo kwiaty figi są wywrócone na lewą stronę. Drzewo to produkuje pewną liczbę niewielkich, przypominających owoce, jasnozielonych gruszek,

eprasa.pl e884b37b5b

które są puste w środku – i właśnie wewnątrz tych gruszek, a raczej fig, znajdują się wszystkie kwiaty.

Takie ich ukrywanie może wydawać się dość niemądre. Figowiec ma jednak plan. Istnieje bowiem wejście do tej wewnętrznej przestrzeni, ciasny korytarz – tędy właśnie wchodzi osa figowa. Do środka przeciska się samica po parzeniu. Jest tak ciasno, że po drodze traci skrzydła, przez co zostaje uwięziona w tej jamie na resztę swojego krótkiego życia. Z punktu widzenia figowca wszytko wygląda cacy. Chodzi mu tylko o to, by owad przyniósł ze sobą pyłek z innego drzewa, tak aby żeńskie kwiaty w tym pokręconym kwiatostanie zostały zapłodnione.

Z punktu widzenia uwięzionej osy sytuacja wygląda znacznie gorzej. To loteria jej życia. Czy właśnie wcisnęła się do figi, która może stać się dziecięcym pokojem dla jej potomstwa, czy też została uwiedziona i znalazła się w związku, w której partner odmówi jej posiadania dzieci? Bo – trzymaj się mocno, teraz sprawa zaczyna się komplikować – jeśli chodzi o ten gatunek figowca, którego owoce są najczęściej spożywane przez ludzi, istnieją dwa typy drzew.

Niektóre z nich mają w wewnętrznej jamie owoców funkcjonujące kwiaty żeńskie – te właśnie mogą się rozwinąć, dzięki czemu gruszkowaty, wywrócony na lewą stronę kwiatostan stanie się jadalną figą. Tutaj jednak samica osy nie będzie mogła złożyć jaj. Jeżeli to właśnie do takiego kwiatostanu się wczołgała, przegrała na loterii życie i nie puści w świat swoich genów. Została po prostu zdradzona przez swoje partnerskie drzewo, które bezceremonialnie przywłaszczyło sobie jej potężny ładunek pyłku.

Na szczęście dla osy i dla całego tego skomplikowanego wspólnego pożycia istnieje również inny typ figowca, tak zwana kozia figa. Również tutaj cały kwiatostan jest przenicowany, jednak w tych jamach kwiaty żeńskie są bezpłodne i znakomicie nadają się do składania jaj. Sporo też tutaj wytwarzających pyłek kwiatów męskich. Jeśli samiczka osy wyciągnęła wygrywający los i wpełzła do takiego rodzaju figi, wszystko tam jest przygotowane dla sporej gromadki jej potomstwa. A kiedy nowe osy stają się gotowe do dorosłego życia, owoc figi zmienia się z przedszkola w dom uciech – świeżo wyklute osy parzą się tam zawzięcie.

Pozostaje już tylko jeden problem: w jaki sposób te dopiero co zapłodnione osy mają się wydostać na świat, zachowując skrzydła? Tutaj pomocną dłoń wyciągają do nich samce. Są ślepe i bezskrzydłe, ale gryźć potrafią jak mało kto. Poszerzają po prostu ciasny tunel, wygryzając w nim obszerny otwór dla dam. Wylatując, zabierają one ze sobą pyłek z męskich kwiatów i podczas gdy samce umierają tam, gdzie się urodziły, samiczki odlatują w świat w poszukiwaniu kolejnego drzewa. Ruszyła kolejna edycja loterii życia.

System ten ilustruje, jak zaawansowane potrafią być relacje między kwiatem a zapylaczem. Fascynujące jest to, że ludzie już w starożytności zdawali sobie sprawę z ich istnienia i tego, że do uzyskania plonów potrzebne są dwa rodzaje figowców. Aby wszystko działało jak należy, na drzewach wydających jadalne owoce zawieszano gałęzie koziej figi. Figowiec jest prawdopodobnie jednym z tych gatunków drzew, które jako pierwsze zaczęły być systematycznie uprawiane przez ludzi.

Dzisiaj uprawiamy m.in. kultywary wydające jadalne figi bez zapylania i wizyt os. Tak czy inaczej, nie musisz się obawiać znalezienia w figowym miąższu martwych owadów. Te owoce, w których mogą rozwijać się larwy, są twarde i niejadalne, a w figach spożywczych uwięziona samiczka osy zostaje rozłożona przez enzymy i całkowicie znika.

Na świecie istnieje ponad 800 gatunków figowców i z reguły każdy z nich ma własną osę, która zajmuje się zapylaniem. Te ścisłe związki istnieją od milionów lat – znaleziono skamieniałości os z figowym pyłkiem, które mają 34 mln lat, ale uważa się, że ta zależność trwa co najmniej dwa razy dłużej.

Figi to smakołyk nie tylko dla ludzi. Figowce jako rodzaj uważa się za najważniejsze drzewa owocowe występujące w tropikach – ich owoce spożywa co najmniej jedna dziesiąta wszystkich gatunków ptaków i jedna szósta ssaków. A jeśli temu doskonałemu tandemowi figowców i os pomoże się nieco z rozprzestrzenianiem, odwdzięczy się również innymi „usługami", na przykład pomocą przy odtwarzaniu lasów tam, skąd wcześniej zniknęły.

Krakatau to nazwa wulkanicznej wyspy między Jawą a Sumatrą, znanej z kilku potężnych wybuchów wulkanu, które miały miejsce w ostatnich stuleciach. Na przykład w roku 1883 spore części wyspy dosłownie wyleciały w powietrze. Erupcja ta zniszczyła wszelkie życie na Krakatau, ale dzięki pomocy żywiących się figami ptaków i latających psów (dużych owocożernych nietoperzy) z sąsiednich wysp osy i nasiona figowców powróciły i drzewa te skolonizowały nagie, pokryte lawą przestrzenie. Dziś na Krakatau rośnie ok. 20 figowców, stanowiących ostoję dla ciągle rosnącej populacji przedstawicieli podążających za nimi gatunków. Zainspirowało to badaczy do sprawdzania, czy da się wykorzystać figowce do odtwarzania przetrzebionych lasów w innych tropikalnych rejonach – wyniki testów są bardzo obiecujące.

Ekstremalne dopasowanie zapylacza i rośliny to osa figowa i figa. Mówimy nie tylko o przyjaźni, ale o wspólnym życiu okraszonym wiernością, poświęceniem i zdradą.

Anne Sverdrup-Thygeson, *Ekipa do naprawy świata. Jak dziesięć milionów gatunków staje na głowie, by uratować ci tyłek*, tłum. Witold Biliński, Znak, Kraków 2022

eprasa.pl e884b37b5b

Cisza. To nie brzmi dobrze

Wakacje – czas konsularnej roboty, często bardzo ciężkiej i niedocenianej. Dzisiaj więc o pracy konsularnej, choć nie w letnim nastroju.

Mignęła w mediach informacja, że w irańskim więzieniu przebywa prof. Maciej Walczak, naukowiec z toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Przebywa, gdyż został skazany na trzy lata w procesie o szpiegostwo.

Jak to się stało? Otóż irańska Gwardia Rewolucyjna zatrzymała trzech polskich naukowców, gdy w towarzystwie brytyjskiego dyplomaty Gilesa Whitakera pobierali próbki ziemi w pobliżu poligonu rakietowego na pustyni w centralnej części Iranu. Dwóch po przesłuchaniu puszczono, Walczak zaś został oskarżony i skazany.

Dlaczego pobierali? Ano dlatego, że tym się zajmują, są mikrobiologami. Ich badania dotyczą m.in. upraw w warunkach ekstremalnych, np. na zasolonej glebie. Prowadzą je także razem z naukowcami irańskimi – zapraszali się na seminaria, badali mikroorganizmy w wysychających, zasolonych, pustynnych jeziorkach.

Dlaczego więc podpadli Gwardii Rewolucyjnej? Jak możemy się domyślać, z dwóch powodów. Po pierwsze, w wyjeździe uczestniczył zastępca ambasadora Wielkiej Brytanii, który na glebie się nie zna, za to na innych sprawach niewątpliwie. Po drugie, Iran chętnie zatrzymuje cudzoziemców pod zarzutem szpiegostwa, jest tam wiele podobnych spraw.

Teraz dodajmy, że profesorowie zatrzymani zostali we wrześniu 2021 r. A opinia publiczna dowiedziała się o tym dopiero w lipcu 2022 r., i to tylko dlatego, że telewizja irańska wyemitowała materiał na ten temat.

Pytań jest aż nadto. Dlaczego nasza ambasada nie przestrzegła polskich naukowców przed wyjazdami w niebezpieczne okolice? I nie pomogła przy zdobywaniu różnych zgód? Owszem, naukowcy nie mają obowiązku meldowania się w ambasadzie, ale jeśli mieli kontakt z dyplomatami brytyjskimi, to trudno przypuszczać, by dla naszych przedstawicieli byli osobami nieznanymi.

Inne pytanie jest równie ważne: dlaczego ich zatrzymanie i proces były przez MSZ ukrywane? Ministerstwo wydało ostatnio w tej sprawie komunikat, w którym czytamy: „Służby konsularne od samego początku pozostają w stałym kontakcie z naszym obywatelem oraz jego rodziną, zatrzymanemu udzielona została pomoc prawna. Podejmowane są działania konsularne i dyplomatyczne, by umożliwić naszemu obywatelowi jak najszybszy powrót do Polski. Nasze dalsze kroki koordynujemy również z państwami sojuszniczymi. Mając na względzie dobro uznanego naukowca, MSZ nie będzie podawać szczegółów sprawy i prosi o uszanowanie prywatności naszego obywatela oraz jego rodziny".

Nie czarujmy się, ten komunikat nic nie znaczy. Poza przyznaniem się, że nasze służby konsularne w Iranie niewiele mogą. I że najlepiej byłoby, gdyby zapadła na ten temat cisza.

Cóż, dla MSZ to najwygodniejsza sytuacja, bo wtedy nikt w Polsce niczego od niego nie chce. Nie ma problemu ani natrętnych pytań. Szkoda tylko, że ministerstwo własną wygodę przedkłada nad polskie sprawy. Bo, jak widać, cisza profesorowi nie służy. Nagłośnienie, wywarcie presji – to mogłoby pomóc. A także byłoby formą przestrogi dla innych, którzy wybierają się do Iranu – zarówno naukowców, jak i turystów. Że lepiej tam nie jechać, bo można mieć kłopoty. A na nasze służby konsularne na tamtym terenie nie ma co liczyć.

Attaché

Zamiast marmurów, złota i kryształowych kandelabrów – krzesełko i beżowa wykładzina. Władimir Putin niczym petent podczas spotkania z przywódcą Iranu. Teheran, 19 lipca 2022 r.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl e884b37b5b

JOLKA

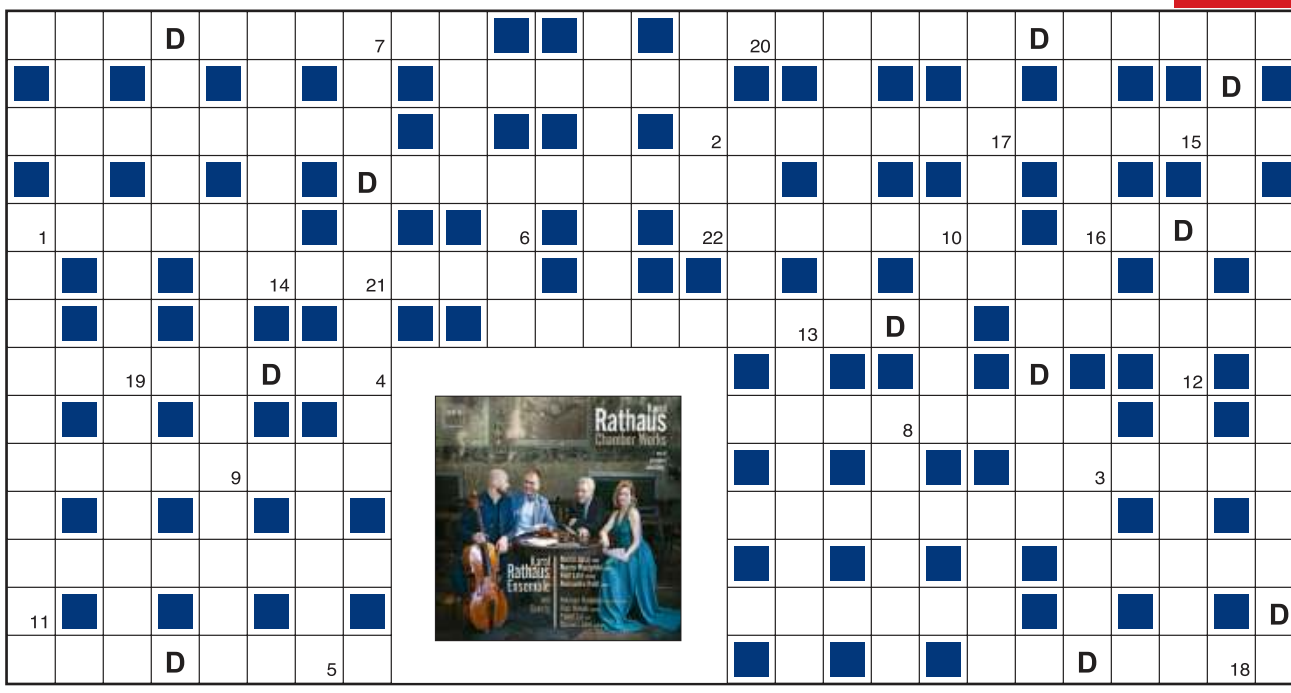

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- …Łomonosow – pływająca elektrownia atomowa
- beczułka na trunek
- kontynent pod czapą lodową
- …Aleksandryjski, ojciec i doktor Kościoła
- „…do nieba”, serial z Michaelem Landonem
- problem mieszkańców klitki
- Genet, Ionesco lub Słobodzianek
- autor „Hrabiego Monte Christo”
- trafić w nią – w środek tarczy
- piłkarski klub z Torunia
- andaluzyjskie pieśni i taniec
- będzie nią maiko
- powalony kamieniem z procy
- dosłownie go nie tłumacz
- kopulasty domek ze śniegu
- …Deotymy w Ojcowskim Parku Narodowym
- niebieski barwnik
- hetman Mazepa, malarz Ajwazowski
- i czerwień, i ryba
- pierwszym w Rzymie był Lucjusz Juniusz Brutus
- te na wierzbie nie miauczą
- może być opływowy
- największe nasilenie, maksimum
- profan, dyletant
- imię Raptusiewicza z „Zemsty”
- manatki, drobiazgi
- z Kacprem i Baltazarem
- auto jak hiszpańskie imię
- cierpienie, udręka
- kilogramy wymagające diety
- by go rozbić, trzeba mieć śledzie
- panieńskie – kobiety sprzed ślubu
- lekkomyślność, nierozsądek
- autor „Promethidionu”
- błędny – nocą nad mokradłami
- błąd (z liter wyrazu Kołyma)
- skąpiec, dusigrosz
- otoczenie, przyroda
- kształtownik o przekroju jak T
- sypialniany stolik z lustrem i szufladkami
- asystowanie lub akompaniowanie
- rozjaśnienie włosów na blond
- ognisko na Podhalu
- aktualne informacje z kraju i ze świata
- cienka i długa gałązka
- ruchoma w Słowińskim Parku Narodowym
- zapłata za pracę
- drucik do mechanicznego łączenia kartek

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1075”. Do rozlosowania CD „Karol Rathaus. Chamber Works” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 31 lipca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1072” z nr. 28: *Zwycięzca wyklucza przypadki.*
Nagrody otrzymują: Maria Bonef z Krakowa, Anna Kotłowska z Poznania, Józef Sałek z Zielonej Góry.

eprasa.pl e884b37b5b

PENETRACJE

KRAKÓW

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Ma się wrażenie, jakby nasza psychika narodowa była rozchwiana emocjami i gorzałką. Od płota do płota. Raz Bogiem jest liberalizm, innym razem socjalizm. Raz modlimy się do papieża, innym razem zbiorowo go potępiamy. Raz uchodźców nie tylko się lękamy, ale i brzydzimy się nimi, innym razem pomagamy im tak, że narody klękajcie. Wygląda jednak na to, że sensem duszy polskiej są amok i histeria.

PANI

ŁUKASZ ORBITOWSKI,
PISARZ

Zostałem mianowany na pisarza, kiedy już myślałem, że nigdy mnie to nie spotka, że będę łapał fuchy i że tak przeminie moje życie. Cieszę się, że tego Paszportu nie dostałem w wieku 30 lat, bo jestem pewny, że by mi się w dupie poprzewracało. Zrobiłby się ze mnie arogancki buc, a tak jestem przyjemnym bucem. Czyli lepszą wersją buca.

TYGODNIK ANGORA

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI,
PREZES FUNDACJI IM. BRATA ALBERTA

Prezydent, po raz pierwszy od czasu gdy został głową państwa, przyszedł pod pomnik Ludobójstwa Polaków na Kresach. Podczas uroczystości prezydent mówił bardzo podniesionym głosem, co niepotrzebnie podgrzało atmosferę. Nawet nie podszedł do rodzin ofiar ludobójstwa. W końcu przeszedł koło nas i zobaczył transparent z napisem „Domagamy się pochówku ofiar". Na pytanie, kiedy będą miały miejsce pochówki ofiar, dwa razy powtórzył: „Miarkować słowa". Gdyby tak powiedział do rodzin ofiar Holokaustu, to wybuchłby skandal, bo zostałoby to odebrane nie tylko jako lekceważenie, ale i groźba. Odnoszę wrażenie, że Andrzejowi Dudzie brakuje zwykłej ludzkiej empatii.

na szczycie

PAWEŁ KOWALCZYK,
FLISAK Z PIENIN

Pochodzę ze Sromowiec Niżnych. Mój dziadek był flisakiem i ojciec też, często zabierał mnie na spływ. Spodobało mi się, więc postanowiłem kontynuować tradycje rodzinne. Dunajec mnie wciągnął… Każdego roku pracuje nas od 500 do 550. To optymalny poziom, wypracowany przez lata. Łódź ma swój numer burtowy. Każda miejscowość ma swoją pulę numerów: Sromowce Niżne – od 1 do 300, Szczawnica do 350, Krościenko do 450, Sromowce Wyżne do 650 i Czorsztyn najwyższe. Ponad połowa flisaków mieszka w Sromowcach Niżnych. Flisacy częściej mówią łódź, pasażerowie – tratwa, a według Żeglugi Śródlądowej to „scalony zestaw pływający".

„Zamiary są wiatrem, kiedy nie idą z wykonaniem w parze". Portret Williama Szekspira powstaje z kamyków na plaży w Portsmouth.

FOT. EAST NEWS

Aby język giętki…

PRZEMYSŁAW SADURA
O POGLĄDACH POLAKÓW

Badani szczegółowo opowiadają, jak Polska powinna się zbroić, ale nie są gotowi na jakikolwiek dodatkowy podatek obronny.

MARCIN WYRWAŁ
O WOJNIE W UKRAINIE

Zachód musi przestać się karmić historyjkami, w których dzielne wojsko ukraińskie fantastycznie radzi sobie z przygłupimi Rosjanami.

PIOTR SARZYŃSKI
O PIOTRZE GLIŃSKIM

Wygrał wojnę o polską sztukę i muzealnictwo, placówki zaanektował, straty są potężne i częściowo nieodwracalne.

MARIUSZ JANICKI
O MATEUSZU MORAWIECKIM

Człowiek, który upaja się własnymi tyradami we własnym ogródku, od lat znosi upokorzenia, przycinki i drwiny.

PAULINA MŁYNARSKA
O ŻYCIU NA KRECIE

Kreta to jest takie skalne Podhale plus morze. Mentalność ludzi jest podobna.

NATALIA PRZYBYSZ O WIEKU

Najbardziej fascynują mnie te legendy o kobiecej seksualności po czterdziestce. Czekam więc z zaciekawieniem.

JOWITA BUDNIK O GOTOWANIU

Spełniam się też w gotowaniu dla dwóch córek. Każda ma inny gust kulinarny. Jedna wegetarianka, druga lubi mięso. Gotuję dwa osobne obiady.

ANTONINA TURNAU
O MARKU KONDRACIE

Daje mi poczucie bezpieczeństwa, akceptacji, jest czuły i mądry.

KASIA ADAMIK
O SCYZORYKU OD OJCA

Noszę go w kieszeni. To dla mnie jak noszenie obrączki. Gdy zapomnę, jestem zdenerwowana.

eprasa.pl e884b37b5b

E.T., jesteś w domu?

Radar z czasów zimnej wojny, który nieco przypadkiem trafił w ręce brytyjskiego milionera, ma zostać przywrócony do życia i wykorzystany do poszukiwania obcych cywilizacji. AMES Type 84 znajdował się na terenie dawnej bazy wojskowej, którą kupił dla swojej firmy William Sachiti. Mężczyzna anonimowo zwrócił się do użytkowników serwisu Reddit z prośbą o podpowiedzi, jak uruchomić urządzenie i jak je spożytkować. Internautom udało się przekonać świeżo upieczonego radarowca, by przystosował sprzęt do – jak to żartobliwie określili polowania na UFO. Niech zacznie od wschodniej części galaktyki – tam musi być jakaś cywilizacja!

Kiedy moje pięć minut?

Prof. Dashun Wang z Northwestern University w stanie Illinois zaprzągł algorytmy sztucznej inteligencji do analizy dokonań artystów i naukowców. Przyjrzały się one ponad 800 tys. dzieł sztuki, filmów i prac naukowych pod kątem uznania, z jakim ta twórczość się spotkała. Jednym z celów było znalezienie odpowiedzi na pytanie, kiedy najczęściej przychodzi w życiu pasmo sukcesów. – Istnieje takie samo prawdopodobieństwo wystąpienia „gorącej passy" na początku, w środku i na końcu kariery – ustalił Wang. Innymi słowy, nigdy nie wiadomo, ile jeszcze trzeba będzie się namęczyć, by wreszcie móc spocząć na laurach.

Ekspresem na Parnas

W USA aspirujący literaci będą mogli jednak skrócić drogę do sławy i pieniędzy, biorąc udział w nowym talent show. Trwają przygotowania do „America's Next Great Author", którego producenci deklarują otwartość na ludzi pióra z różnych środowisk i regionów. Sześć osób, wyselekcjonowanych spośród uczestników i uczestniczek castingów, otrzyma zadanie napisania książki w 30 dni. Wszystkim współzawodnikom życzymy powodzenia. Niech zwycięży najlepszy z najszybszych!

S(z)ans(a) na sukces?

Innym sposobem na życiowe powodzenie miało być stosowanie pewnego australijskiego kroju pisma. Mowa o foncie Sans Forgetica, opracowanym przez Królewski Instytut Technologii w Melbourne (RMIT) z wykorzystaniem wskazań psychologii poznawczej. Miał ułatwiać zapamiętywanie przeczytanych treści, dlatego liczono, że pomoże m.in. studentom przygotowującym się do egzaminów. Niestety, niezależne badania jak dotąd

CYTATY

PROF. JERZY HAUSNER,
ekonomista, były wicepremier
To, co mówi premier Morawiecki, jest propagandowym słowotokiem.
„Newsweek"

MAREK POL,
były wicepremier
Ustawa o winietach upadła, ale przepchnąłem przez Sejm opłatę paliwową. Ten fundusz daje drogowcom trzy razy więcej pieniędzy, niż byłoby z winiet.
„Rzeczpospolita Plus Minus"

PROF. MARIA SZYSZKOWSKA, filozof
Ci, którzy w parlamencie tworzą klub i koło lewicowe, z lewicą nie mają nic wspólnego.
„Zdanie"

AGNIESZKA LICHNEROWICZ,
dziennikarka TOK FM
Nie wierzę w obiektywizm. Wierzę za to w dziennikarską uczciwość.

GRETA THUNBERG,
szwedzka obrończyni klimatu
Hasztagi nie uratują planety, ale my – tak!
„Forum"

eprasa.pl e884b37b5b

Badacz rekinów Pierrick Seybald wyjmuje haczyk z paszczy rekina tygrysiego. Bardzo niebezpieczna stomatologia podwodna.

nie potwierdziły jego zbawiennych właściwości. Widocznie podbój świata typografii nie był mu pisany.

Erupcja głupoty

23-latek ze stanu Maryland podczas robienia selfie wpadł do… Wezuwiusza. Philip Carroll z dwójką członków rodziny zboczył z wyznaczonego szlaku i wspiął się na słynny wulkan, gdzie próbował się sfotografować. Niestety, telefon wymsknął mu się z rąk i wpadł do krateru. Gdy mężczyzna próbował odzyskać urządzenie, stracił równowagę i poleciał w dół. Miał szczęście, że tylko kilka, a nie 300 m w głąb, dlatego zdołano go wyciągnąć. Nie licząc skaleczeń, siniaków i grzywny, erupcja bezmyślności uszła mu na sucho.

FOT. FACEEBOOK (2), A-MEM, OGLĄDAM WIADOMOŚCI BO NIE STAĆ MNIE NA DOPALACZE, EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl e884b37b5b

Ex Cathedra II

Pies Baskervillów

Ufodziciel II. Bizarriusz polski

Piotr Urbanek prezentuje kilkanaście premierowych prac olejnych na płótnie, tworzących spójny stylistycznie cykl. Przetwarza w obrazy i poddaje analizie własne sny. Niektóre przedstawienia kojarzą się z literaturą lub powieścią graficzną, inne z motywami przeniesionymi z filmów. Sceny przypominają te rodzajowo-alegoryczne czy religijno-wizyjne, które obecne były w malarstwie średniowiecza i renesansu, Hieronima Boscha i Piotra Bruegla, czy też w późniejszym malarstwie wybranych surrealistów. Równolegle dzieła wpisują się w nurty kojarzące się z realizmem magicznym.

Salon Goldenmark
Kielce, ul. Silniczna 5
do 31 sierpnia

Macabreakdance III

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e884b37b5b

NOWY FILM REŻYSERA

„DOBRZE SIĘ KŁAMIE W MIŁYM TOWARZYSTWIE"

ALESSANDRO BORGHI **JASMINE TRINCA**

SUPERBOHATEROWIE

Czy miłość może pokonać czas?

REŻYSERIA **PAOLO GENOVESE**

ANICA Kreatywna Europa MEDIA AURORA

W KINACH OD 22 LIPCA

eprasa.pl e884b37b5b

„ANTOLOGIA GAGÓW”
LE PARISIEN

FESTIVAL DE L'ALPE D'HUEZ 2022
GRAND PRIX

„ŚWIETNA ZABAWA”
RTL

JÉRÔME COMMANDEUR
LAETITIA DOSCH
PASCALE ARBILLOT
CHRISTIAN CLAVIER
GÉRARD DARMON

PRACOWNIK MIESIĄCA

REŻYSERIA
JÉRÔME COMMANDEUR

VALÉRIE LEMERCIER
ESTEBAN
MALIK BENTALHA
GÉRARD DEPARDIEU

W KINACH

medsetfilm

movies room
FACETPO40.pl
DEMOTYWATORY.PL

eprasa.pl e884b37b5b